



ANNE RICE

*Kuszenie*

WYDAWNICTWO  
otwarte

# **Rice Anne**

## **Czas Aniołów 02**

### **Kuszenie**

**Toby O'Dare wyrusza z kolejną misją zleconą przez anioła. Tym razem przenosi się do fascynującego świata Rzymu epoki renesansu. Musi także zmierzyć się z trawiącymi go wątpliwościami i palącym pożądaniem. Przejmująca opowieść o trudnych wyborach, zgubnej namiętności i walce z demonami!**



„Zostań moim pomocnikiem.

Narzędziem, dzięki któremu łatwiej wypełnię swój ziemski plan.

Porzuć swoje dotychczasowe, puste życie i ofiaruj mi swój spryt, odwagę, talent oraz osobisty urok.

Twoja zgoda oznacza odwrócenie się od zła i wkroczenie na krętą, niebezpieczną ścieżkę dobra",

anioł Malachiasz zwracający się do Toby'ego w *Pokucie*

„Biedne, żyjące w nocy dusze  
Boga w światłości rozpoznają.  
Lecz Postać Ludzką On objawia  
Tym, co w królestwach dnia mieszkają”.

fragment *Wróżb niewinności* Williama Blake'a w tłum.  
Zygmunta Kubiaka

„Każdy z nas jest aniołem z jednym tylko skrzydłem. Możemy  
latać wtedy, gdy obejmujemy drugiego człowieka”.

Luciano de Crescenzo tłum. Grażyna Smosna

## ROZDZIAŁ 1

Śniłem o aniołach. Widziałem je i słyszałem pośród potężnej i bezkresnej galaktycznej nocy. Widziałem światła, które były aniołami, szybującymi w strumieniach blasku, niektóre spośród nich wielkie niczym komety zbliżające się tak bardzo, że ich ogień mógłby mnie strawić. Mimo to nie czułem żaru, zagrożenia ani nawet własnego ciała.

W tym królestwie dźwięków i światła otaczała mnie miłość. Czułem, że każdy mnie tu zna, kocha, otacza opieką i że stanowią część wszystkiego, co widzę i słyszę. A jednak zdawałem sobie sprawę, że nie zasługuję na żadną z tych rzeczy, absolutnie żadną. Ogarnęło mnie uczucie podobne do smutku, splatające esencję mojej duszy ze śpiewającymi głosami, bowiem śpiewały o mnie.

Słyszałem głos Malachiasza, który wznosił się czysto, wysoko i nieskończenie ponad innymi, mówiący, że od tej pory należę do niego i powinienem za nim podążać. Że wybrał mnie

na swojego towarzysza i że muszę wykonać każde jego polecenie. Jego głos, silny i czysty, wznosił się coraz wyżej i wyżej. A jednak wtórował mu cichszy głos: czuły, dźwięczny. Wyśpiewywał pieśń o moim ziemskim życiu i o tym, co musiałem zrobić, o ludziach, którzy mnie potrzebowali i darzyli miłością. Śpiewał

o rzeczach zwykłych i o przyziemnych marzeniach i współczuł ludziom obdarzonym dostatecznie wielką odwagą, by Malachiasz wybrał ich do spełnienia swoich potężnych celów.

Och, to połączenie tematów wywarło na mnie niesamowite wrażenie, a muzyka otaczała mnie i spowijała niczym namacalna, kochająca istota. Odpoczywałem otulony melodią i słyszałem triumfalny głos Malachiasza, kiedy mnie powoływał i oświadczał, że od tej pory należę do niego. Drugi głos słabnął, ale nie zniknął. Drugi głos miał już nigdy nie zniknąć. Był obdarzony własnym pięknem: czułym i dźwięcznym, i miał śpiewać w nieskończoność, tak jak teraz.

Dołączyły do nich inne głosy - a może były tam przez cały czas? Owe głosy rozbrzmiewały wokół mnie i z myślą o mnie. Splotały się z głosami aniołów, jakby odpowiadały im w nieskończonej, bezkresnej próżni. Słyszałem gwar głosów anielskich i tych innych i nagle zorientowałem się, że są to głosy modlących się ludzi, ludzi modlących się za mnie. Ci ludzie modlili się w przeszłości i mieli się modlić w dalekiej przyszłości, już zawsze. Rozprawiali o człowieku, którym mogłem się stać. Och, jakże smutna i nieznacząca była moja dusza w porównaniu z ogromem tego wspaniałego, roziskrzonego świata, w którym się znalazłem, miejsca, którego nie sposób nawet nazwać światem, bowiem nie istniały w nim żadne granice czy miary.

Później spłynęła na mnie świadomość, że przedmiotem tej celebracji - pieśni odwiecznego i nieskończonego chóru - była każda żyjąca istota, umiłowana i bliska w równym stopniu jak ja.

Jak mogło być inaczej? Jakim cudem ktoś taki jak ja, ze wszystkimi moimi błędami, gorzkimi porażkami, miałby być tym jedynym? O nie, wszechświat był pełen dusz wplecionych w tę triumfującą, chwalebłą pieśń. Wszyscy byli równie mocno cenieni i kochani jak ja. Wszyscy byli znani, nawet modlitwy za mnie stały się częścią ich chwalebного dzieła w granicach nieskończonego złocistego splotu.

„Nie odsyłaj mnie stąd. Nie odsyłaj mnie z powrotem. A jeśli już musisz mnie odesłać, pozwól mi wypełniać Twoją wolę, całym sercem - modliłem się i usłyszałem, jak moje własne słowa płyną niczym muzyka, która mnie otaczała i podtrzymywała na duchu. Usłyszałem własny, pewien siebie głos. - Kocham Cię. Kocham Ciebie, który stworzyłeś wszystkie rzeczy, i zrobię dla Ciebie wszystko, wszystko, czego ode mnie oczekujesz. Zabierz mnie, Malachiaszu. Zabierz mnie do Niego. Pozwól mi czynić Jego wolę!”

Słyszałem każde słowo, otoczony miłością pośród tej wspaniałej, rozległej nocy, jasnej niczym dzień. Tutaj nic się nie liczyło, dzień mieszał się z nocą i wszystko było doskonałe, a modlitwy wznosiły się coraz wyżej i wyżej, nachodząc na siebie. Głosy aniołów były jednym wielkim wezwaniem, któremu bez reszty się oddałem, całkowicie uległem.

Nagle coś się zmieniło. W dalszym ciągu słyszałem płaczliwy głos anioła, błagający w moim imieniu, przypominający Malachiaszowi o wszystkim, co miałem do zrobienia. Słysza-

łem też łagodną naganę Malachiasza i niezłomny upór w jego głosie oraz modlitwy tak intensywne i cudowne, że wydawało mi się, iż nigdy już nie będę potrzebował ciała do tego, by żyć, kochać, myśleć lub czuć.

A jednak coś się zmieniło. Sceneria uległa zmianie.

Ujrzałem wznoszącą się Ziemię daleko pode mną i poszybowałem w jej kierunku, czując ogarniający mnie z wolna, lecz bez wątpienia, przenikliwy chłód. Pozwól mi zostać, miałem ochotę błagać, ale nie zasłużyłem sobie na to. To nie był mój czas, by tu zostać, i byłem skazany na nieuchronną rozłąkę. Jednak to, co ukazało się moim oczom, nie było Ziemią, jakiej się spodziewałem, lecz rozległymi polami pszenicy, złocistą taflą pod najbardziej przejrzystym, rozświetlonym w słońcu niebem, jakie kiedykolwiek miałem okazję zobaczyć. Gdzie zwróciłem oczy, tam rozciągały się „lilie na polu”<sup>1</sup>. Widziałem, jakie są delikatne, a równocześnie zdumiewająco sprężyste, kiedy tak uginały się pod naporem wiatru. Oto było bogactwo Ziemi, urodzaj smaganych podmuchami wiatru drzew i kłębiących się na niebie chmur.

- Dobry Boże, spraw, abym nigdy się od Ciebie nie oddalił, nie czynił na przekór Tobie, nigdy nie zawiódł Cię w mej wierze czy sercu - wyszeptałem - za to wszystko, co ofiarowałeś mnie i innym ludziom.

Kiedy tylko to powiedziałem, poczułem Jego obecność, tak bliską i wszechogarniającą, że zaszlochałem z głębi duszy.

---

<sup>1</sup>Bohater odwołuje się do fragmentu Ewangelii według świętego Mateusza (Mt 6, 28): „Przypatrzcie się liliom na polu, jak rosną: nie pracują ani przędą” (przyp. tłum.).



Pola stawały się coraz bardziej niewyraźne i rozległe, świat spowijała złocista pustka i ogarnęła mnie miłość. Poczułem się bezpiecznie jak w kołysce, a kwiaty poruszyły się i zamieniły w plątaninę kolorów, których nie potrafiłem opisać. Bliskość barw nieznanymi człowiekowi dotknęła mnie do głębi i nappełniła bezradnością. Dobry Boże, który tak bardzo nas kochasz.

Kształty zniknęły. Kolory odłączyły się od nich, a światło obracało się teraz w taki sposób, jakby było miękkim, pochłaniającym wszystko dymem.

Wydawało mi się, że wyrasta przede mną korytarz, i miałem niejasne, nieokreślone wrażenie, iż przez niego przechodzę. A teraz w głębi długiego korytarza ujrzałem zmierzającą w moją stronę wysoką i szczupłą postać pełnego wdzięku młodego mężczyzny, w eleganckim, acz skromnym stroju. To był Malachiasz... Widziałem jego miękkie, ciemne włosy i owalną twarz. Widziałem prosty, ciemny garnitur w wąskie prążki. Widziałem jego przepelnione miłością oczy, a później jego rozplywający się z wolna na twarzy uśmiech. Widziałem, jak wyciąga w moją stronę ramiona.

- Umiłowany - szepnął. - Znowu cię potrzebuję. Będę cię potrzebował niezliczoną ilość razy, aż do końca czasu.

Wydawało mi się, że słyszę pozostałe głosy wyśpiewujące z głębi swoich serc pieśń, lecz nie potrafiłem stwierdzić, czy to były skargi czy pochwały.

Pragnąłem się do niego przytulić. Chciałem błagać, by pozwolił mi tu przy nim zostać chociaż przez krótką chwilę. Zabierz mnie do królestwa niebiańskiej światłości. Do oczu napłynęły mi łzy. Jako dziecko nie potrafiłem płakać. A te-

raz, kiedy byłem dorosły, robiłem to regularnie, we śnie i na jawie.

Malachiasz spokojnie szedł w moją stronę, jakby dzieląca nas odległość była większa, niż mi się wydawało.

- Pozostało ci tylko kilka godzin, zanim się zjawią - powiedział. - Powinieneś się przygotować.

Nie spałem.

Poranne słońce wlewało się przez okna.

Razem z hałasem ruchu ulicznego.

Znajdowałem się w Amistad Suite, oparty o poduszki, a Malachiasz siedział, opanowany i spokojny, w jednym z foteli nieopodal zimnego kamiennego kominka, i powtórzył, że Liona i mój syn wkrótce tu będą.

## ROZDZIAŁ 2

Ktoś miał ich odebrać z lotniska w Los Angeles i zawieźć prosto do Mission Inn. Powiedziałem Lionie, że będę na nią czekał pod *campanaño*, zarezerwuję apartament dla niej i Tobyego - tak miał na imię mój syn - i wszystkim się zajmę. Ale w dalszym ciągu nie wierzyłem, że naprawdę przyjedzie. Jak mogłaby przyjechać?

Zniknąłem z jej życia przed dziesięcioma laty, zostawiając ją, gdy miała siedemnaście lat i była w ciąży. Teraz niespodziewanie wróciłem do jej życia, dzwoniąc do niej z Zachodniego Wybrzeża. Gdy dowiedziałem się, że nie ma męża, narzeczonego ani nawet z nikim nie mieszka, odetchnąłem z ulgą.

Oczywiście nie mogłem powiedzieć jej, że anioł imieniem Malachiasz poinformował mnie, iż mam syna. Nie mogłem wyjawić jej, co robiłem przed i po spotkaniu z aniołem, ani też określić, kiedy i jak będę się z nią mógł znowu spotkać. Nie mogłem wyjaśnić, że anioł wyznaczył mi teraz czas, że-

bym spotkał się z nią, zanim podejmę się wykonania dla niego kolejnej misji. Kiedy zaś zgodziła się tu przyjechać na spotkanie ze mną, razem z moim synem Tobym, nie mogłem się otrząsnąć ze zdumienia i wielkiej radości.

- Posłuchaj, biorąc pod uwagę stosunek mojego ojca do ciebie, będzie mi łatwiej przylecieć na Zachodnie Wybrzeże - powiedziała. - Oczywiście przywiozę twojego syna, żeby mógł się z tobą spotkać. Możesz chyba sobie wyobrazić, że chce się dowiedzieć, kim jest jego ojciec.

Najwyraźniej w dalszym ciągu mieszkała ze swoim ojcem, starym doktorem Carpenterem, jak go wtedy nazywałem, i nie byłem zaskoczony, że zasłużyłem sobie na jego pogardę i niechęć. Zakradłem się z jego córką do ich domku gościnnego i ani razu przez wszystkie te lata nie przyszło mi do głowy, że w rezultacie tego zdarzenia na świecie pojawiło się dziecko.

Najważniejsze, że oboje byli w drodze.

Malachiasz zszedł ze mną na dziedziniec. Było dla mnie całkowicie jasne, że inni ludzie go widzą, ale wyglądał zupełnie normalnie. Mężczyzna mojego wzrostu, ubrany w trzyczęściowy jedwabny garnitur podobny do mojego, tylko że jego był szary, a mój miał kolor khaki. Jego koszula mieniła się, moja przypominała strój robotnika, była nakrochmalona, wyprasowana. Założyłem do niej granatowy krawat. W moich oczach Malachiasz wyglądał jak normalna ludzka istota. Jego wzrok wędrował ku kwiatom i strzelistym palmom, jakby rozkoszował się wszystkim, co widzi. Wydawało się nawet, że czuje powiew wiatru i lekką dumę z tego powodu.

- Przyszedłeś godzinę za wcześnie - zauważył.

- Wiem. Nie mogę usiedzieć w miejscu. Samo czekanie tutaj sprawia, że czuję się lepiej.

Skinął głową, jakby to, co powiedziałem, było całkowicie logiczne, chociaż w rzeczywistości nie miało w sobie krztyny sensu.

- Na pewno zapyta mnie, czym się zajmowałem przez ostatnie dziesięć lat - odezwał się. - Co mam jej powiedzieć?

- Powiesz wyłącznie to, co będzie dobre dla niej i dla waszego syna - odparł. - Wiesz o tym.

- Owszem, wiem - oznajmiłem.

- Na górze, w twoim komputerze, znajduje się długi tekst - powiedział - zatytułowany *Pokuta*.

- Tak, no cóż, napisałem go, czekając, aż mnie ponownie nawiedzisz. Spisałem wszystko, co przydarzyło mi się podczas pierwszej misji.

- To dobrze - odparł. - To bardzo skuteczna forma medytacji. Ale Tobie, nikomu nie wolno czytać tego dokumentu. Nie teraz, a może nawet nigdy.

Powinienem był się tego domyślić. Poczułem się lekko załamany, ale rozumiałem decyzję Malachiasza. Z zawstydzeniem przypomniałem sobie, jak wielką przepełniała mnie duma, kiedy relacjonowałem swoją pierwszą misję dla aniołów. Pysniłem się nawet przed Panem Sprawiedliwym, moim dawnym szefem, że odmieniłem swoje życie, że być może pewnego dnia zobaczy moje prawdziwe nazwisko w księgarniach. Tak jakby go to obchodziło. Ten człowiek posyłał mnie jako Lucky ego Szczwane-go Lisa, żebym raz za razem zabijał. Ach, tyle pychy, ale przecież w całym swoim dorosłym życiu nigdy nie dokonałem niczego, co mogłoby mnie napełnić dumą. Pan Sprawiedliwy był jedyną

osobą na świecie, z którą prowadziłem regularne rozmowy. Przynajmniej do czasu, gdy zadzwoniłem do Liony.

- Dzieci Aniołów zjawiają się i odchodzą, podobnie jak my - odezwał się Malachiasz. - Widzą nas nieliczni, większość jest ślepa i obojętna.

Skinąłem głową.

- Czy tym właśnie teraz jestem, Dzieckiem Aniołów?

- Tak - odparł z uśmiechem. - Tym właśnie jesteś. Zapamiętaj to sobie.

To powiedziawszy, zniknął.

A ja zostałem, ze świadomością, że mam jeszcze jakieś pięćdziesiąt minut czekania na Lionę. Pomyślałem, że może wybiorę się na mały spacer albo napiję się czegoś w barze - nie wiedziałem, co zrobić. Nagle poczułem, że jestem szczęśliwy, i naprawdę tak było.

Kiedy o tym myślałem, odwróciłem się i, bez szczególnego powodu, spojrzałem w stronę drzwi do lobby. Przy jednym ze skrzydeł dostrzegłem sylwetkę młodego mężczyzny, który stał ze skrzyżowanymi ramionami, oparty o ścianę, i wpatrywał się we mnie. Był równie dobrze widoczny jak wszystko, co go otaczało, wysoki jak Malachiasz, ale z rudawymi blond włosami i wielkimi, błękitnymi oczami, ubrany w garnitur koloru khaki, identyczny jak mój. Odwróciłem się plecami do tego mężczyzny, by uniknąć jego świdrującego wzroku, a później zdałem sobie sprawę z niezwykłości faktu, że ktoś ubrany tak samo jak ja przypatruje mi się w tak szczególny sposób, z wyrazem twarzy zwiastującym wybuch gniewu. Nie, to jednak nie był gniew.

Odwróciłem się. Mężczyzna w dalszym ciągu wlepił we mnie wzrok. Pełen troski, nie gniewu.

Jesteś moim Aniołem Stróżem! Ledwie zauważalnie skinął głową.

Spłynęło na mnie zdumiewające uczucie błogości. Mój niepokój się ulotnił. Słyszałem twój głos! Słyszałem cię razem z innymi aniołami. Czułem fascynację i dziwne ukojenie, a wszystko to ledwie w ułamku sekundy.

Niewielka grupa gości wyszła przez drzwi prowadzące do lobby, przechodząc przed tym mężczyzną, i zasłoniła go, a kiedy skręcili w lewo, by ruszyć ścieżką, zorientowałem się, że zniknął.

Serce podskoczyło mi w piersi. Czyżbym miał przywidzenie? Czy ten mężczyzna naprawdę mi się przyglądał i skinął mi głową?

Jego postać szybko zacierała się w moim umyśle. Ktoś tam stał, oczywiście, ale nie miałem teraz możliwości sprawdzić, co się stało, poddać tego jakiegokolwiek analizie.

Postanowiłem odsunąć od siebie te myśli. Skoro ta istota była moim stróżem, to czymże miałaby się zajmować, jeśli nie pilnowaniem mnie? A jeśli była kimś innym, cóż mogłem na to poradzić? Oczywiście postanowiłem poprosić później Malachiasza, by rozwiął moje wątpliwości. On będzie wiedział, kim była tajemnicza postać. Malachiasz stale przy mnie czuwał. Och, jakże mało w nas wiary.

Niespodziewanie wypełniła mnie nadzwyczajna radość. Jestem Dzieckiem Aniołów, pomyślałem, a aniołowie przywiozą mi Lionę i jej syna, mojego syna.

Przespacerowałem się wokół Mission Inn, rozmyślając nad tym, jak cudownie chłodny, kalifornijski mamy dzień, i mijając wszystkie swoje ulubione fontanny, bramy kaplic, patia,

różnego rodzaju osobliwości, ani się spostrzegłem, że nadszedł czas spotkania.

Wróciłem na daleki kraniec pasażu, nieopodal drzwi do lobby, zacząłem, aż dwoje turystów ruszy w dalszą drogę, i przystanąłem pod niskim, łukowatym *campanario* z rozlicznymi dzwonami.

Nie mogłem tam przebywać dłużej niż pięć minut, przechadzając się, spoglądając na zegarek, wierząc się, wchodząc i wychodząc z lobby, gdy nagle dotarło do mnie, że w tłumie osób przemierzających ścieżkę znajduje się dwoje ludzi, stojących tuż pod dzwonami, tak jak ich o to poprosiłem.

Przez chwilę miałem wrażenie, że moje serce przestanie bić.

Spodziewałem się, że będzie ładna, bo była ładna jako dziewczyna, ale wtedy stanowiła tylko pączek kwiatu emanujący blaskiem. Teraz nie pragnąłem niczego więcej jak tylko patrzeć na nią, chłonąć urodę kobiety, którą się stała.

Miała ledwie dwadzieścia siedem lat. Nawet ja, dwudziestoosmiolatek, wiedziałem, że to niewiele, ale emanował z niej pewien rodzaj dojrzałości. Była ubrana w niezwykle przemyślany sposób.

Miała na sobie czerwoną marynarkę, dopasowaną w talii i rozkloszowaną wokół jej wąskich bioder, oraz krótką spódnicę, która ledwie przykrywała kolana. Różowa koszula była rozpięta przy szyi ozdobionej pojedynczym sznurem pereł. Z kieszeni na piersi wystawał rąbek różowej chusteczki. Torebka i eleganckie pantofle na wysokim obcasie wykonane były z lakierowanej różowej skóry.



W tym stroju wyglądała przepięknie.

Długie czarne włosy spływały po jej ramionach. Tylko kilka pasm upięła ponad jasnym czołem, być może za pomocą spinek, tak jak wtedy gdy była dziewczynką.

Ogarnęło mnie przeczucie, że właśnie taką zapamiętam ją na zawsze. Nieważne co miało nam się jeszcze przydarzyć. Nigdy nie zapomnę, jak zachwycająco wyglądała w czerwieni, z dziewczęco rozpuszczonymi, czarnymi włosami.

Szczerze mówiąc, przyszedł mi do głowy cytat z filmu, z uwielbianego przez wielu *Obywatela Kanea*. Wypowiada go starszy mężczyzna nazwiskiem Bernstein, który wspomina pewne wydarzenie i mówi, jak wielkie wrażenie może zrobić na nas ktoś, kogo widzimy ledwie przez kilka sekund. W jego przypadku chodziło o młodą kobietę, którą pewnego razu ujrzał na pokładzie przepływającego statku. „Stała na nim dziewczyna w białej sukni z białą parasolką w dłoni. Widziałem ją tylko przez chwilę, a ona mnie wcale, ale przez kolejny miesiąc myślałem o niej codziennie”.

Cóż, ja wiedziałem, że na zawsze zapamiętam Lionę tak, jak wyglądała tego dnia. Rozglądała się dookoła, pewna siebie i opanowana. Emanowała z niej powaga i jednocześnie czysta, niczym niezmacona determinacja, od zawsze obecna w jej gestach i słowach. Nie mogłem uwierzyć, jaka jest urocza. Nie mogłem uwierzyć, jaką - w prosty i nieunikniony sposób - słodką kobietą się stała.

Tuż obok niej stał dziesięcioletni chłopiec, który był moim synem. Kiedy go zobaczyłem, ujrzałem swojego brata Jacoba, który zmarł w tym samym wieku, i poczułem, jak moje gardło się zaciska, a do oczu napływają łzy. Oto mój syn.

Nie zamierzam płakać podczas naszego pierwszego spotkania, pomyślałem, lecz kiedy wyciągałem z kieszeni chusteczkę, Liona dostrzegła mnie i uśmiechnęła się. Ująwszy chłopca za rękę, poprowadziła go ścieżką w moją stronę i odezwała się dziarskim, pewnym siebie głosem:

- Toby, poznałabym cię wszędzie. Nic się nie zmieniłeś. Głos Liony był tak pełen życia i dobroci, że nie potrafiłem

jej odpowiedzieć. Nie byłem w stanie się odezwać. Nie potrafiłem wyrazić, co znaczyło dla mnie spotkanie z nią. A kiedy spojrzałem na chłopca, który utkwiał we mnie spojrzenie, na to ciemnowłose, ciemnookie, wierne odbicie mojego od dawna nieżyjącego brata Jacoba, na tego prostego jak struna, dumnego małego człowieka, odważnego i sprytnego chłopca, jakiego każdy mężczyzna chciałby mieć za syna, na to doskonale piękne dziecko - cóż, rozplakałem się.

- Jeśli natychmiast nie przestaniesz, to sama się rozplacę - powiedziała Liona. Wyciągnęła dłoń i chwyciła mnie za ramię.

Nie było w niej śladu wahania czy powściągliwości i kiedy się nad tym głębiej zastanowiłem, doszedłem do wniosku, że nigdy nie zauważyłem u niej tych cech. Miała w sobie siłę i determinację. Mówiła głębokim, łagodnym głosem, który zdradzał niezłomność jej charakteru.

Wielkoduszność, właśnie to słowo przyszło mi na myśl, kiedy zaglądałem Lionie w oczy, a ona uśmiechała się do mnie. Była wielkoduszna. Wielkoduszna i kochająca, i pokonała taki szmat drogi, bo ją o to poprosiłem. Nagle wypowiedziałem te słowa na głos.

- Przyjechałaś. Przyjechałaś do mnie z tak daleka. Jesteś tutaj. Aż do ostatniej chwili myślałem, że nie przyjedziesz.

Chłopiec wyjął z kieszeni na piersi jakiś przedmiot i podał mi go.

Pochyliłem się, żeby lepiej się przyjrzeć, wziąłem to, co mi podał. Zobaczyłem, że było to niewielkie zdjęcie przedstawiające mnie, wycięte ze szkolnego albumu i zalaminowane.

- Dziękuję ci, Tobie - powiedziałem.

- Och, zawsze noszę je przy sobie - odparł natychmiast.

-Zawsze każdemu mówię: To jest mój tata.

Pocałowałem go w czoło. A później mnie zaskoczył. Objął mnie ramieniem, prawie tak jakby to on był dorosłym mężczyzną, a ja chłopcem. Objął mnie ramieniem i przytulił. Pocałowałem go raz jeszcze w mięciutki policzek. Posłał mi jasne, szczere spojrzenie.

- Zawsze wiedziałem, że wrócisz - powiedział. - To znaczy wiedziałem, że pewnego dnia się zjawisz. Byłem tego pewien.

-Zakomunikował mi to takim samym tonem jak resztę.

Wyprostowałem się, przełknąłem ślinę, a później ponownie spojrzałem na tę dwójkę i otoczyłem ich ramieniem. Przyciągnąłem oboje mocno do siebie i tuliłem, świadomy miękkości, czystej kobiecej słodyczy, której do tej pory nie znałem, i woni cudownych kwiatowych perfum unoszącej się z jedwabistych, ciemnych włosów Liony.

- Chodźcie, pokój jest już gotowy - zająknąłem się, jakby to były doniosłe słowa. - Już was zameldowałem, chodźcie za mną.

Zorientowałem się, że hotelowy boy czeka na nas od dłuższej chwili z wózkiem bagażowym. Dałem mu dwudziestodolarówkę i powiedziałem, że spotkamy się na najwyższym piętrze, przy Apartamencie Gospodarza.

Przez chwilę patrzyłem na Lionę i przypomniały mi się słowa Malachiasza. Wszystko, co jej powiesz, winno być powiedziane przez wzgląd na nią. Nie na ciebie.

Kiedy tak się jej przyglądałem, uderzyło mnie coś jeszcze: powaga Liony, uzupełnienie jej pewności siebie. Powaga była przyczyną, dla której przyjechała tu bez chwili wahania i pozwoliła synowi spotkać się z ojcem. Ta powaga przypomniła mi o osobie, którą poznałem i pokochałem podczas mojej przygody z Malachiaszem. Zrozumiałem, że kiedy przebywałem w towarzystwie tej osoby - kobiety żyjącej przed wieloma wiekami - przypominałem sobie piękną, żyjącą i oddychającą kobietę, która stała teraz przy mnie, w moich czasach.

Oto kobieta, którą możesz pokochać. Oto ktoś, kogo możesz pokochać tak samo jak pokochałeś tamtych ludzi, kiedy przebywałeś z aniołami oraz z ludźmi, których nie mogłeś sprowadzić do swojego serca. Przez tych dziesięć lat żyłeś w oderwaniu od żywych istot, ale ta osoba jest równie prawdziwa jak ludzie Malachiasza, tę osobę możesz pokochać prawdziwie i bez reszty. Mniejsza o to, czy odwzajemni twoją miłość. Ty możesz kochać ją. I tego małego chłopca. Jego też możesz kochać.

Kiedy stłoczyliśmy się we trójkę w ciasnej windzie, Toby pokazał mi inne moje zdjęcia ze szkolnego albumu. Te fotografie także nosił przy sobie od bardzo dawna.

- A więc od zawsze znałeś moje imię - odezwałem się do niego, nie wiedząc tak naprawdę, co powiedzieć, i dlatego uciekłem się do stwierdzenia oczywistości. Odpowiedział, że tak, mówił wszystkim, że jego tatuś nazywa się Toby O'Dare. -

Cieszę się, że tak robiłeś. Nie potrafię nawet wyrazić, jaki jestem z ciebie dumny - powiedziałem.

- Dlaczego? - zapytał. - W gruncie rzeczy wcale mnie nie znasz. - Był na tyle mały, że jego głos brzmiał jak u dziecka, a nie starszego chłopca, a kiedy wypowiedział te słowa, dało się w nich usłyszeć nutkę przebiegłości. - Równie dobrze mógłbym być kiepskim uczniem.

- Ach, ale twoja mama była doskonałą uczennicą - zauważyłem.

- Tak, i nadal jest. Chodzi na kursy do Loyoli. Nie jest szczęśliwa, ucząc w szkole podstawowej. Dostaje same piątki.

- Tak samo jak ty, prawda? - zapytałem. Pokiwał głową.

- Przeskoczyłbym klasę, gdyby tylko mi pozwolili. Nauczyciele mówią, że to by źle wpłynęło na moje kontakty z rówieśnikami, i dziadek też tak myśli.

Dotarliśmy na ostatnie piętro. Poprowadziłem ich przez tarasy, a później wzdłuż wyłożonej czerwonymi płytkami werandy. Zarezerwowałem dla nich pokoje na jej końcu, nieopodal mojego.

Apartament Gospodarza to jedyny nowoczesny i luksusowy, pięciogwiazdkowy pokój w Mission Inn. Można go wynająć tylko wtedy, gdy nie bawią w nim właściciele hotelu, więc musiałem się wcześniej upewnić, że będę mógł go zarezerwować na czas pobytu moich gości.

Oboje byli pod wielkim wrażeniem trzech kominków, ogromnej marmurowej łazienki, zachwycającego tarasu, a jeszcze bardziej zdumiało ich to, że zarezerwowałem także

sąsiedni pokój dla Toby ego, domyślając się, że w wieku dziesięciu lat mogą mu się zamarzyć własny pokój i łóżko.

Później zabrałem oboje do Amistad Suite, aby pokazać kopułę ze wspaniałymi malowidłami, łóżko z baldachimem i staromodny, nieczynny kominek. Zauważyli, że wystrój kojarzy im się z Nowym Orleanem, ale odniosłem wrażenie, że byli jeszcze bardziej podekscytowani luksusami we własnym apartamencie, więc wszystko ułożyło się zgodnie z moim planem.

Usiedliśmy we trójkę przy stole ze szkła i kutego żelaza. Zamówiłem wino dla Liony oraz coca-colę dla Tobyego, który przyznał, że pije ją od czasu do czasu, chociaż jest niezdrowa.

Toby wyciągnął swojego iPhonea i zaprezentował mi jego funkcje. Miał w nim wszystkie moje zdjęcia, a teraz - o ile nie będę miał nic przeciwko temu - zamierzał mi zrobić kolejne.

- Jasna sprawa - powiedziałem, a on natychmiast zamienił się w profesjonalnego fotografa: odchylił się do tyłu, wysunął przed siebie aparat, tak jak malarz w dawnych czasach mógłby wysunąć kciuk, i fotografował nas pod wieloma różnymi kątami, przemieszczając się naokoło stołu.

Właśnie gdy Toby robił kolejne zdjęcia, uświadomiłem sobie coś, od czego zmroziła mi się krew w żyłach. Dokonałem morderstwa w Amistad Suite. Zamordowałem człowieka tutaj, w Mission Inn, i sprowadziłem tu tych dwoje ludzi, jak gdyby nigdy nic.

Oczywiście to tutaj nawiedził mnie Malachiasz, serafin, który w Bożym imieniu zapytał, dlaczego nie odwróciłem się od żalostnego życia, jakie przypadło mi w udziale. A kiedy rzeczywiście to zrobiłem, mój los odmienił się raz na zawsze.

Malachiasz wyciągnął mnie z dwudziestego pierwszego wieku i wysłał w przeszłość, do średniowiecznej Anglii, bym zapobiegł katastrofie grożącej pewnej społeczności. A kiedy ukończyłem pierwszą misję dla mojego anielskiego szefa, obudziłem się tutaj, w Mission Inn, i właśnie w tym miejscu spisałem relację z mojej pierwszej podróży do Czasu Aniołów. Maszynopis znajdował się w pokoju. Leżał na biurku, na którym zabiłem swoją ostatnią ofiarę, wbijając jej w kark strzykawkę. I właśnie stąd zadzwoniłem do mojego dawnego szefa, Pana Sprawiedliwego, i powiedziałem mu, że nigdy więcej nie będę dla niego zabijał.

A jednak dokonałem tu morderstwa. I było to zabójstwo z zimną krwią, zaplanowane w najdrobniejszym szczególe, takie, z jakich słynął Lucky Szczwany Lis. Wzdrygnąłem się w duchu, mamrocząc pod nosem modlitwę, by żaden cień tamtego zła nie dotknął nigdy Liony i Tobyego, by żadna z konsekwencji tamtego hańbiącego czynu ich nie dosięgła.

Aż do chwili tamtego morderstwa znajdowałem tu pociechę. Mission Inn było jedynym miejscem, gdzie ogarniał mnie spokój, i zapewne z tego powodu sprowadziłem Lionę i mojego syna właśnie tu, do tego samego stołu, przy którym ja i Malachiasz odbyliśmy naszą rozmowę. Nie mogłem uwierzyć, że się tu ze mną znajdują, podobnie jak w to, że powinienem doświadczyć tej nowo odnalezionej radości przebywania w ich towarzystwie, w miejscu gdzie moje ponure, sarkastyczne modlitwy o zbawienie naprawdę zostały wysłuchane.

Uspokoilem się, bo dostrzegałem w swoich działaniach pewien sens. Czy istniało bezpieczniejsze miejsce dla Lucky'e-

go Szczwanego Lisa aniżeli to, w którym popełnił swoją ostatnią zbrodnię? Kto by podejrzewał płatnego zabójcę o to, że wróci na miejsce przestępstwa? Nikt. Miałem co do tego całkowitą pewność. Przez dziesięć lat byłem przecież najemnym mordercą i ani razu nie wróciłem na miejsce zbrodni, aż do tej chwili.

Musiałem jednak przyznać, że sprowadziłem te ukochane, niewinne duszyczki w miejsce o ogromnym dla mnie znaczeniu.

W najmniejszym nawet stopniu nie zasługiwałem na utraconą przed laty miłość ani na nowo odnalezionego syna, a oni nie mieli o tym bladego pojęcia.

I lepiej będzie, jeśli tak zostanie, bo gdyby dowiedzieli się, kim byłeś i jakich zbrodni się dopuściłeś, gdyby dostrzegli chociaż ślad krwi na twoich rękach, doznaliby niewypowiedzianej krzywdy, z czego doskonale zdajesz sobie sprawę.

Wydawało mi się, że słyszę cichy, niezbyt oddalony ode mnie głos, wyraźnie mówiący: „Racja. Ani słowa, które mogłoby ich skrzywdzić”.

Podniosłem wzrok i dostrzegłem młodego mężczyznę przechodzącego obok nas, wzdłuż ściany, który minął wejście do Amistad Suite i zniknął mi z oczu. Był to ten sam mężczyzna, którego widziałem przed wejściem do lobby, ubranego w garnitur taki sam jak mój, mężczyzna z burzą rudawo-blond włosów i o nieustępliwym, magnetycznym spojrzeniu.

Nie skrzywdzę ich!

- Mówiłeś coś? - zapytała Liona.

- Nie, przepraszam - szepnąłem. - To znaczy, chyba mówiłem do siebie. Przepraszam.



Spojrzałem na drzwi do Amistad Suite. Pragnąłem wymazać tamto morderstwo z pamięci. Igłę wbijającą się w kark, bankiera wyglądającego niczym ofiara udaru, egzekucję przeprowadzoną na tyle sprawnie, by nikt nie domyślił się, że popełniono przestępstwo.

Jesteś człowiekiem pozbawionym serca, Toby O'Dare, pomyślałem, skoro z taką łatwością przyszła ci próba rozpoczęcia nowego rozdziału swojego życia w miejscu, w którym bez mrugnięcia okiem odebrałeś je komuś innemu.

- Wróć do nas - powiedziała łagodnie Liona, uśmiechając się.

- Przepraszam - odparłem. - Za dużo myśli, za dużo wspomnień. - Spojrzałem na nią i poczułem się, jakbym widział ją po raz pierwszy. Jej twarz była taka świeża i ufna.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, ktoś nam przeszkodził.

Na moją prośbę zjawił się jeden z przewodników, któremu powierzyłem Toby'ego, by zabrał go na wycieczkę po „katakumbach” i pozostałych atrakcjach, jakie miał do zaoferowania ten gigantyczny hotel. Mój syn był tym bardzo podekscytowany.

- Zjemy obiad, kiedy wrócisz - zapewniłem go. Chociaż dla nich miała to być raczej wczesna kolacja, skoro jedli już obiad na pokładzie samolotu.

I wtedy nadszedł moment, którego najbardziej się obawiałem i jednocześnie wyczekiwałem, bo oto zostałem z Lioną, bez Toby'ego. Zdjęła czerwoną marynarkę i wyglądała tak ponętnie w swej różowej koszuli, że natychmiast ogarnęło mnie przemożne pragnienie znalezienia się z nią sam na sam, tak by nikt nam nie przeszkadzał, nawet anioły.

W tamtej chwili czułem zazdrość o własnego syna, który miał do nas wkrótce wrócić. Byłem też tak bardzo świadomy, że obserwują nas anioły, że chyba oblałem się rumieńcem.

- Jak mogłaś mi wybaczyć, że zniknąłem w taki sposób?  
-zapytałem nagle.

Po tarasie nie kręcili się żadni turyści. Byliśmy sami przy szklanym stole, tak jak często zdarzało mi się to w przeszłości. Siedzieliśmy pośród donic z drzewkami owocowymi, fioletowym geranium, a Liona była najpiękniejszym kwiatem ze wszystkich.

- Nikt cię nie obwiniął za to, że wyjechałeś - powiedziała. -  
Wszyscy wiedzieli, co się stało.

- Naprawdę? Skąd?

- Kiedy nie pojawiłeś się na ceremonii rozdania dyplomów, domyśliliśmy się, że wyszedłeś na ulicę zarabiać pieniądze grą na lutni. Nietrudno się było domyślić, że spędziłeś w ten sposób całą noc. Ani tego, że kiedy wróciłeś rano do domu, znalazłeś ich. A po wszystkim, no cóż, po prostu wyjechałeś.

- Po prostu wyjechałem - powtórzyłem. - Nie poszedłem nawet na ich pogrzeb.

- Twój wujek Patrick wszystkim się zajął. Wydaje mi się, że za pogrzeb zapłaciła straż pożarna, albo i nie, twój ojciec był przecież policjantem. Mam wrażenie, że to oni pokryli koszty, ale nie jestem pewna. Wybrałam się na pogrzeb. Przyszło mnóstwo twoich krewnych. Ludzie myśleli, że i ty się zjawisz, ale kiedy tak się nie stało, wszyscy to zrozumieli.

- Złapałem samolot do Nowego Jorku - wyjaśniłem.  
-Zabrałem lutnię, zaoszczędzone pieniądze i kilka ukocha-

nych książek, a później wsiadłem do samolotu i nigdy więcej nie oglądałem się za siebie.

- Nie winię cię za to.

- A co z tobą, Liono? Ani razu nie zadzwoniłem, żeby do wiedzieć się, co u ciebie. Nie poinformowałem cię nawet o tym, dokąd wyjechałem ani co robiłem.

- Toby, wiesz, że kiedy kobieta traci rozum tak jak twoja matka, kiedy zabija własne dzieci, równie dobrze może zabić chłopca w twoim wieku. W mieszkaniu znajdował się rewolwer. Policja go znalazła. Ona mogła cię zastrzelić, Toby. Ta kobieta postradała zmysły. Ja nie myślałam o sobie, Toby, martwiłam się wyłącznie o ciebie.

Nie odzywałem się przez dłuższą chwilę. Wreszcie powiedziałem:

- To już nie ma znaczenia, Liono. Zależy mi tylko, żebyś mi przebaczyła, bo ani razu do ciebie nie zadzwoniłem. Wyślę pieniądze wujkowi Patrickowi. Zapłacę za pogrzeb. To żaden problem. Martwię się wyłącznie o ciebie. Ciebie, Toby'ego i, no cóż, mężczyzn w twoim życiu i ewentualne tego konsekwencje.

- W moim życiu nie ma mężczyzn, Toby - odparła. -Przynajmniej od chwili gdy ty się w nim pojawiłeś. Nie myśl, że spodziewam się, iż poślubisz matkę Toby'ego. Przywiozłam tu naszego syna przez wzgląd na was obu.

Poślubisz matkę Toby'ego. Gdybym sądził, że mam do tego prawo, z miejsca padłbym na kolana, na tej werandzie, i oświadczył się jej.

Ale nie zrobiłem tego. Wspominałem dziesięć lat życia, które zmarnowałem, pracując dla Pana Sprawiedliwego.

Rozmyślałem o życiach, jakie odebrałem, pracując dla „agencji”, „Porządnych Ludzi” czy jak inaczej nazwać tych, którym tak niefrasobliwie i ochoczo zaprzedałem swoją osiemnastoletnią duszę.

- Toby, nie musisz mi mówić, czym się zajmowałeś - odezwała się nagle. - Nie musisz mi tłumaczyć, jak wyglądało twoje życie. W moim życiu nie było mężczyzn, ponieważ nie chciałam, żeby mój syn miał ojczyma, ani tym bardziej serię ojczymów, zmieniających się co miesiąc.

Skinałem głową. Byłem jej za to bardziej wdzięczny, niż potrafiłem wyrazić słowami.

- W moim życiu również nie było kobiet, Liono - odparłem. - Och, od czasu do czasu zdarzał się jakiś kontakt, chyba tylko po to, by udowodnić sobie, że jestem mężczyzną. Ale nie było to nic więcej jak właśnie kontakt. Za pieniądze. Nigdy nie narodziła się... intymność. Ani nawet nic, co by ją przypominało.

- Zawsze byłeś dżentelmenem, Toby. Nawet jako chłopiec. Na wszystko potrafisz znaleźć właściwe określenie.

- Cóż, to nie były częste przypadki, Liono. A niewłaściwe słowa nadałyby im żywy koloryt, którego w rzeczywistości były pozbawione.

Liona roześmiała się.

- Nikt nie wysławia się tak jak ty, Toby - powiedziała. - Nigdy nie spotkałam nikogo podobnego do ciebie. Nikogo, kto chociaż trochę by mi ciebie przypominał. Tęskniłam za tobą.

Wiedziałem, że się rumienię. Byłem boleśnie świadomy obecności Malachiasza i mojego Anioła Stróża, niezależnie od tego, czy byli widoczni czy też nie. A co z Aniołem Stró-

żem Liony? Dobry Boże. Przez ułamek sekundy wyobraziłem sobie skrzydlatą istotę za jej plecami. Na szczęście nikt taki się nie zmaterializował.

- W dalszym ciągu wyglądasz niewinnie - zauważyła. - Nadal masz to spojrzenie. Jakby wszystko, co widzisz, było cudem.

Ja? Lucky Szczwany Lis, najemny morderca?

- Któż to wie - wymamrotałem pod nosem. Pamiętałem słowa wypowiedziane przez Pana Sprawiedliwego w noc naszego pierwszego spotkania: że mam najbardziej lodowate spojrzenie, jakie w życiu widział.

- Jesteś teraz postawniejszy - powiedziała, jakby dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę. - Bardziej muskularny, ale to chyba naturalne. Jako chłopiec byłeś taki szczupły. Ale twoja głowa zachowała ten sam kształt, a włosy są gęste jak zwykle. Mogłabym przysiąc, że mają jaśniejszy kolor, ale może to od kalifornijskiego słońca. A twoje oczy wydają się czasami niemal błękitne. - Odwróciła wzrok i powiedziała miękko: -Ciągłe jesteś moim złotym chłopcem.

Uśmiechnąłem się. Przypomniałem sobie, że właśnie tak mnie nazywała: swoim złotym chłopcem. Zawsze wypowiadała te słowa szeptem.

Wymamrotałem pod nosem, że nie potrafię przyjmować komplementów od pięknych kobiet.

- Opowiedz mi o swoich studiach - poprosiłem.

- Literatura angielska. Chciałabym wykładać w college'u. Chaucera lub Szekspira, jeszcze nie podjęłam ostatecznej decyzji. Uczenie w szkole podstawowej sprawia mi dużo przyjemności, więcej niż twierdzi Toby. Patrzy z góry na dzieci w swoim wieku. Jest taki jak ty. Wydaje mu się, że jest dorosły,

i częściej rozmawia ze starszymi niż ze swoimi rówieśnikami. Taką już ma naturę, podobną do twojej.

Roześmialiśmy się, ponieważ Liona miała rację. Był to najprzyjemniejszy rodzaj śmiechu: ten, który pojawia się w odpowiedzi lub jako przerywnik i przychodzi z wielką łatwością ludziom z południa.

- Pamiętasz, że jako dzieci oboje chcieliśmy być wykładowcami w college'u? - zapytała. - Powiedziałeś, że gdybyś mógł uczyć i kupić sobie piękny dom przy Palmer Avenue, byłbyś najszcześniejszym człowiekiem na świecie. A tak przy okazji, Toby chodzi do szkoły imienia Newmana i gdy tylko go o to zapytasz, natychmiast ci odpowie, że to najlepsza szkoła w mieście.

- Zawsze tak było. Na drugim miejscu są jezuici.

- Cóż, niektórzy spieraliby się, komu przyznać pierwsze miejsce. Rzecz w tym, że Toby jest Żydem, więc chodzi do Newmana. Miałam szczęśliwe życie, Toby. Nie zostawiłeś mnie na lodzie, ofiarowałeś mi największy skarb. Zawsze postrzegałam to w ten sposób i nadal tak jest. - Skrzyżowała ramiona i oparła się o stół. Ton jej głosu był poważny i jednocześnie rzeczowy. - Wsiadając do samolotu, myślałam: Pokażę mu skarb, który mi zostawił, i ile ten skarb może dla niego znaczyć.

Zamilkła. Nic nie odpowiedziałem. Nie mogłem. A Liona zdawała sobie z tego sprawę, widząc moje łzy. Nie potrafiłem oddać słowami tego ogromu szczęścia i miłości.

Malachiaszu, czy mogę poślubić tę kobietę? Czy mam do tego prawo? I co z tym drugim aniołem, czy znajduje się blisko mnie? Czy chce, żebym wyciągnął ramiona i ją przytulił?

## ROZDZIAŁ 3

Tamtego popołudnia pojechaliśmy do misji San Juan Capistrano.

Wiedziałem, że Zachodnie Wybrzeże obfituje we wspaniałe miejsca, interesujące dla chłopca w wieku Toby'ego, takie jak Disneyland, park w Universal Studios i inne, których nazw nie potrafiłem wymienić. Ale jedynym miejscem, gdzie pragnąłem go zabrać, była właśnie misja, a Toby wydawał się zachwycony tym pomysłem, i chociaż musiałem załatwić dla nich ciepłe czapki, to przejażdżka bentleyem z opuszczanym dachem podobała się i mojemu synowi, i Lionie.

Kiedy dotarliśmy do misji, zabrałem ich na niespieszny spacer po obiekcie, ogrodach, które tak kochałem, oraz do stawu z karpiami *koi*, który zachwycił Toby'ego. Obejrzeliśmy niektóre z misyjnych wystaw ukazujących życie ludzi w dawnych czasach, ale to historia potężnego trzęsienia ziemi, jakie zniszczyło kościół, najbardziej zafascynowała Toby'ego. Krę-

cił się jak fryga ze swoim iPhoneem, robiąc nam dziesiątki zdjęć w każdej możliwej scenerii.

W pewnym momencie, kiedy kręciliśmy się po sklepie z pamiątkami pełnym różańców i indiańskiej biżuterii, zapytałem Lionę, czy mógłbym zabrać Toby'ego do kaplicy i się z nim pomodlić.

- Wiem, że jest żydem - powiedziałem.

- W porządku - odparła. - Zabierz go i rozmawiaj w taki sposób, jaki uznasz za stosowny.

Weszliśmy do kaplicy na paluszkach, ponieważ jej wnętrze skąpane było w cieniu i ciszy, a kilka osób modlących się w prostych drewnianych ławkach wydawało się traktować tę czynność bardzo poważnie, świece zaś nadawały wnętrzu łagodny, natchniony blask.

Zaprowadziłem go pod ołtarz i uklękliśmy na parze klęczników, przygotowanych z myślą o ceremoniach ślubnych, dla młodej pary.

Zdałem sobie sprawę z tego, jak wiele spotkało mnie i Malachiasza od ostatniej wizyty w tej kaplicy. Kiedy spojrzałem na tabernakulum, niewielki dom Boga na ołtarzu, i na płonące w nim światło, ogarnęła mnie wdzięczność za to, że żyję, nie wspominając już o otrzymanej szansie, by odmienić to życie, ani też o darze w postaci mojego syna Toby ego.

Pochyliłem się w jego stronę. Klęczał z rękami złożonymi do modlitwy podobnie jak ja i nie wydawał się mieć nic przeciwko temu, że znajdujemy się w katolickiej świątyni.

- Chciałbym ci coś powiedzieć i proszę, byś zawsze o tym pamiętał.

Toby kiwnął głową.



- Wierzę, że w tym domu mieszka Bóg - powiedziałem. - Ale wiem też, że On jest wszędzie. W każdej części wszystkich istniejących na tym świecie rzeczy. Wszystkie one stanowią część Boga, Jego stworzenia, a ja wierzę w Niego i w każde z Jego dzieł.

Toby słuchał moich słów ze spuszczonego wzrokiem, nie patrząc na mnie. Skinął tylko głową, kiedy skończyłem.

- Nie spodziewam się, że w Niego uwierzysz tylko dlatego, że ja wierzę - powiedziałem. - Ale chcę, byś wiedział, że tak jest, i gdybym nie myślał, że Bóg przebaczył mi zostawienie ciebie i twojej matki, cóż, pewnie nie miałbym odwagi sięgnąć po telefon, zadzwonić do niej i powiedzieć, gdzie jestem. Wierzę jednak, że Bóg mi wybaczył, a teraz moim zadaniem jest walczyć o przebaczenie twoje i jej i właśnie taki cel sobie postawiłem.

- Wybaczam ci - odparł słabym głosem. - Z całego serca. Uśmiechnąłem się i pocałowałem go w czubek głowy.

- Wiem, że mi wybaczasz. Wiedziałem o tym od chwili, gdy pierwszy raz cię zobaczyłem. Ale wybaczenie nie zawsze przychodzi od razu, czasami wymaga większych starań i jestem gotów je podjąć. Ale... Nie tylko to chciałem ci powiedzieć. Jest coś jeszcze.

- Zamieniam się w słuch - powiedział Toby.

- Zapamiętaj to sobie - poprosiłem, a później się zawahałem. Nie wiedziałem, jak zacząć. - Rozmawiaj z Bogiem - powiedziałem. - Niezależnie od tego, jak się czujesz, z jakimi problemami się mierzysz, co cię gnębi, rozczarowuje lub niepokoi. Rozmawiaj z Bogiem. Nigdy nie przestawaj do Niego mówić. Rozumiesz mnie? Mów do Niego. Pamiętaj, że jeśli nawet na

świecie coś dzieje się nie tak, jak trzeba, lub nie po twojej myśli, albo przychodzi ci z trudnością, cóż, to wcale nie znaczy, że Boga nie ma. Nie mam na myśli tej kaplicy. Mam na myśli cały świat. Mów do Niego. Nieważne, ile upłynie lat ani co się wydarzy, zawsze z Nim rozmawiaj. Spróbujesz o tym nie zapominać? Toby kiwnął głową.

- Od kiedy mam zacząć? Roześmiałem się pod nosem.

- Od kiedy chcesz. Zaczynij teraz, słowami albo i bez słów, i nie przestawaj rozmawiać. Nigdy nie pozwól, by cokolwiek stało pomiędzy tobą a rozmowami z Bogiem.

Poważnie zadumał się nad tym, co powiedziałem, a później kiwnął głową.

- Porozmawiam z Nim teraz - powiedział. - Może wolałbyś poczekać na zewnątrz?

Byłem zdumiony dojrzałością jego odpowiedzi. Podniosłem się, ponownie ucałowałem go w czoło i powiedziałem, że zaczekam tuż przed wejściem, aż będzie gotów, by do mnie dołączyć.

Wyszedł po jakichś piętnastu minutach i zaczęliśmy wspólnie przemierzać ogrodowe ścieżki, a on ponownie zaczął robić zdjęcia i nie mówił zbyt wiele. Szedł jednak bardzo blisko mnie, a kiedy ujrzałem Lionę, siedzącą na ławce i uśmiechającą się, gdy tak razem szliśmy, nappełniło mnie tak wielkie szczęście, że nie potrafiłem znaleźć słów, by je opisać. Wiedziałem, że nigdy ich nie znajdę.

Toby i ja wróciliśmy do gigantycznej skorupy po zrównanym kościele, największej pozostałości dawnego trzęsienia ziemi.

Po raz pierwszy dostrzegłem Malachiasza, opartego dość niedbale, mimo swoich eleganckich ubrań, o zakurzony, ceglany mur.

- Znowu on - odezwał się Toby.

- Chcesz powiedzieć, że już go wcześniej widziałeś? - zapytałem.

- Aha, obserwował nas. Był w kaplicy, kiedy i my tam byliśmy. Widziałem go, wychodząc.

- Cóż, można powiedzieć, że dla niego pracuję - powiedziałem - i ma mnie na oku.

- Jest młody jak na czyjegoś szefa - zauważył Toby.

- Nie daj się zwieść - odparłem. - Zaczekaj tu chwilę. Myślę, że chce ze mną zamienić słówko, ale krępuje się nam przeszkadzać.

Przemierzyłem spękaną ziemię, aż w końcu zrównałem się z Malachiaszem i przysunąłem się dostatecznie blisko, by żaden z turystów nie usłyszał tego, co miałem mu do powiedzenia.

- Kocham ją - powiedziałem. - Czy to możliwe, bym ją kochał? Kocham jego, owszem, to mój syn i powinienem go kochać, dziękuję niebiosom, że mi go zesłały, ale co z nią? Czy będzie dość czasu i świata, żebym ją kochał?

- Dość czasu i świata - powtórzył z uśmiechem. - Och, to bardzo piękne słowa i przypomniały mi one to, o co sam cię proszę. Dość czasu i świata jest tym, co musisz mi ofiarować - powiedział.

- Ale co z nią? - nie ustępowałem.

- Tylko ty znasz odpowiedź, Toby - oznajmił. - A może powinienem powiedzieć, że oboje ją znacie. Myślę, że Liona też potrafiłaby odpowiedzieć na to pytanie.

Miałem zamiar zapytać go o drugiego anioła, ale mnie opuścił. Nie miałem nawet pojęcia, jak to wyglądało w oczach innych ludzi.

Odnalazłem swojego syna przy stawie z karpami *koi*, zajętego robieniem zdjęć i pełnego determinacji, by schwycić rybę, która nie chciała mu na to pozwolić.

Popołudnie upłynęło bardzo szybko.

Zrobiliśmy zakupy w San Juan Capistrano, a później przejechaliśmy się wzdłuż wybrzeża. Żadne z nich nie widziało wcześniej Pacyfiku i udało nam się znaleźć kilka zapierających dech w piersiach punktów obserwacyjnych, a Toby chciał zrobić tyle zdjęć, ile tylko się da.

Kolację zjedliśmy w mrocznej i klimatycznej restauracji Duane w Mission Inn. Matka i syn byli nią w równym stopniu oczarowani. Kiedy nikt nie patrzył, Liona pozwoliła Toby'emu upić łyk czerwonego wina ze swojego kieliszka.

Rozmawialiśmy o Nowym Orleanie w tragicznych dniach po przejściu huraganu Katrina i o rozmiarach kataklizmu. Widziałem, że przeżycia związane z klęską żywiołową są dla Toby'ego wspaniałą przygodą, chociaż dziadek kazał mu odrabiać prace domowe w motelach, do których musieli się przenieść w najtrudniejszych momentach, i że dla Liony jakaś częśćka Nowego Orleanu odeszła raz na zawsze.

- Myślisz, że jeszcze kiedyś się tam przeprowadzisz? - zapytał Toby.

- Nie wiem - odparłem. - Chyba jestem teraz człowiekiem wybrzeża, ale istnieją rozmaite powody, dla których ludzie mieszkają w różnych miejscach.

Toby zareagował na moje słowa z szybkością, od której zakłuło mnie serce.

- Mógłbym tutaj zamieszkać.

Na twarzy Liony niespodziewanie pojawił się grymas bólu. Odwróciła wzrok, a później spojrzała na mnie. Nie bardzo potrafiłem ukryć swoje emocje. Impulsy, nadzieje i nagły, wulkaniczny przyływ marzeń odebrały mi trzeźwość myślenia. Było w tym coś tragicznego. Ogarnął mnie posepny pesymizm. Nie mam żadnych praw ani do niej, ani do tego.

Niczego nie widziałem w mglistym mroku restauracji. A później dotarło do mnie, że patrzę na dwóch mężczyzn przy stoliku najbliższym nas. Na Malachiasza i mojego Anioła Stróża. Siedzieli nieruchomo jak na obrazie, spoglądając na mnie tak, jak to mają w zwyczaju namalowane postacie: kątem nieruchomego oka. Przełknąłem ślinę. Poczulem wzbierającą we mnie żądzę. Nie chciałem, żeby o tym wiedzieli.

Dotarłszy do drzwi swojego apartamentu, Liona zwlekała z odejściem. Toby dumnie pobiegł do swojego pokoju, gdzie miał zamiar skorzystać ze swojego prysznica. Pośród cieni tarasu zaszyli się tamci dwaj. Byłem tego świadomy. Zauważyłem ich, kiedy szliśmy ścieżką. Liona o tym nie wiedziała. Może nie byli dla niej widoczni. Stałem w milczeniu, nie mając śmiałości, by się do niej zbliżyć, dotknąć jej ramion ani pochylić się i złożyć na jej ustach choćby najlżejszy pocałunek. Pożądanie odebrało mi całą radość. Cierpiałem katusze.

Czy wy dwaj potraficie zrozumieć, że kiedy wezmę tę kobietę w ramiona, będzie się po mnie spodziewała czegoś wię-

cej niż braterskiego uścisku? Niech to szlag, każdy dżentelmen by tak postąpił, choćby po to, żeby miała szansę mu odmówić! Cisza.

Może moglibyście przez chwilę zaopiekować się kimś innym?

Wyraźnie usłyszałem odgłos śmiechu. Nie był on złośliwy ani szyderczy, ale niewątpliwie był to śmiech.

Pocałowałem ją szybko, w policzek, i odszedłem w stronę własnego pokoju. Wiedziałem, że była rozczarowana. Sam czułem rozczarowanie. Cholera, byłem wściekły. Odwróciłem się i oparłem o drzwi Amistad Suite. Oczywiście siedzieli przy okrągłym stole. Malachiasz miał ten sam łagodny i kochający wyraz twarzy co zawsze, ale mój Anioł Stróż sprawiał wrażenie zaniepokojonego, jeśli można tak powiedzieć, i spoglądał na mnie takim wzrokiem, jakby się o mnie bał. Potok gniewnych słów wstąpił na moje usta, ale obaj zniknęli równie szybko, jak się pojawili.

Około dwudziestej trzeciej wstałem z łóżka i wyszedłem na taras. Wcześniej nie zmrużyłem oka.

W powietrzu czuć było wilgoć i chłód, jak to się często zdarzało nocą w Kalifornii, nawet jeśli dzień był ciepły. Z rozmysłem pozwoliłem, by moje ciało ogarnęło zimno. Zastanawiałem się, czy nie zapukać do jej drzwi. Modliłem się. Zamartwiałem. Obserwowałem. Nie potrafiłem sobie przypomnieć, bym kiedykolwiek pragnął kogoś bardziej niż Liony w tym momencie. Po prostu jej pragnąłem. Ciało leżącej w tamtym apartamencie Liony wydawało mi się bardziej rzeczywiste niż cokolwiek innego.

Nagle zrobiło mi się wstyd. Od pierwszej chwili gdy rozmawiałem z Lioną przez telefon, wyobrażałem ją sobie w swoich ramionach i byłem tego świadomy. Kogo próbowałem oszukać, mówiąc o jej oczekiwaniach, o byciu dżentelmenem, a także o wzniosłości uczucia, jakim jest miłość, i powrocie po tylu latach oraz całej reszcie? Pragnąłem pocałować i pojąć Lionę. Czemu właściwie miałbym nie pragnąć? I czy to w porządku, że zadręczałem się tym pragnieniem? Kochałem ją, do diaska. W głębi duszy nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości. Mogłem ją kochać aż do śmierci. Nie obchodziły mnie konsekwencje, byłem na to gotowy, gotowy na wszystko.

Właśnie miałem wrócić do swojego pokoju, kiedy zobaczyłem stojącego nieopodal Malachiasza.

- Co znowu!?! - odezwałem się gniewnie.

Moja reakcja najwyraźniej wytrąciła go z równowagi, ale błyskawicznie się opanował. Wydawało mi się, że dostrzegłem błysk rozczarowania na jego twarzy. Mimo to przemówił do mnie z uśmiechem. Jego głos był jak zawsze pieszczotliwy, przepełniony ostrożną czułością, która sprawiała, że słowa Malachiasza docierały do głębi mojej duszy.

- Inni ludzie daliby prawie wszystko, by na własne oczy ujrzeć przejawy Opatrzności, które ty widziałeś - powiedział. - Ale w dalszym ciągu jesteś człowiekiem.

- Co możesz na ten temat wiedzieć? - zapytałem. - I co pozwala ci sądzić, że nie wiem o tym wszystkim?

- Wcale tak nie myślisz - powiedział łagodnie. Jego słowa brzmiały niezwykle przekonująco.

- Może i obserwujesz ludzi od zarania dziejów - odparłem - ale to nie znaczy, że wiesz, jak to jest być jednym z nich.

Nic nie odpowiedział. Wyraz jego cierpliwej, kochającej twarzy rozwścieczył mnie.

- Zamierzasz mi towarzyszyć już zawsze, aż do dnia, w którym wyzionę ducha? - zapytałem. - Czy jeszcze kiedyś będę z kobietą sam na sam, bez waszego towarzystwa, twojego i Anioła Stróża? Tym właśnie jest, prawda? Moim Aniołem Stróżem? Jak ma na imię? Czy już zawsze będziecie mi deptać po piętach? - Odwróciłem się i wycelowałem w niego palec, jakby to była lufa pistoletu. - Jestem człowiekiem - powiedziałem. - Istotą ludzką, mężczyzną! A nie mnichem czy księdzem.

- Niewątpliwie żyłeś jak mnich, kiedy parałeś się zabójstwem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Rok po roku odmawiałeś sobie kobiecego ciepła i miłości. Sądziłeś, że na nie nie zasługujesz. Nie mogłeś znieść towarzystwa niewinnej kobiety ani ciepła tej, która mogłaby cię zaakceptować. Czy teraz na to zasługujesz? Jesteś już gotowy?

- Nie wiem - wymamrotałem.

- Czy chcesz, żebym odszedł? - zapytał.

Oblał mnie zimny pot, a serce zaczęło walić w piersi jak szalone.

- Zwykła żądza odbiera mi rozum - szepnąłem. Wydaje mi się, że w moim głosie słychać było błaganie. - Nie, nie chcę, żebyś odchodził - wymamrotałem. - Nie chcę tego. - Pokręciłem głową, pokonany.

- Toby, anioły były przy tobie przez cały czas. Widziały wszystko, co robisz. Przed niebiosami nie można niczego ukryć. Jedyne różnica polega na tym, że teraz jesteś w stanie



nas dostrzec. Ta zdolność powinna stanowić dla ciebie źródło mocy. Wiesz o tym. A twój Anioł Stróż ma na imię Shmarya.

- Posłuchaj, ja chcę być przepelniony zachwytem, wdzięcznością, pokorą, dobrymi uczuciami! A niech to, pragnę być świętym! - zająknąłem się. - Ale nie potrafię. Nie umiem... Powiedziałeś, że jak ma na imię?

- Czego nie potrafisz? - zapytał. - Zachować powściągliwości? Odmówić sobie natychmiastowego zaspokojenia namiętności z tą kobietą, skoro spędziłeś w jej towarzystwie niespełna dobę? Powstrzymać się od wykorzystania jej słabości? Nie potrafisz być mężczyzną honorowym, jakim chciałby cię widzieć twój syn?

Jego słowa nie zabolowałyby mnie bardziej, nawet gdyby wypowiedział je w gniewie. Łagodna perswazja w głosie Malachiasza obnażyła wszystkie kłamstwa, jakimi wcześniej się karmiłem.

- Wydaje ci się, że nie rozumiem - powiedział ze spokojem. - Powiem ci, co myślę. Gdybyś teraz posiadał tę kobietę, znenawidziłaby się za to, a po głębszym zastanowieniu znenawidziłaby także ciebie. Ta kobieta żyła samotnie przez dziesięć lat ze względu na siebie i swojego syna. Okaż jej szacunek. Zdobądź jej zaufanie. Do tego potrzeba czasu, czyż nie?

- Chciałbym, żeby wiedziała, co do niej czuję.

- Czy powiedziałem, że nie wolno ci wyznaczyć tej kobiecie miłości? Czy zabroniłem ci okazać jej w drobnym stopniu to, co do tej pory trzymałeś na wodzy?

- Och, anielskie gadanie! - przerwałem mu. Znowu byłem wściekły.

Malachiasz ponownie się roześmiał.

Przez długą chwilę staliśmy w milczeniu. Znowu czułem wstyd, wstydzilem się swojego gniewu.

- Nie mogę z nią teraz być, prawda? - zapytałem. - Nie mówię o pożądaniu. Mam na myśli prawdziwą miłość i przyjaźń, a także naukę, jak pokochać każdą jej cząstkę i pozwolić, by każdego dnia przynosiła mi ocalenie. Chciałeś, żebym poznał swojego syna dla dobra jego i jego matki. Ale nie mogę mieć ich obojga, nie mogę ich wpuścić do swojego życia, prawda?

- Kroczyłeś ciemnymi i niebezpiecznymi ścieżkami, Toby.

- Czyż nie uzyskałem przebaczenia?

- Owszem, przebaczone ci. Ale czy to rozsądne, by odwrócić się od takiego życia, jakie do tej pory wiodłeś, i nie liczyć się z konsekwencjami?

- Nie. Ani na chwilę o nich nie zapominam.

- Czy to uczciwe, byś nie odkupił swoich win?

- Nie. Muszę zadośćuczynić krzywdom.

- Czy to uczciwe, byś złamał swoją obietnicę czynienia ze mną na tym świecie dobra zamiast zła?

- Nie - odparłem. - Nie złamię tej obietnicy, nigdy. Mam wobec tego świata ogromny dług za wszystkie swoje złe uczynki. Dzięki Bogu wskazałeś mi sposób, w jaki mogę ten dług spłacić.

- I nie przestanę ci go wskazywać - powiedział. - A tymczasem bądź silny dla niej, matki twojego syna, bądź silny dla niego i dla mężczyzny, na jakiego może wyrosnąć. I nie łudź się co do swoich dawnych uczynków, ogromu ich okrucieństwa. Pamiętaj, że ta piękna młoda kobieta także ma swojego anioła. Nawet się nie domyśla, kim byłeś przez te wszystkie lata. Gdyby o tym wiedziała, mogłaby się nie zgodzić, byś

zbliżył się do tego dziecka. A przynajmniej tak twierdzi jej Anioł Stróż.

Kiwnąłem głową. Myślenie o tym wszystkim było zbyt bolesne, chociaż nie mogłem zaprzeczyć żadnemu ze słów Malachiasza.

- Powiem ci coś jeszcze - kontynuował. - Gdybym nawet cię teraz zostawił, gdybyś nigdy więcej mnie nie zobaczył, gdybyś doszedł do wniosku, że moje wizyty były tylko przywidzeniem, to i tak nie mógłbyś powrócić do swojego dawnego życia, bo zjadłyby cię wyrzuty sumienia. Niezwykłe uczynki wymagają niezwykłych zmian. W rzeczy samej sumienie może zażądać od ludzkich istot tego, czego nie żąda nawet sam Stwórca, a anioły nawet tego nie sugerują, bo nie mają takiej potrzeby. Sumienie stanowi część człowieczeństwa. A twoje sumienie zabijało cię, jeszcze zanim się pojawiłem. Nigdy nie byłeś człowiekiem pozbawionym sumienia, Toby. Twój Anioł Stróż, Shmarya, mógłby to potwierdzić.

- Przepraszam - powiedziałem cicho. - Przepraszam za to wszystko. Zawiodłem cię. Malachiaszu, nie odwracaj się ode mnie.

Roześmiał się, łagodnie i kojąco.

- Nie zawiodłeś mnie! - zapewnił dobrotliwie. - Cuda przychodzą w odpowiednim dla ludzi momencie. Nie ma dość czasu i świata, by się do nich przyzwyczaili. Nigdy nie zdołają tego zrobić. A ja rzeczywiście obserwuję ich od zarania dziejów. Ludzie zaś nie przestają mnie zaskakiwać.

Uśmiechnąłem się. Byłem zmęczony i trudno mi było zachować pogodę ducha, ale wiedziałem rzecz jasna, że wszystko, co mówi, jest prawdą. Złość minęła.

- I jeszcze jedno - powiedział ciepło. Jego twarz łagodziło niezaprzeczalne współczucie. - Shmarya prosi, bym ci to powiedział. - Wypowiadając te słowa, leciutko uniósł brwi. -Mówi, że skoro nie możesz być świętym, mnichem czy też księdzem, to postaraj się być bohaterem.

Roześmiałem się.

- A to dobre - powiedziałem. - Wprost wyborne. Shmarya wie, za jakie sznurki pociągnąć, mam rację? - Znowu wybuchnąłem śmiechem. Nie mogłem się powstrzymać. -Czy mógłbym z nim porozmawiać, jeśli przyjdzie mi na to ochota?

- Rozmawiasz z nim od wielu lat - odparł Malachiasz. -A teraz on przemawia do ciebie. A kimże jestem, by przeszkadzać w pięknej rozmowie?

Byłem na tarasie sam.

Tak po prostu. Zupełnie sam.

Noc ziała pustką. Moje stopy były bose i przemarznięte.

Następnego ranka poszedłem na śniadanie do apartamentu Liony i Toby ego.

Toby był już na nogach, ubrany w błękitny blezer i spodnie khaki. Oznajmił mi, że spał w swoim pokoju, w swoim łóżku. Pokiwałem głową, jakby tego właśnie oczekiwał świat od młodych, dziesięcioletnich mężczyzn, nawet jeśli ich matki miały zarezerwowane ogromne łoża w rozmiarze królewskim w luksusowych hotelowych apartamentach.

Zamówiliśmy śniadanie do pokoju i zjedliśmy je przy pięknie nakrytym stole, zastawionym hotelową zastawą i przykryciami, dzięki którym potrawy pozostały smakowicie gorące.

Czułem, że nie przeżyję rozstania z Tobym i Lioną.

Czułem, że go nie zniosę, a jednocześnie miałem pełną świadomość, że nie mam innego wyjścia.

Przyniosłem z sobą skórzaną torbę, a kiedy już uprzątnięto ze stołu, wyjąłem z niej dwie teczki i podałem je Lionie.

- Co to takiego? - zapytała, a gdy odrzekłem, że może przeczytać dokumenty w samolocie, uparła się, żebym wyjaśnił jej wszystko teraz.

- Fundusze powiernicze, między innymi, jeden dla ciebie, drugi dla niego, a także lokata, z której będziecie otrzymywać co miesiąc pewną kwotę, niestanowiącą dla mnie problemu; powinna ona spokojnie pokryć koszty waszego utrzymania. Oczywiście to nie wszystko.

- O nic cię nie prosiłam - przypomniała mi z prostotą.

- Nie musisz prosić. Chcę wam ofiarować te pieniądze. Wystarczy ich na naukę za granicą, jeśli tylko będziesz sobie tego życzyła. Tobym może się wybrać do Anglii, Szwajcarii, wszędzie tam, gdzie będzie mógł uzyskać najlepsze wykształcenie. Może mógłby wyjeżdżać na lato, a resztę roku spędzać w domu. Nie znam się na tym. Nigdy się nie znałem. Ale ludzie w szkole Newmana będą wiedzieli, jak to wszystko załatwić. Podobnie jak twój ojciec.

Liona siedziała z tymi teczkami, nie otwierając ich, a później po policzkach zaczęły jej spływać łzy. Pocałowałem ją. Przytuliłem najczulej, jak potrafiłem.

- Wszystko, co mam, pozostawiam do waszej dyspozycji - powiedziałem. - Wyślę ci więcej informacji, kiedy tylko będę mógł. Prawnicy zawsze zadają mnóstwo pytań i to wszystko wymaga czasu. - Zawahałem się, a później mówi-

łem dalej: - Posłuchaj, wiele rzeczy może być dla ciebie zastanawiających. Moje nazwisko nie pojawia się w tych papierach, ale wiedz, że tego, które się w nich znajduje, używam w interesach. Brzmi ono Justin Booth. Użyłem go również, by zapłacić za wasze bilety lotnicze i pokoje w hotelu. Powiedz swoim prawnikom, że podatek od darowizny, za wszystko, co przekazałem tobie i małemu Toby'emu, został już opłacony.

- Toby, nie spodziewałam się tego - powiedziała.

- Jest coś jeszcze. Oto telefon na kartę. Nie rozstawaj się z nim. Pin i wszelkie potrzebne dane znajdują się na odwrocie. To wszystko, czego ci potrzeba, żeby reaktywować kartę. Możesz to zrobić w bardzo wielu punktach usługowych, bez najmniejszego problemu. Będę do ciebie dzwonił na ten numer.

Pokiwała głową z powagą. Zachowała się niezwykle uprzejmie, przyjmując to wszystko i nie pytając, skąd te tajemnice i przybrane nazwisko.

Pocałowałem ją raz jeszcze, ucałowałem jej powieki, policzki, a później usta. Zachowała dawną czułość i uległość. Zapach jej włosów był taki sam jak przed laty. Miałem ochotę wziąć ją w ramiona, zanieść do sypialni, posiąść ją i przywiązać do siebie raz na zawsze.

Zrobiło się późno. Samochód czekał już na nich na dole. Mały Toby przyszedł nam powiedzieć, że się spakował i jest gotowy do lotu. Chyba nie spodobało mu się, że całuję jego matkę. Stał u jej boku, odważnie mi się przyglądając. A kiedy ucałowałem i jego, zapytał podejrzliwie:

- Kiedy znowu cię odwiedzimy?

- Kiedy tylko będę mógł wszystko zorganizować - odparłem. Bóg jeden wiedział, kiedy to nastąpi.

Odprowadzenie ich było najdłuższym spacerem w moim życiu, chociaż Toby był zachwycony bieganiami w górę i w dół po schodach liczącej aż pięć pięter rotundy i wsłuchiwaniami się w echo własnego głosu odbijającego się od ścian. W takich momentach tracił nieco z otaczającej go aury młodego dżentelmena.

Zbyt szybko znaleźliśmy się przed hotelem, gdzie czekał samochód. Był to kolejny z rześkich kalifornijskich dni. Wszystkie kwiaty w zajeździe zdawały się pysznić swoją urodą, a ptaki na gałęziach łagodnie wyśpiewywały swoje trele.

- Zadzwoń do ciebie, gdy tylko będę mógł - obiecałem.

- Zrób coś dla mnie - powiedziała przyciszonym głosem.

- Co tylko zechcesz.

- Nie mów, że zadzwonisz, jeśli nie zamierzasz tego zrobić.

- Nie, najdroższa - odparłem. - Zadzwoń do ciebie na pewno, choćby się waliło i paliło. Po prostu nie potrafię dokładnie określić, kiedy to nastąpi. - Zastanowiłem się przez chwilę, a później dodałem: - Daj mi dość czasu i świata. Zapamiętaj te słowa. Jeśli się spóźnię, wypowiedz je do mnie. Daj mi dość czasu i świata.

Objąłem ją ramionami i tym razem naprawdę ją pocałowałem, nie dbając o to, kto na nas patrzy, choćby nawet był to mały Toby, a kiedy wypuściłem Lionę z objęć, cofnęła się o krok, jakby straciła równowagę, podobnie zresztą jak ja.

Podniosłem Toby'ego, przytuliłem, spojrzałem na niego, a później ucałowałem go w czoło i w oba policzki.

- Wiedziałem, że taki będziesz - oświadczył.

- Gdybym powiedział Bogu, że pragnę mieć idealnego syna - powiedziałem - i gdybym miał dość tupetu, by powiedzieć Mu, jak takiego syna stworzyć, no cóż, moim zdaniem Bóg i tak nie spisałby się lepiej.

Później samochód odjechał, Toby i Liona odjechali, a zachwycający swoją urodą świat Mission Inn wydał mi się pusty jak nigdy dotąd.



## ROZDZIAŁ 4

Dotarłem do swojego apartamentu, nim zdałem sobie sprawę z obecności czekającego na mnie Malachiasza. Siedział przy czarnym żelaznym stole i płakał. Opierał się łokciami o blat stołu, a twarz zakrywał dłońmi.

- Co ci jest!? - krzyknąłem. - Co się stało? - Usiadłem obok niego. - Czy to przeze mnie? Czym ci zawiniłem?

Wyprostował się i posłał mi najłagodniejszy i najsmutniejszy z uśmiechów.

- Naprawdę się o mnie martwisz? - zapytał.

- Tak. Nigdy wcześniej nie widziałem, żebyś płakał. Wyglądałeś na załamanego.

- Nie załamałem się, lecz sądzę, że jestem tego bliski. Niepotrzebnie uwierzyłem akademikom - oznajmił. Miał na myśli teologów nauczających na uniwersytetach, takich jak Tomasz z Akwinu.

- Tym, którzy twierdzą, że nie masz serca.

- Wasza trójka doprowadziła mnie do łez - powiedział.  
- Dlaczego? Wzruszył ramionami.  
- W miłości, którą wzajemnie się darzycie, usłyszałem echo niebios.

- Teraz to ty sprawiłeś, że do oczu napłynęły mi łzy - odparłem. Nie mogłem oderwać wzroku od Malachiasza i przejmującego wyrazu jego twarzy. Miałem ochotę go przytulić.

- Nie musisz mnie pocieszać - zauważył z uśmiechem. - Ale jestem poruszony twoją gotowością do tego. Nawet nie wiesz, jaka to dla nas zagadka: sposób, w jaki kochają ludzie, ich dążenie do kompletności. Każdy anioł jest kompletny. Mężczyźni i kobiety żyjący na Ziemi nigdy tacy nie będą, ale kiedy szukają tego rodzaju spełnienia w miłości, sięgają po część nieba.

- I ty mi mówisz o zagadkach - skwitowałem. - Wyglądasz jak człowiek, mówisz jak człowiek, ale nim nie jesteś.

- Z całą pewnością nie.

- Jak wyglądasz, kiedy stajesz przed Bożym Tronem? - zapytałem.

Wydał z siebie śmiech pełen łagodnej dezaprobaty.

- Przed Tronem Stwórcy jestem istotą duchową - wyjaśnił miękko. - Teraz jestem duchem zamieszkującym ciało stworzone na potrzeby tego świata. Wiesz o tym.

- Czy kiedykolwiek odczuwasz samotność?

- A jak ci się wydaje? - zapytał. - Czy mogę być samotny?

- Nie - odparłem. - Tylko anioły z hollywoodzkich filmów cierpią samotność.

- Święta prawda - powiedział, uśmiechając się szeroko.  
- Nawet ja im współczuję. Nadejdzie czas, gdy zrozumiesz, czym jestem, bo staniesz się taki jak ja, za to ja nigdy nie zrozumiem, co to znaczy być tobą w tym momencie. Mogę sobie tylko wyobrazić.

- Nie chcę się z nimi już nigdy więcej rozstawać - oznajmiłem.  
- Nie potrafię przestać o nich myśleć. Skoro nie mogę z nimi być, będą słyszeć mój głos mimo dzielących nas kilometrów regularnie i często. Będą mieli wszystko, co tylko zdołam im zapewnić.

Nagle ogarnęła mnie silna panika. Pieniądze, które zebrałem przez wszystkie te lata, były zbrukane krwią. Ale innych nie miałem - i mogłem je spożytkować dla Liony i Toby'ego, tym samym je oczyszczając, prawda? Nie mogłem zlikwidować funduszy powierniczych, które już utworzyłem. Modliłem się, by Malachiasz tego nie skomentował.

- Należycie teraz do siebie - powiedział.

- Co ty sugerujesz? - zapytałem. - Czy to znaczy, że pewnego dnia jakimś cudem będę mógł mieszkać z Lioną i Tobym pod jednym dachem?

Przez chwilę sprawiał wrażenie zamyślnego, a później odparł:

- Zastanów się nad tym, co już się wydarzyło. Dzięki miłości, którą teraz przeżywasz, przeszedłeś przemianę. Spójrz na siebie. A podczas tej krótkiej wizyty udało ci się raz na zawsze odmienić bieg życia Liony i Toby'ego. Nie przeżyjesz ani jednego dnia bez świadomości, że ich masz, że cię potrzebują, że nie możesz ich zawieść. A oni nie przeżyją ani jednego momentu, w którym nie czuliby twojej miłości

i opieki. Czy nie dostrzegasz zmian, jakie już się dokonują? Mieszkanie pod wspólnym dachem to tylko jeden z ich aspektów.

- Postrzegasz tę sprawę bezdusznie - powiedziałem, zanim zdążyłem ugryźć się w język. - Nie wiesz, jak ważne dla ludzi jest mieszkanie pod wspólnym dachem.

- Owszem, wiem. Nie odpowiedziałem.

Malachiasz czekał. Dostrzegalem istotę tego, co przydarzyło mi się z Lioną i Tobym, muszę jednak przyznać, że wizja nieograniczonych możliwości, jakie dały wspólnie spędzone chwile, nie powstrzymała mnie od tęsknoty za czymś o wiele większym.

- Potrafisz kochać - odezwał się. - To najważniejsze. Potrafisz kochać nie tylko ludzi, którzy objawili się na twojej drodze w Czasie Aniołów. Potrafisz kochać ludzi we własnych czasach. Ta kobieta i chłopiec nie przerazili cię. Twoje serce bije nową, prawdziwą miłością, której jeszcze dwa dni temu nie byłeś w stanie sobie wyobrazić.

Byłem zbyt przytłoczony jego słowami, by odpowiedzieć. Przypomniałem sobie, Lionę i małego Tobyego, tak jak wyglądali podczas naszego pierwszego spotkania.

- Nie. Nie wiedziałem, że potrafię kochać w taki sposób - szepnąłem.

- Wiem o tym - odparł.

- I nigdy ich nie zawiodę - zapewniłem. - Ale miej nade mną litość, Malachiaszu. Powiedz mi, że pewnego dnia będę mógł z nimi zamieszkać pod jednym dachem. Powiedz mi, że przynajmniej jest to możliwe, niezależnie od tego, czy sobie

na to zasłużyć. Powiedz mi, że pewnego dnia znajdę sposób, by sobie na to zasłużyć. Daj mi choć cień nadziei.

Przez chwilę nic nie mówił. Łzy w oczach Malachiasza wyschły. Sprawiał wrażenie spokojnego i zadumanego. Jego wzrok badawczo błędził po mojej postaci. W końcu spojrzał mi prosto w twarz.

- Niewykluczone - powiedział. - Być może istnieje dość czasu i świata, by tak się stało. W dalekiej przyszłości. Ale nie wolno ci się nad tym zastanawiać, ponieważ teraz jest to mało prawdopodobne. - Zawiesił głos, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, a później zmienił zdanie.

- Czy mógłbyś popełnić błąd? - zapytałem. - Nie żebym sobie tego życzył, po prostu chciałbym wiedzieć. Czy możesz się mylić w jakiejś sprawie?

- Tak - odparł. - Tylko Stwórca wie wszystko.

- Ale nie możesz zgrzeszyć.

- Nie - przyznał z prostotą. - Dawno temu dokonałem wyboru: zostałem przy Stwórcy.

- Dobry Boże, czy nie możesz mi powiedzieć...?

- Nie teraz, a może nawet nigdy - powiedział. - Nie jestem tu po to, by opowiedzieć ci historię Stwórcy i Jego aniołów, piękny młody człowieku. Znalazłem się tutaj, żeby cię lepiej poznać, pokierować tobą i poprosić cię o oddaną służbę. A teraz zostaw swoje kosmiczne pytania Niebiosom i przejdźmy do pracy, jaką musisz wykonać.

- Och, ofiaruj mi dość czasu i świata, bym odpracował wszystkie swoje uczynki, a także dość czasu i świata...

- O tak, zapamiętaj dobrze te słowa - powiedział - ponieważ tam, dokąd cię wysyłam, czeka na ciebie szereg skompli-

kowanych zadań. Nie wybierasz się już do Anglii ani do tego samego wieku co poprzednio, lecz do innych czasów, w których sytuacja żydowskich dzieci Boga jest jednocześnie lepsza i gorsza.

- A zatem będziemy odpowiadać na żydowskie modlitwy.

- Owszem. Tym razem chodzi o młodego mężczyznę imieniem Vitale, którego modlitwy są jednocześnie desperackie i pełne wiary. Pójdiesz do niego i odkryjesz tajemnice, które tylko ty będziesz potrafił zrozumieć. Chodźże. Nadszedł czas, byś rozpoczął swoją misję.

\*

W mgnieniu oka zostawiliśmy taras za sobą.

Nie wiem, jak widzieli to inni ludzie, o ile cokolwiek zobaczyli. Wiedziałem tylko, że zostawiliśmy rzeczywisty świat Mission Inn, a także realny świat Liony i Toby ego i po raz kolejny znaleźliśmy się wysoko w chmurach. Jeśli miałem jakąś formę, to nie dostrzegałem jej ani nie czułem. Widziałem tylko otaczający mnie wilgotny biały wir i rozbłyskujące gdzieś gwiezdy. Nadstawiłem uszu na niebiańską muzykę, ale słyszałem raczej zawodzenie wiatru, szybkiego, ożywczego i obmywającego mnie do czysta ze wszystkich myśli dotyczących niedalekiej przeszłości - a przynajmniej tak mi się wydawało.

Nagle ujrzałem rozciągające się przede mną ogromne i na pozór bezkresne miasto, miasto kopuł i ogrodów na dachach domostw, strzelistych wież i krzyży pod przelewającymi się

warstwami chmur. Malachiasz był ze mną, ale nie widziałem go, podobnie jak i siebie. Dostrzegłem jednak znajome wzgórza oraz wysmukłe włoskie sosny i wiedziałem już, dokąd zmierzam, chociaż nie miałem pewności co do miasta.

- Miasto, które się pod nami rozciąga, to Rzym - odezwał się Malachiasz. - Na papieskim tronie zasiada Leon X, a Michał Anioł, zmęczony po ukończeniu swojego wybitnego dzieła: sufitu w Kaplicy Sykstyńskiej, pracuje nad tuzinem innych zleceń, a wkrótce poświęci się odbudowie samej Bazyliki Świętego Piotra. Rafael w blasku chwały zdobi swoimi freskami miejsca, które miliony ludzi będą podziwiać przez kolejne stulecia. Ale żadna z tych informacji nie jest dla ciebie istotna, zapewniam cię bowiem, że nie znajdziesz ani chwili czasu, by zobaczyć papieża lub kogoś z jego świty, ponieważ jak zawsze zostałeś tu przysłany z myślą o jednej konkretnej duszy. Ów młody człowiek, Vitale ben Leone, modli się żarliwie i wiernie, a pozostali modlą się w jego intencji z tak wielką gorliwością, że szturmują bramy Niebios z siłą miliarda wiernych.

Opadaliśmy w dół, coraz bliżej ogrodów na dachach budynków, kopuł i iglic, aż wreszcie mogliśmy dostrzec labirynt krętych schodów i zaułków składających się na ulice Rzymu.

- W tym świecie jesteś Żydem o imieniu Toby i lutnistą, o czym wkrótce się przekonasz, i niech ten fakt stanowi dla ciebie podpowiedź, jak bardzo będziesz potrzebował swoich licznych talentów, by doprowadzić tę misję do końca. Jesteś znany jako osoba opanowana i zdolna przynieść swoją muzyką ukojenie udręczonym, zostaniesz więc przyjęty z otwartymi

ramionami. A teraz bądź dzielny, pełen miłości i otwarty na tych, którzy cię potrzebują; szczególnie na naszego oszalałego z niepokoju i podupadłego na duchu Vitalego, człowieka ufego z natury, który tak mężnie modli się o pomoc. Jak zawsze liczę na twój intelekt, determinację i przebiegłość. Ale równie mocno liczę na twoje wspaniałomyślne i oświecone serce.



## ROZDZIAŁ 5

Kiedy pojawiłem się na niewielkim placu przed ogromnym kamiennym pałacem, ujrzałem tłum, który zdawał się na mnie czekać. Nie była to wprawdzie rozwścieczona tłuszcza, którą spotkałem w Anglii podczas swojej ostatniej eskapady z Malachiaszem, ale najwyraźniej coś się tam działo i zostałem wchłonięty przez ludzką ciżbę. Byli tam przede wszystkim Żydzi, a przynajmniej tak mi się zdawało, ponieważ wielu z nich nosiło okrągłe żółte koła przyszyte do ubrań, a inni mieli błękitne frędzle u dołu długich aksamitnych tunik. Ci ostatni byli ludźmi bogatymi i wpływowymi, o czym świadczył nie tylko strój, ale też postawa.

Ja sam miałem na sobie elegancką tunikę z rolowanego aksamitu, z szerokimi rękawami podszytymi srebrem, ufarbowane na jaskrawozielony kolor rajtuzy, które musiały być drogie, oraz wysokie skórzane buty. Na plecach dźwigałem lut-

nię, zawieszoną na cienkim skórzanym pasku. Ja także zostałem oznakowany okrągłą żółtą łatką. A kiedy zdałem sobie z tego sprawę, poczułem nieznaną mi wcześniej rodzaj bezbronności. Miałem długie do ramion, kręcone blond włosy i byłem bardziej zdumiony swoim wyglądem i strojem aniżeli tym, co mógł zrobić zebrany przede mną tłum.

Wszyscy ludzie jak jeden mąż schodzili mi z drogi i wskazywali na bramę domu, przez którą widziałem jedynie światła podwórza. Wiedziałem, że to moje przeznaczenie. Nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości. Jednak zanim zdążyłem sięgnąć po linę od dzwonu lub kogoś zawołać, jeden z najstarszych mężczyzn w tłumie wystąpił z niego, jakby z zamiarem zastąpienia mi drogi.

- Przekraczasz próg tego domu na własne ryzyko - oznajmił. - Dybuk nim zawładnął. Wzywaliśmy starszych już trzy razy, by wypędzili demona, ale bez skutku. To nieustępliwy młody człowiek, jest zarządcą domu i nie chce go opuścić. A teraz wszyscy, którzy wcześniej mu ufali i darzyli szacunkiem, zaczęli się do niego odnosić ze strachem i pogardą.

- Jednak przybyłem tu, by się z nim spotkać - rzekłem.

- Żadnemu z nas nie przyniesie to pożytku - odezwał się inny z obecnych w tłumie mężczyzn. - Twoja gra na lutni nie pomoże jego pacjentowi ani nie zapobiegnie temu, co dzieje się pod tym dachem.

- Co w takim razie powinienem uczynić? - zapytałem. Niespokojny śmiech przetoczył się przez grupę.

- Trzymaj się z dala od tego domu i Vitalego ben Leone, dopóki nie zgodzi się go opuścić, a właściciele nie zdecydują się zrównać budynku z ziemią.

Dom wyglądał okazale: miał cztery piętra, okrągłe łukowate okna, a zaproponowane przez tłum rozwiązanie wydawało się desperackie.

- Powiem ci coś: w tym domu mieszka zło - odezwał się jeden z pozostałych mężczyzn. - Czyje słyszysz? Czy słyszysz dobiegające ze środka hałasy?

Rzeczywiście mogłem je usłyszeć. Jakby rozrzucano po domu sprzęty. Wydawało mi się też, że do moich uszu dobiegł dźwięk tłuczonego szkła.

Uderzyłem pięścią w bramę. Później zauważyłem sznur od dzwonu i pociągnąłem za niego. Jeśli dzwon działał, jego dźwięk musiał się rozlec głęboko we wnętrzu domu.

Otoczający mnie mężczyźni cofnęli się, kiedy brama wreszcie się otworzyła i pojawił się w niej młody mężczyzna w podobnym wieku jak ja. Miał gęste, czarne, kręcone włosy, długie do ramion, i głęboko osadzone ciemne oczy. Był ubrany równie wytwornie jak ja, w grubą tunikę i rajtuzy, a na stopach miał marokańskie skórzane trzewiki.

- Ach, jak dobrze, że przyjechałeś - powiedział do mnie i nie wypowiadając ani słowa do reszty zebranego przed bramą tłumu, wciągnął mnie na dziedziniec domu.

- Vitale, opuść to miejsce, zanim cię zniszczy - zwrócił się do niego jeden ze starszych.

- Odmawiam ucieczki - odparł Vitale. - Nie pozwolę się stąd usunąć. A poza tym właścicielem tego domu jest *signore* Antonio. To on jest moim gospodarzem i tylko jego poleceń słucham. Czyż Niccoló nie jest jego synem?

Brama została zamknięta, a ciężkie drewniane drzwi zaryglowane.

Dostrzegłem starego służącego ze świecą, której płomień osłaniał kościstymi jak u szkieletu palcami. Dobiegające z góry światło oświetlało wyłącznie dziedziniec, a gdy zaczęliśmy się wspinać po szerokich kamiennych schodach, spowił nas cień i tylko wąty płomień świecy oświetlał nam drogę.

Tak jak w przypadku wielu włoskich domów, także i w tym z ulicy można było dostrzec tylko mury z niewielkimi oknami, za to wnętrze w pełni zasługiwało na miano pałacu. Byłem oczarowany jego rozmiarami i solidnością, kiedy tak przemierzaliśmy ogromne, eleganckie pokoje. Zauważyłem pokryte pięknymi freskami ściany, podłogi z cennego marmuru i bogactwo ciemnych arrasów.

Nagle usłyszeliśmy donośny trzask, po którym nasza nieliczna kompania zatrzymała się w pół kroku. Stary służący wymamrotał pod nosem jakąś modlitwę po łacinie i przeżegnał się, co mnie zdumiało, lecz młody mężczyzna sprawiał wrażenie nieuleknionego i zbuntowanego.

- Nie pozwolę się stąd wykurzyć - oznajmił. - Dowiem się, czego chce ten duch. Co zaś się tyczy Niccoló, to znajdę sposób, by go uleczyć. Nie jestem przeklęty ani nie jestem trucicielem.

- Czy właśnie o to cię oskarżają? O otrucie pacjenta?

- Wszystko przez tego ducha. Gdyby nie on, byłbym poza wszelkim podejrzeniem. To z jego winy nie mogę doglądać Niccoló, czym powinienem się teraz zajmować. Wezwałem cię po to, byś zagrał mu na lutni.

- W takim razie chodźmy do niego, a ja zagram na lutni, tak jak o to prosisz.

Spojrzał na mnie z wahaniem, a później wzdrygnął się na dźwięk głośnego stukotu, który dobiegł najprawdopodobniej z piwnicy.

- Wierzysz, że w tym domu przebywa dybuk? - zapytał.

- Nie wiem.

- Chodźmy do mojego gabinetu - powiedział. - Porozmawiajmy chociaż przez chwilę, zanim udamy się do Niccoló.

Niepokojące dźwięki dobiegały teraz zewsząd. Słysząc było skrzypienie drzwi i odgłosy tupania na niższym piętrze.

W końcu otworzyliśmy podwójne drzwi gabinetu, a służący szybko zapalił kilka dodatkowych świec, jako że kotary były zaciągnięte. Pomieszczenie wypełniały książki i papiery. Dostrzegłem szklane regały, pełne nadgryzionych zębem czasu oprawionych w skórę tomów. Wyraźnie było widać, że część ksiąg była drukowana, a część nie. Na kilku stolikach leżały rozłożone ręcznie pisane kodeksy, na innych - papiery pokryte czymś, co wyglądało na pospieszne notatki. Na środku pokoju stało biurko.

Mężczyzna wskazał mi stojący za biurkiem rzymski fotel, a kiedy już go zająłem, ciężko usiadł naprzeciwko mnie, oparł łokcie o biurko i ukrył twarz w dłoniach.

- Nie sądziłem, że przybędziesz - powiedział. - Nie znałem w Rzymie ani jednego lutnisty, który zgodziłby się zagrać dla mojego pacjenta, skoro okryłem się tak wielką hańbą. Tylko jego ojciec, mój dobry przyjaciel *signore* Antonio, wierzy w to, że moje wysiłki mogą przynieść pożądany skutek.

- Zrobię, co mi każesz - odparłem. - Zastanawiam się, czy lutnia mogłaby uspokoić tę udręczoną duszę.

- Och, cóż za ciekawy koncept - zauważył - ale czy sądzisz, że w czasach świętej inkwizycji któryś z nas mógłby się ośmielić rzucić urok na demona? Gdybyśmy się na to poważyli, z miejsca okrzyknięto by nas magami lub czarnoksiężnikami. Poza tym pilnie cię potrzebuję przy łożu mojego pacjenta.

- Myśl o mnie jak o odpowiedzi na swoje modlitwy. Zagram dla twojego pacjenta, a także zrobię wszystko, co w mojej mocy, by pomóc ci z tym duchem.

Przyglądał mi się w zamyśleniu przez długą chwilę, a później powiedział:

- Wiem, że mogę ci zaufać.

- To dobrze. Pozwól mi sobie pomóc.

- Na początek wysłuchaj mojej historii. Nie jest długa, a my powinniśmy wziąć się szybko do pracy, ale pozwól, bym opowiedział ci, jak to wszystko się zaczęło.

- Tak, opowiedz mi o tym.

- *Signore* Antonio sprowadził mnie tu z Padwy razem ze swoim synem Niccoló, który stał się dla mnie najbliższym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem, chociaż sam jestem Żydem, a ci ludzie - gojami. Wyuczyłem się na medyka w Montpellier i tam właśnie poznałem ojca i syna, i od razu zacząłem przekładać medyczne teksty z hebrajskiego na łacinę dla *signore* Antonia, który posiada bibliotekę pięć razy większą od tej, drogą mu nad życie. Niccoló i ja byliśmy kompanami od kieliszka i kolegami ze studenckiej ławy. Wszyscy razem pojechaliśmy do Padwy, a stamtąd wreszcie do Rzymu, gdzie *signore* Antonio umieścił mnie w tym domu, bym przygotował go dla Niccoló. Pałac ten przeznaczony jest dla

Niccoló i jego żony, ale już pierwszej nocy, gdy pochyliłem się i zmówiłem swoje modlitwy, pojawił się duch.

W tym momencie rozległo się kolejne głośnie uderzenie i wyraźny odgłos czyichś kroków, chociaż wydawało mi się, że w domu takim jak ten nie sposób usłyszeć kroków zwyczajnej istoty. Zauważyłem, że służący w dalszym ciągu nam towarzyszy, skulony przy drzwiach, ze świecą w ręku, i odniosłem wrażenie, że nie ma ochoty stąd wychodzić. W blasku świecy jego głowa była łysa i różowa, z ledwie kilkoma kępkami ciemnych włosów. Przypatrywał nam się z niepokojem w oczach.

- No dalej, Pico, uciekaj stąd - odezwał się Vitale. - Biegnij do *signore* Antonia i powiedz mu, że zaraz u niego będę.

Na szczęście mężczyzna wyszedł. Vitale spojrzał na mnie.

- Zaproponowałbym ci poczęstunek, ale w tym domu nie ma nic do jedzenia i picia. Służba uciekła. Wszyscy poza Pikiem uciekli. Pico gotów byłby oddać za mnie życie. Być może myśli, że na to właśnie się zanoszą.

- Duch - przypomniałem mu. - Powiedziałeś, że przyszedł w noc, kiedy się modliłeś. To musiało mieć dla ciebie znaczenie.

Przez chwilę przyglądał mi się z powagą.

- Wiesz, czuję się tak, jakbym znał cię przez całe życie - powiedział. - Mam wrażenie, że mogę ci powierzyć wszystkie swoje duchowe sekrety.

- Bo tak jest - odparłem. - Ale jeśli mamy się wkrótce spotkać z Niccoló, musisz się streszczać.

W dalszym ciągu siedział ze wzrokiem utkwionym we mnie, a w jego ciemnych oczach palił się ogień, który mnie zafascynował. Jego twarz była bardzo ożywiona, jakby nie

potrafił ukryć żadnej emocji, nawet gdyby chciał, i wydawało się, że może w każdej chwili zacząć krzyczeć, lecz zamiast tego wyciszył się i zaczął mówić niskim, potoczystym głosem.

- Obawiam się, że duch jest tu obecny od zawsze. Przebywał w tym domu i nie odejdzie nawet wtedy, gdy sami zostaniemy do tego zmuszeni. Dom był zamknięty przez dwadzieścia lat. *Signore* Antonio powiedział mi, że przed wieloma laty wynajmował go jednemu ze swoich wcześniejszych nauczycieli hebrajskiego. Nie powiedział mi nic więcej na temat tego człowieka, poza tym, że kiedyś tu mieszkał. Teraz potrzebuje domu dla Niccoló i jego żony. Ja mam z nimi zostać, by służyć Niccoló jako sekretarz, a w razie potrzeby także medyk i być może nauczyciel dla jego synów, kiedy już przyjdą na świat. To była taka szczęśliwa wizja przyszłości.

- A Niccoló nie był jeszcze chory.

- O nie, nic nie zapowiadało choroby. Niccoló czuł się świetnie. Nie mógł się doczekać swojego ślubu z Leticją. Niccoló i jego brat Lodovico snuli rozmaite plany. Nie, nic złego nie przydarzyło się Niccoló.

- A później pomodliłeś się tej pierwszej nocy i duch odebrał ci spokój.

- Tak. Widzisz, odkryłem na górze pomieszczenie, które dawniej służyło za synagogę. Odnalazłem arkę, a w niej złote zwoje Tory. Należały one do uczonego, któremu wiele lat wcześniej Antonio pozwolił tu mieszkać. Pochyliłem się i zacząłem się modlić, i obawiam się, że modliłem się o rzeczy, o które nie miałem prawa prosić.

- Opowiedz mi o nich.



- Modliłem się o sławę - powiedział stłumionym głosem. - Modliłem się o bogactwa. Modliłem się o uznanie. Modliłem się o to, bym jakimś cudem został cenionym w Rzymie medykiem, nieocenionym pomocnikiem *signore* Antonia, i być może tłumaczył dla niego teksty, których nikt przede mną nie odkrył ani nie rozpowszechnił.

- Brzmi to moim zdaniem bardzo ludzko - rzekłem - a wzięwszy pod uwagę twoje uzdolnienia, doskonale rozumiem, dlaczego się o to modliłeś.

Spojrzał na mnie z tak wielką wdzięcznością, która mnie rozczuliła.

- Widzisz, mam wiele talentów - powiedział z pokorą. - Całymi dniami mógłbym czytać i pisać. Ale posiadam też talent medyka, zdolność dotknięcia ręki chorego i stwierdzenia, co mu dolega.

- Cóż złego w tym, że chciałeś, by te talenty rozkwitły? Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Może i przyjechałeś tu, by zagrać mojemu przyjacielowi na lutni - powiedział - ale w tej oto chwili koisz moją duszę lepiej niż jakakolwiek muzyka. Tamtej nocy duch zaczął stukać, tupać, zrzucić przedmioty na podłogę. To stało się zaraz po mojej modlitwie i za każdym razem gdy duch obracał ten gabinet wniwecz, a możesz mi wierzyć, że potrafi sprawić, by kałamarze latały w powietrzu, wracał do piwnicy. Wracał tam i walił pięściami w znajdujące się w piwnicy beczułki.

- Mój przyjacielu, ten duch nie musi mieć związku z twoimi modlitwami. A teraz kontynuuj. Co się stało z Niccoló?

- W tym samym czasie Niccoló spadł z konia. Wypadek nie był groźny, a rana zagoiła się błyskawicznie. Niccoló jest silniejszy ode mnie. Jednak od tamtej pory podupadł na zdrowiu. Jego twarz zbladła. Nękają go drgawki i powiadam ci, że z dnia na dzień czuje się coraz gorzej. To wszystko zżera jego umysł, ta choroba, ta beczynność, to leżenie w łóżku i patrzenie, jak trzęsą mu się dłonie.

- Masz pewność, że rana nie jest zakażona?

- Całkowitą. Niccoló nie ma gorączki z powodu tej rany. Wcale nie ma gorączki. I jak zawsze w takich sytuacjach rozeszły się plotki, plotki o tym, że ja, żydowski medyk, otrujęm swojego pacjenta! Och, Bogu niech będą dzięki, że *signore* Antonio mi wierzy!

- Oskarżenie o otrucie stawia cię w strasznym niebezpieczeństwie - powiedziałem. Historia nauczyła mnie tego aż za dobrze. Nikt nie musiał mi o tym mówić.

- Och, zrozum, że posiadam pisemne zaświadczenie od *signore* Antonia, w którym zgadza się, bym leczył jego syna, i zapewnia, że dostanę zapłatę niezależnie od tego, czy pacjent przeżyje czy nie, a w razie jego śmierci żadne zarzuty przeciwko mnie nie mogą zostać formalnie wniesione. Zarzuty przeciw żydowskim lekarzom są w Rzymie na porządku dziennym, a ja posiadam papieską dyspensę na leczenie chrześcijan. Mam ją od lat. Jestem także zwolniony z noszenia żółtej łatki. Wszystko jest w porządku. Nie lękam się o swój los. Martwi mnie ten duch i powód, dla którego się tu znalazł. Martwię się też dalszym losem Niccoló. Miłuję go! Gdyby nie duch, nie zostałbym o nic oskarżony. A moi inni pacjenci nie odeszliby. Ale poradzę sobie i bez nich. Poradzę

sobie bez tego wszystkiego. Byle tylko Niccoló wyzdrowiał. Muszę jednak odkryć przyczynę, dla której ten duch mnie dręczy, a ja nie mogę uleczyć Niccoló, leżącego niespełna trzydzieści metrów stąd, we własnym domu, i z każdym dniem coraz słabszego.

- Powinniśmy odwiedzić Niccoló. O duchu możemy porozmawiać później.

- Och, ale najpierw dokończę swoją opowieść. Tamtej nocy, gdy się modliłem, przepęłniała mnie pycha. Wiem o tym.

- Tak jak nas wszystkich, przyjacielu. Czyż proszenie Boga o cokolwiek nie jest przejawem pychy? A jednak On nas do tego zachęca. Mówi, byśmy zanosili do Niego swoje prośby, tak jak Salomon, który prosił o mądrość.

Vitale wyprostował się i wyraźnie go to uspokoiło.

- Tak jak prosił Salomon - szepnął. - Tak, właśnie w ten sposób postąpiłem. Powiedziałem Mu, że pragnę tych wszystkich talentów, darów ducha, umysłu i serca. Ale czy miałem do tego prawo?

- Chodźmy teraz do twojego przyjaciela, do Niccoló - powiedziałem.

Zamilkł, jakby w oczekiwaniu na jakiś odległy dźwięk. Obaj zorientowaliśmy się, że w domu panuje cisza, i to od dłuższej chwili.

- Czy myślisz, że dybuk słuchał naszej rozmowy? - zapytał.

- Być może - odparłem. - Skoro potrafi wytworzyć dźwięk, może go też usłyszeć, czyż to nie brzmi prawdopodobnie?

- Och, niech cię Bóg błogosławi. Tak się cieszę, że do mnie przyjechałeś - rzekł. - Chodźmy.

Chwycił moją rękę obiema dłońmi. Był człowiekiem pełnym pasji, żywiołowym. Dotarło do mnie, jak bardzo różni się charakterem od ludzi, których odwiedziłem podczas swojej ostatniej przygody - choć obdarzonych pasją, to pozbawionych jego gorącej śródziemnomorskiej krwi.

- Czy wiesz, że nie znam nawet twojego imienia? - zapytał.

- Toby - odrzekłem. - A teraz chodźmy zobaczyć twojego pacjenta. Grając na lutni, będę miał oczy i uszy szeroko otwarte i dowiem się, czy ten człowiek rzeczywiście został otruty.

- Ależ to niemożliwe.

- Nie przez ciebie, Vitale, lecz przez kogoś innego.

- Ale powiadam ci, Toby, że nie istnieje ani jedna osoba, która by go nie kochała i pogodziła się z jego utratą. W tym tkwi sedno owej potwornej tajemnicy.

Przekrzywiłem głowę na bok.

- Duch ucichł - szepnął. - Chodźmy zobaczyć Niccoló. Na ulicy spotkaliśmy ten sam tłum co przedtem, ale tym

razem do Żydów dołączyli jacyś gapie i kilku podejrzanych typów, którzy wzbudzili mój niepokój. Przepchnęliśmy się przez ciżbę bez słowa, a kiedy tak torowaliśmy sobie drogę przez wąski zaułek, Vitale szeptał do mnie.

- Sprawy układają się teraz dla Żydów pomyślnie - powiedział. - Papież ma żydowskiego medyka, który jest moim przyjacielem, a żydowscy uczeni potrzebni są wszędzie. Myślę, że każdy kardynał musi mieć hebrajskiego uczonego pośród swoich. Ale to może się w jednej chwili zmienić. Niech Bóg ma mnie w swojej opiece, jeśli Niccoló umrze. Przez tego dybuka zostanę oskarżony nie tylko o otrucie pacjenta, lecz także o czary.

Przytaknąłem jego słowom, ale głównie koncentrowałem się na przecięciu się przez ciżbę złożoną z przechodniów, obwoźnych sprzedawców i żebraków. Jadłodajnie i tawerny dokładały swoje zapachy i gwar do wąskiej ulicy. Po kilku minutach dotarliśmy do domu *signore* Antonia i natychmiast zostaliśmy wpuszczeni przez ogromne żelazne wrota.

## ROZDZIAŁ 6

Niezwłocznie weszliśmy na ogromny dziedziniec pełen drzew w donicach, które rozstawiono wokół migoczącej fontanny. Zgarbiony i pomarszczony starzec, który otworzył nam bramę, kręcił głową i wyglądał na wielce strapionego.

- Panicz gorzej się dziś poczuł - powiedział - i lękam się o niego. Jego ojciec zszedł na dół i nie chce odejść od jego łóżka. Czeka teraz na ciebie.

- To dobrze, że mistrz Antonio wyszedł z łóżka, bardzo dobrze - odparł błyskawicznie Vitale. A do mnie powiedział: - Kiedy Niccoló cierpi, Antonio cierpi razem z nim. Synowie są całym życiem tego człowieka. Ma swoje książki, swoją pracę, którą mi zleca, ale poza synami tak naprawdę nic się dla niego nie liczy.

Ruszyliśmy w górę szerokiej i imponującej klatki schodowej z polerowanego kamienia przykrytego wąskimi chodnikami. Następnie udaliśmy się wzdłuż długiej galerii. Wszędzie wisia-

ły dekoracyjne tkaniny: arrasy przedstawiające spacerujących książąt i eleganckich młodych mężczyzn na polowaniu, a sporą część ściany pokrywały wspaniałe pastoralne freski. Malowidła wydały mi się tak piękne, jakby wyszły spod pędzla samego Michała Anioła lub Rafaela, i z tego, co mi było wiadomo, wykonali je ich pomocnicy lub uczniowie.

Przeszliśmy ciąg przedsionków o marmurowych podłogach przykrytych perskimi i tureckimi dywanami. Nagie ściany zdobiły okazałe klasyczne sceny przedstawiające roztańczone nimfy w bajecznych ogrodach. Gdzieś dostrzegłem jedynie długi stół z polerowanego drewna na środku pomieszczenia. Więcej mebli nie było.

Wreszcie otworzyły się przed nami podwójne drzwi do przestronnej i bogato zdobionej sypialni, zaciemnionej, jeśli nie liczyć światła, które sami wpuściliśmy. Na stercie poduszek, pod ogromnym czerwono-złotym baldachimem leżał Niccoló, blady i z zaczerwienionymi oczami. Jego puszyste blond włosy były przyklepione do wilgotnego czoła. Prawdę mówiąc, sprawiał wrażenie trawionego tak wysoką gorączką i wyczerpanego, że miałem ochotę zażądać, by ktoś natychmiast obmył mu twarz.

Było też dla mnie jasne, że ktoś go otruł. Widziałem, że jego wzrok jest mętny, a ręce trzęsą się jak w febrze. Przez moment przypatrywał się nam w taki sposób, jakby wcale nas nie widział. Miałem potworne przeczucie, że trucizna w jego krwi osiągnęła już krytyczny poziom. Ogarnęła mnie lekka panika.

Czy Malachiasz przysłał mnie tutaj, bym zakosztował gorzkiego smaku porażki?

Obok łóżka siedział kruchy mężczyzna ubrany w długi aksamitny płaszcz barwy burgunda, czarne pończochy i skórzane trzewiki ozdobione klejnotami. Na głowie miał burzę lśniących siwych włosów, które na linii czoła przybrały kształt litery V, co niewątpliwie dodawało mu powagi. Na widok Vitalego rozjaśnił się, ale nie odezwał się ani jednym słowem.

Przy przeciwległym krańcu łoża stał inny mężczyzna, sprawiający wrażenie tak mocno poruszonego, że jego oczy były mokre od łez, a ręce trzęsły się niemal równie mocno jak u pacjenta. Zauważyłem u niego pewne podobieństwo do starszego mężczyzny i leżącego w łóżku młodzieńca, ale jednocześnie miał w sobie coś, co go od nich wyraźnie odróżniało. Przede wszystkim miał mniej włosów, a jego oczy były większe i miały o wiele ciemniejszy odcień błękitu. Podczas gdy starszy mężczyzna wyrażał swoją troskę z powściągliwością, młodszy zdawał się bliski załamania. Wystrojony w obszytą złotem tunikę z szerokimi rękawami i z jedwabną podszewką, nosił u boku miecz. Miał gładko wygoloną twarz i krótkie kręcone czarne włosy.

Wszystko to zauważyłem w ułamkach sekund. Vitale ucałował pierścień siedzącego przy łóżku mężczyzny i odezwał się przyciszonym głosem:

- *Signore* Antonio, miło mi cię widzieć w sypialni twego syna i jednocześnie smutno, że musisz go oglądać w takim stanie.

- Powiedz mi, Vitale - odezwał się starzec. - Cóż mu dolega? Jak to możliwe, że zwykły upadek z konia mógł go doprowadzić do tak tragicznego stanu?



- Tego właśnie zamierzam się dowiedzieć - odparł Vitale. - Obiecuję ci to z całego serca.

- Już raz mnie uzdrowiłeś, kiedy wszyscy włoscy medycy wróżyli mi rychłą śmierć - zauważył *signore* Antonio. - Wiem, że potrafisz uleczyć mojego syna.

Młody mężczyzna stojący na dalekim krańcu łóża jeszcze bardziej się zdenerwował.

- Ojczy, chociaż mówienie o tym sprawia mi ból, powinniśmy posłuchać rady innych doktorów. Przeróżliwie się boję. Leżący przede mną człowiek w niczym nie przypomina mego brata.

Jego oczy wypełniły się łzami.

- Zgodziłem się na dietę złożoną z kawioru, Lodovico - zwrócił się pacjent do młodego mężczyzny. - Ale ojczy, podobnie jak ty darzę Vitalego bezgranicznym zaufaniem, a jeśli nie zostaną uleczeni, to widocznie taka jest wola Boga.

Niccoló spojrział na mnie zmrużonymi oczyma. Był wyraźnie zaskoczony moim widokiem, a każde słowo przychodziło mu z trudem.

- Dieta złożona z kawioru? - zapytał ojczy. - Nic z tego nie rozumiem.

- Mój brat przyjmuje kawior, który jest najczystszy z pokarmów - oznajmił Lodovico - trzy razy dziennie i nie bierze do ust niczego innego. Udałem się do papieskich medyków po radę. Robię tylko to, co mi zalecili. Stosuje tę dietę już od jesieni.

- Dlaczego mnie o tym nie poinformowano? - zapytał Vitale, przenosząc wzrok ze mnie na Lodovica. - Kawior i nic

więcej? Czyż nie jesteś zadowolony z jedzenia, które zarekomendowałem?

Przez chwilę widziałem płonący w oczach Lodovica gniew, który jednak momentalnie zgasł. Najwyraźniej był zbyt strapiiony, by doznać urazy.

- Mój brat nie czuł się po nim dobrze - powiedział z pół-uśmiechem, który szybko zniknął. - Sam papież przysłał ten kawior - wyjaśnił cierpliwie ojcu, wyrażając swym głosem pełną czułości ufność. - Jego poprzednik był wierny tej diecie. Dzięki niej miał się dobrze, cieszył się zdrowiem i siłą.

- Nie chciałem obrazić Jego Świątobliwości - powiedział szybko Vitale. - To oczywiście bardzo miłe, że przysłał kawior. Ale nigdy nie słyszałem czegoś równie osobliwego.

Spojrzał na mnie znacząco, lecz wątpię, by ktoś inny to dostrzegł.

Niccoló spróbował się unieść na łokciach, lecz zabrakło mu sił i opadł z powrotem na poduszki. Mimo wszystko był zdeterminowany, by przemówić.

- Nie mam nic przeciwko kawiorowi, Vitale. Nawet go polubiłem i zdaje się, że nic innego mi już nie smakuje. - Westchnął raczej niż się odezwał, a później wymamrotał: - Chociaż pieką mnie od niego oczy. Ale pewnie każde inne jedzenie wywołałoby podobny skutek.

Pieką mnie od niego oczy.

Zacząłem się intensywnie zastanawiać nad jego słowami. Rzecz jasna żadna z obecnych tu osób nie miała pojęcia, że w przeszłości przygotowywałem trucizny, maskowałem je i wiedziałem, jak je podawać. Jeśli istniał pokarm, w którym

dało się ukryć truciznę, był to właśnie czarny kawior w czystej postaci. Można go było mieszać praktycznie ze wszystkim.

- Vitale - odezwał się pacjent. - Kim jest ten człowiek, który z tobą przyszedł? - Spojrzał na mnie. - Co tu robisz? -Wypowiedział te słowa z wielkim trudem.

Wreszcie, ku mojej wielkiej uldze, pojawiła się służąca z miednicą wody i położyła mokry okład na jego czole. Częściowo otarła mu pot z policzków. Chory był tym poirytowany i dał jej znać, żeby przestała, lecz jego ojciec na to nie pozwolił.

- Sprowadziłem tego człowieka, by zagrał dla ciebie na lutni - wyjaśnił Vitale. - Wiesz, że muzyka zawsze miała na ciebie kojący wpływ. Zagra jakąś spokojną melodię, nic, co mogłoby cię zdenerwować.

- O tak - powiedział Niccoló, moszcząc się na poduszkach. - To bardzo miłe.

- W mieście mówią, że wynająłeś tego człowieka, by grał dla demona w twoim domu - odezwał się niespodziewanie Lodovico. Znowu wyglądał tak, jakby lada chwila miał wybuchnąć płaczem. - Czy tak właśnie uczyniłeś? A teraz kłamiesz nam w żywe oczy?

Vitale był zszokowany.

- Lodovico, przestań - rzekł ojciec. - W tym domu nie ma żadnego demona. Nigdy nie słyszałem, byś odzywał się do Vitalego w podobny sposób. Ten człowiek przywrócił mnie do zdrowia, kiedy wszyscy doktorzy w Padwie, słynącej z największej liczby medyków w całej Italii, spisali mnie na straty.

- Ależ ojczy, w tym domu mieszka zły duch - nie ustępował Lodovico. - Wszyscy Żydzi o tym wiedzą. Mają nawet na niego swoją nazwę.

- Dybuk - podrzucił ze znużeniem Vitale, nieco zbyt odważnie jak na osobę, w której domu mieszkał duch.

- Ów dybuk dręczy tego człowieka, odkąd ofiarowałeś mu klucze - ciągnął Lodovico. - Dopiero kiedy przejął władzę nad rezydencją i zaczął wybijać okna w środku nocy, Vitale utracił swoje lekarskie umiejętności, i to na naszych oczach.

- Kto powiedział, że je utraciłem? - Vitale nie mógł się otrząsnąć ze zdumienia. - Lodovico, to przecież kłamstwo! - Był dotknięty i zmieszany.

- Żydowski pacjenci przestali do ciebie przychodzić, czy nie mam racji? - zapytał Lodovico. Nagle ton jego głosu się zmienił. - Vitale, mój przyjacielu, przez wzgląd na miłość do mojego brata, wyznaj prawdę.

Vitale został zapędzony w kozi róg. Ale Niccoló patrzył na niego ufnie i czule, a starszy z mężczyzn wyglądał na zamyślonego i nie spieszył się, by cokolwiek powiedzieć.

- Żydzi sami nam o tym powiedzieli - oświadczył Lodovico. - Już trzy razy próbowali usunąć demona z twojego domu. Ten dybuk przebywa w twoim gabinecie, w pokoju, w którym trzymasz lekarstwa, w każdym kącie twojego domu, a być może także w każdym zakamarku twojego umysłu!

Młody mężczyzna był coraz bliższy popadnięcia w obłąd.

- Nie wolno ci tak mówić - odezwał się głośno Niccoló. Bezskutecznie spróbował raz jeszcze dźwignąć się na łokciach. - To nie jego wina, że jestem chory. Czy sądzisz, że każdy człowiek trawiony gorączką, który z jej powodu umiera, traci życie dlatego, że w domu przy tej samej ulicy rezyduje demon? Przestań opowiadać te brednie.

- Cicho, mój synu, cicho - powiedział starszy mężczyzna. Położył dłonie na ramionach Niccoló, usiłując nakłonić go, by z powrotem opadł na poduszki. - Pamiętajcie, moi synowie, że ten dom jest moją własnością. Zatem demon, czy też dybuk, jak nazywają go Żydzi, niewątpliwie należy do mnie. Muszę się tam udać i stanąć twarzą w twarz z tym budzącym grozę duchem, który opiera się egzorcyzmom żydów i katolików. Muszę ujrzeć tę zjawę na własne oczy.

- Zaklinam cię, ojcze, byś tego nie robił! - wykrzyknął Lo-dovico. - Vitale zataił przed tobą siłę tego ducha. Każdy żydowski doktor, który tu przyszedł, opowiadał nam o niej. Ów demon przewraca i niszczy przedmioty. Tupie nogami.

- Och, to jakaś bzdura - powiedział ojciec. - Wierzę w chorobę i lekarstwa na nią. Ale w demony? Demony, które przewracają przedmioty? Muszę to zobaczyć na własne oczy. Wystarczy mi, że Vitale jest tu razem z Niccoló.

-Tak, ojcze - odezwał się Niccoló - mnie również. Lodovico, zawsze kochałeś Vitalego - zwrócił się do brata. - Podobnie jak ja. Przyjaźnimy się całą trójką od czasów Montpellier. Ojcze, nie słuchaj tych bredni.

- Nie słucham, mój synu - zapewnił ojciec, obserwując teraz swojego syna, który im żarliwiej protestował, tym gorzej wyglądał.

Lodovico uklęknął przy łóżku i zapłakał, z głową wspartą na przedramieniu.

- Niccoló, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ujrzeć cię zdrowym - powiedział, chociaż trudno było zrozumieć jego słowa pośród łez. - Kocham Vitalego. Zawsze tak było. Ale inni doktorzy twierdzą, że demon rzucił na niego urok.

- Wystarczy, Lodovico - przerwał mu ojciec. - Denerwujesz brata. Vitale, zajmij się moim synem. Poddaj go ponownym badaniom. Po to przecież przyszedłeś.

Vitale przyglądał się wszystkiemu z uwagą, podobnie jak ja. Nie wyczuwałem w pokoju woni trucizny, ale to o niczym nie świadczyło. Znałem wiele trucizn, które po dodaniu do kawioru odpowiednio by zadziałały. Jedno było jasne - pacjent w dalszym ciągu miał w sobie dużo sił.

- Usiądź przy mnie, Vitale - poprosił Niccoló. - Zostań dzisiaj ze mną. Nachodzą mnie potworne wizje. Widzę siebie bez życia i pogrzebanego.

- Nie mów tak, mój synu - upomniął go ojciec. Lodovico stracił wszelką otuchę.

- Bracie, nie wiem, czym jest życie bez ciebie - powiedział czule. - Nie każ mi się przekonywać, jak ono smakuje. Pierwszym moim wspomnieniem jesteś ty, stojący w nogach mojej kołyski. Musisz dla mnie wyzdrowieć, tak samo jak dla naszego ojca.

- Zostawcie nas samych - poprosił Vitale. - *Signore*, ty jak zawsze mi ufasz. Chciałbym zbadać pacjenta, a ty, Toby, zajmij miejsce tutaj - wskazał mi odległy róg pokoju - i zagraj łagodnie, by ukoić nerwy Niccoló.

- To dobry pomysł - rzekł ojciec, a później wstał i dał młodszemu mężczyźnie sygnał, by wyszedł.

Lodovico nie chciał tego zrobić.

- Spójrz, ledwie spróbował kawioru, który mu ostatnio podałem - powiedział, wskazując na niewielką srebrną tacę leżącą na stole przy łóżku. Kawior znajdował się w niewielkim szklanym naczyniu, z delikatną srebrną łyżeczką.

Lodovico napełnił łyżeczkę kawiozem i zbliżył ją do ust Niccoló.

- Nie, już więcej nie. Powiadam ci, że pieką mnie od niego oczy.

- No dalejże, musisz jeść - powiedział brat.

- Nie przełknę już ani kęsa - odparł Niccoló. Później, jakby chciał uspokoić swego brata, wziął łyżeczkę i przełknął kawior, a jego oczy natychmiast się zaczerwieniły i napełniły łzami.

Vitale raz jeszcze poprosił wszystkich, by wyszli. Zaprosił mnie gestem, bym usiadł w kącie, gdzie pyszniło się ogromne, przepięknie rzeźbione czarne krzesło, jakby przygotowane dla mnie.

- Nie chciałbym wychodzić - odezwał się Lodovico. - Powinieneś mnie poprosić, bym tu został, Vitale. Jeśli zostaniesz oskarżony...

- Bzdura - przerwał mu ojciec i chwyciwszy dłoń syna, wyprowadził go z pokoju.

Umościłem się wygodnie na ogromnym krześle, istnej bestii o wybujałych czarnych pazurach, z czerwonymi poduszkami na siedzisku i pod plecami. Zacząłem grać melodię najdelikatniej, jak potrafiłem. I była piękna. Ale w moim umyśle kotłowały się zupełnie inne myśli.

Pacjent nie został otruty, dopóki nie pojawił się dybuk. Z pewnością truciciel znajdował się tutaj, w tym domu, miałem niemal całkowitą pewność, że był nim brat chorego, wykorzystujący obecność ducha do własnych celów. Wątpiłem, żeby truciciel wykazał się dostatecznym sprytem, by stworzyć ducha. Prawdę mówiąc, byłem pewien, że to nie jego spraw-

ka. Miał on jednak dość rozumu, by rozpocząć swoje nieczne knowania, ponieważ w domu pojawił się duch.

Zacząłem wykonywać jedną z najstarszych znanych mi melodii, taniec oparty na kombinacji kilku podstawowych akordów, i grałem najdelikatniej, jak tylko potrafiłem.

Nagle uderzyła mnie myśl, która wcześniej czy później musiała się zrodzić w mojej głowie: oto grałem na lutni w czasie, gdy ten instrument stał się niezwykle popularny. Przeniosłem się do wieku, w którym zyskał największy posłuch i uznanie. Nie miałem jednak czasu, by się nad tym zastanawiać, tak samo jak na obejrzenie Bazyliki Świętego Piotra. Rozmyślałem o trucicielu i o tym, jak wielkie mieliśmy szczęście, że postanowił się nie spieszyć.

Jeśli chodziło o tajemnicę dybuka, to musiała ona poczekać, aż rozwiążę zagadkę truciciela, który najwyraźniej, mimo że cierpliwy, nie potrzebował już wiele czasu, by dokończyć swego dzieła.

Brzdąkałem niespiesznie, gdy Vitale delikatnie zasugerował mi, bym się uciszył. Przytrzymał dłoń swego pacjenta, wsłuchiwał się w jego puls, a teraz z namaszczeniem pochylił się i przyłożył ucho do piersi Niccoló. Umieścił obie dłonie na ręce chorego i zajrzał mu w oczy. Widziałem, jak ciałem Niccoló wstrząsa dreszcz. Mężczyzna nie potrafił go opanować.

- Vitale - szepnął, być może myśląc, że go nie słyszę. - Ja nie chcę umierać.

- Nie pozwolę ci umrzeć, mój przyjacielu - odparł żarliwie Vitale. Odsunął teraz pościel i uważnie przyjrzał się kostkom i stopom pacjenta. Na kostce rzeczywiście przyklejony był stary, odbarwiony opatrunek, ale nie stanowił on powodu



do niepokoju. Chory mógł poruszać kończynami bez większego trudu, choć nie przestawały one drżeć. Powodem tego mogła być jedna z rozlicznych trucizn atakujących system nerwowy. Tylko która? Jak miałem udowodnić, kto i w jaki sposób ją podaje?

Z korytarza dobiegł mnie jakiś odgłos. Był to dźwięk płaczu. Rozpoznałem Lodovica. Podniosłem się ze swojego miejsca.

- Porozmawiam z twoim bratem, jeśli łaska - przemówiłem łagodnie do Niccoló.

- Pociesz go - przykazał mi chory. - Powiedz mu, że to nie jego wina. Kawior mi pomógł. Lodovico przywiązuje do niego wielką wagę. Nie pozwól, by czuł się winny mojej choroby.

Odnalazłem go w przedsionku. Sprawiał wrażenie zagubionego i zmieszanego.

- Czy mógłbym z tobą porozmawiać? - zapytałem miękko. - Skoro Niccoló odpoczywa teraz i jest badany? Czy mógłbym ci przynieść odrobinę ukojenia?

Czułem silną potrzebę, by tak postąpić, choć prawdę powiedziawszy, w innej sytuacji nigdy bym się na to nie zdobył. Jednak w tamtej chwili Lodovico wyglądał na jedną z najbardziej samotnych osób, jakie spotkałem w swoim życiu. Zdawał się przebywać w zupełnej izolacji od świata, gdy tak łkał, z wzrokiem utkwionym w drzwiach sypialni swojego brata.

- To z jego powodu ojciec przyjął mnie do swego domu - powiedział przyciszonym głosem. - Dlaczego ci to mówię? Bo muszę się komuś zwierzyć. Muszę komuś opowiedzieć o mojej zgryzocie.

- Chodź. Czy jest w tym domu miejsce, gdzie będziemy mogli w spokoju porozmawiać? To bardzo trudne, kiedy cierpią ludzie, których kochamy.

Wyszedłem z nim przez szeroką klatkę schodową pałacu na przestronne podwórze, a następnie przekroczyliśmy bramę prowadzącą na kolejne podwórze, które w niczym nie przypominało pierwszego, było bowiem porośnięte tropikalnymi roślinami.

Poczułem, jak jeżą mi się włosy na karku.

Mimo że pałac miał co najmniej cztery piętra, to na podwórze sączyła się spora ilość światła. Dzięki swoim niewielkim rozmiarom teren ten był naturalnie osłonięty. Panował tu nadzwyczajny upał. Zauważyłem drzewka pomarańczowe i cytrynowe, a także mnogość purpurowych i białych kwiatów. Niektóre z nich znałem, inne nie. Ale jeśli żadna z tych roślin nie była trująca, to moja matka wydała na świat idiotę.

Na środku podwórza, w miejscu gdzie snopy słonecznego światła tworzyły rozkoszną i piękną poświatę, stało prowizoryczne biurko na skrzyżowanych nogach, a obok dwa proste krzesła. Na stole znajdowała się karafka z winem i dwa kielichy.

Ten przybity człowiek, poruszający się niemal jak we śnie, sięgnął po karafkę, napełnił kielich i wychylił jego zawartość. Dopiero później przypomniał sobie, by mnie poczęstować, ale odmówiłem.

Wyglądało na to, że płacz wyczerpał Lodovica fizycznie i emocjonalnie. Niewątpliwie jego rozpacz była prawdziwa. Szczerze opłakiwał swego brata, a ja zastanawiałem się, czy robi to dlatego, że w umyśle i sercu Lodovica jego brat już nie żył.

- Usiądź, proszę - zwrócił się do mnie, a później zwałił się na swoje biurko, pozwalając, by leżąca na nim sterta papierów spadła na ziemię.

Za jego plecami, w wielkiej donicy, rosło wysmukłe drzewo o woskowanych liściach, wyglądające znajomo. Ponownie zjeżyły mi się włosy na karku i ramionach. Znałem purpurowe kwiaty pokrywające gałęzie tego drzewa, a także maleńkie czarne nasiona, które pozostawały po opadnięciu kwiatów. Część z nich trafiła już do wilgotnej, wypełniającej donicę gleby.

Podniosłem z ziemi papiery i ułożyłem je z powrotem na biurku, a lutnię umieściłem obok krzesła.

Mężczyzna, kiedy tak obserwował moje ruchy, sprawiał wrażenie zamroczonego. Wreszcie oparł się na łokciach i zalał się płynącymi prosto z serca łzami.

- Nie mam wielkiego talentu do poezji, lecz z braku innych uzdolnień zostałem poetą - powiedział. - Podróżowałem po całym świecie i czerpałem z tego przyjemność. Nie, jedyną przyjemnością stanowiło pisanie listów do Niccoló i spotkania z nim, jeśli tylko znajdował na nie czas. Teraz zaś muszę myśleć o szerokim świecie, świecie, który zjeździłem, bez niego. Kiedy to czynię, zdaje mi się, że nie ma żadnego świata.

Utkwiłem wzrok w wypełniającej donicę ziemi, usłanej czarnymi ziarnami. Jedno z nich wystarczyłoby do uśmiercenia dziecka. Kilka, starannie rozdrobnionych, byłoby śmiertelne dla dorosłego. Niewielka ilość trucizny, dokładana regularnie do kawioru, który najlepiej nadawał się do tego celu, powoli wpędziłaby człowieka w chorobę i z każdą dawką

przybliżała go do śmierci. Smak owych ziaren był obrzydliwy, tak jak w wypadku wielu trucizn. Jeśli jednak któryś z pokarmów mógł go zamaskować, to właśnie kawior.

- Nie wiem, dlaczego ci o tym wszystkim opowiadam -ciągnął Lodovico. - Wyglądasz na poczciwego człeka, który potrafi też zajrzeć w głąb ludzkiej duszy. - Wydał z siebie westchnienie. - Pojmujesz, że można darzyć swego brata miłością, której nie sposób udźwignąć. I czuć się tchórzem w obliczu jego choroby i śmierci.

- Pragnę to pojąć - odparłem. - Ilu synów ma wasz ojciec?

- Jesteśmy jego jedynymi synami. Czyż nie rozumiesz, jak wielką nienawiścią zapala do mnie ojciec, jeśli Niccoló umrze? Och, teraz mnie kocha, ale znienawidzi, jeśli sam останę się przy życiu. Sprowadził mnie z domu mojej matki tylko przez wzgląd na Niccoló. Nie musimy mówić o mojej matce. Nigdy o niej nie rozmawiam. Doskonale potrafisz to pojąć. Mój ojciec nie musiał uznawać żadnych moich roszczeń względem swojej osoby. Ale Niccoló darzył mnie miłością. Pokochał mnie z chwilą, gdy bawiliśmy się razem jako dzieci, i pewnego dnia spakowano mnie razem z całym dobytkiem, zabrano z burdelu, w którym mieszkałem, i przywieziono tutaj, do tego domu. Moja matka wzięła za mnie garść klejnotów i złota. Płakała. Muszę jej to przyznać. Zalała się łzami. „Ale to dla ciebie - rzekła. - Mój mały książę zostanie teraz zabrany do zamku ze swoich snów”.

- Z pewnością miała szczerze zamiary. Podobnie jak twój ojciec. Zdaje się kochać was obu równie mocno.

- O tak. Swego czasu kochał mnie nawet bardziej. Niccoló i Vitale zachowywali się we dwóch niczym diabły wcielone.

Powiadam ci, że nie odróżnisz Żyda od goja, gdy przychodzi do łądactw i picia, a przynajmniej nie zawsze.

- Jesteś tym dobrym synem, mam rację? - zapytałem.

- Staralem się nim być. Wybierałem się w podróżę razem z ojcem, który nie zdołał ruszyć Niccoló z uniwersytetu. Och, mógłbym ci opowiedzieć historie na temat amerykańskich ostepów, hulank w portugalskich portach i innych dziwach, o których nawet ci się nie śniło.

- A jednak wróciliście do Padwy.

- Och, ojciec chciał mnie wykształcić. Oznaczało to uniwersytet dla mnie i mojego brata, ale nie potrafiłem dorównać w swoich studiach żadnemu z nich - ani Vitalemu, ani Niccoló. Pomagali mi. Zawsze brali mnie pod swoje skrzydła.

- A więc przez wszystkie te lata miałeś ojca wyłącznie dla siebie - zauważyłem.

- Tak - przyznał. Łzy zastygły, przestały już płynąć po jego twarzy. - Tak, i powinieneś być widzieć, jak szybko zwrócił się ku mojemu umiłowanemu bratu. Można by pomyśleć, że zostawił mnie w brazylijskiej dżungli.

- Roślina za tobą pochodzi właśnie stamtąd - powiedziałem.

Utkwił we mnie nieruchomy wzrok, a następnie odwrócił się i zaczął przyglądać roślinie tak, jakby nigdy wcześniej nie widział jej na oczy.

- Możliwe - odparł. - Nie pamiętam. Przywieźliśmy z sobą wiele pędów i młodych drzewek. Widzisz, on niezmiernie kocha kwiaty. Uwielbia drzewka owocowe, które tu kwitną. Nazywa to miejsce swoją oranżerią. To właściwie jego

ogród. Jak widzisz, przychodzę tu tylko od czasu do czasu, by pisać wiersze.

Po łzach nie został już nawet ślad.

- Jakim cudem rozpoznałeś tę roślinę? - zapytał.

- Hmm, widziałem ją w innych miejscach - odparłem. -Także w Brazylii.

Wyraz twarzy Lodovica się zmienił. Odniosłem wrażenie, że celowo stara się go złagodzić, patrząc na mnie.

- Rozumiem, że martwisz się o swojego brata - powiedziałem - ale może odzyska zdrowie. Ma w sobie jeszcze dużo siły.

- Tak, i niewykluczone, że zamierzenia mojego ojca względem niego wypłynęły ze szczerego serca. Ale pomiędzy nim a tymi planami stoi demon.

- Nie nadążam za twym tokiem myślenia. Nie sądzisz chyba, że twój brat...

- O nie - odparł spokojnie, a jego łzy całkiem już wyschły. - Nic podobnego. - A później znowu wyglądał na oszołomionego i zatroskanego, uniósł brew i uśmiechnął się tak, jakby pochłonęły go najskrytsze myśli. - Demon na drodze stoi memu ojcu - odezwał się - w sposób, o którym nie masz pojęcia. Pozwól, że opowiem ci krótką historię o ojcu.

- Zamieniam się w słuch.

- Poczciwy z niego człek i przez wszystkie te lata trzymał mnie u swego boku niczym tresowaną małpkę, prznosił ze statku na statek, jak swoje ukochane zwierzątko.

- Czy były to szczęśliwe czasy?

- O tak, bardzo.

- Ale chłopcy wyrastają na mężczyzn - wtrąciłem.

- Właśnie, a mężczyźni mają swoje pragnienia i potrafią czuć miłość tak żarliwą, że przeszywa ich serca niczym sztylet.

- Czułeś taką miłość?

- O tak, i to do kobiety wprost stworzonej dla mnie. Kobiety, która nie miała powodu, by patrzeć na mnie z góry, bowiem sama była córką zamożnego księdza. Nie musisz znać jego nazwiska, by pojąć bieg tej opowieści. Wiedz tylko, że kiedy ją ujrzałem, cały świat, poza tym, w którym żyła ona, przestał dla mnie istnieć. Nie było miejsca, w które chciałbym się zapuścić bez niej u boku. - Raz jeszcze utkwiał we mnie nieruchomy wzrok, a później oszołomienie wzięło nad nim górę. - Czy był to tylko fantastyczny sen?

- Kochałeś ją, a ona ciebie - rzekłem, by nakłonić go do mówienia.

- Mnie i majątek, z którego korzystałem dzięki rosnącej szczodrości i przywiązaniu mego ojca, na użytek własny i innych.

- Na to wygląda.

- Gdy jednak zdradziłem ojcu imię tej kobiety, zgadnij, jaka była jego reakcja. Och, dlaczego jej nie przewidziałem? Gdybym tylko pojął to wcześniej. Owszem, była córką księdza, ale nie byle jakiego, lecz wysoko postawionego kardynała, ojca wielu bogatych córek. Jak mogłem być takim głupcem, by nie przewidzieć, że widział w niej klejnot koronny godzien swego starszego syna.

Przerwał, bacznie mi się przyglądając.

- Nie wiem nawet, kim jesteś - powiedział z rozmysłem. - Dlaczego opowiadam ci o najszybkim porażce mego życia?

- Ponieważ jestem zdolny cię zrozumieć - odparłem. -Ojciec powiedział ci, że ta kobieta jest przeznaczona dla Niccoló, a nie dla ciebie.

Twarz Lodovica przybrała nieustępliwy, wręcz nikczemny wyraz. Każda jej linia, jeszcze przed momentem sprawiająca wrażenie przepełnionej smutkiem i troską, zamieniła teraz jego oblicze w zimną jak lód maskę, która przeraziłaby każdego, kto by ją zobaczył. Uniósł brwi i posłał mi chłodne spojrzenie.

- Owszem, moja umiłowana Leticia była przeznaczona dla Niccoló. Dlaczego nie wiedziałem, że rozmowy już się rozpoczęły? Dlaczego nie przyszedłem do ojca wcześniej, nim oddałem tej kobiecie swoją duszę? Owszem, okazał mi życzliwość. - Uśmiechnął się ironicznie. - Wziął mnie w ramiona. Ujął moją twarz w dłonie. Nadal byłem jego synem. Jego beniaminkiem. „Mój mały Lodovico. Po świecie chodzi wiele pięknych kobiet". Tak powiedział.

- I uraził cię tym do żywego - powiedziałem łagodnie.

- Uraził? Uraził mnie? Rozdarł moje serce na strzępy, jakby było padliną dla sępów. To właśnie zrobił. Jak myślisz, którą spośród swych rozlicznych willi i posiadłości w Rzymie postanowił ofiarować młodej parze, kiedy małżeństwo zostanie zawarte? - Roześmiał się lodowato i nie mógł przestać, jakby odpowiedź wydawała mu się zbyt zabawna. - Ten sam dom, który powierzył Vitalemu, by przygotował go na ich przybycie: by wpuścił doń świeże powietrze i wyposażył w meble, i który jest teraz domem hałaśliwego i nienawistnego żydowskiego dybuka!

Lodovico uległ tak całkowitej przemianie, że nie rozpoznałbym w nim mężczyzny, który wylewał gorzkie łzy w korytarzu.



Ponownie popadł w stan zamroczenia, a jego twarz przybrała nieustępliwy wyraz. Utkwił wzrok w porastającym dziedzińcu gąszczu drzew i kwiatów, a nawet wzniosł spojrzenie ku niebu, jakby podziwiał zbłąkane słoneczne promienie.

- Ojciec z pewnością pojmował rozmiary twojego cierpienia.

- O tak - odparł Lodovico. - Za kurtyną stoi jeszcze jedna znakomita i niewysłowienie bogata kobieta, gotowa wkroczyć na scenę. Wymarzony materiał na żonę dla mnie, chociaż zamieniliśmy z sobą ledwie kilka słów. A umiłowana Le-ticia zostanie mą oddaną siostrą, kiedy już mój brat wstanie z łóżka.

- Nic dziwnego, że płakałeś - zauważyłem.

- Dlaczego tak mówisz? - spytał.

- Ponieważ twoja dusza jest zajęta - odparłem. Wzruszył ramionami. - Jak mógłbyś patrzeć na chorobę swego brata, nie mając podobnych myśli...

- Nigdy nie życzyłbym mu śmierci! - zapewnił, uderzając pięścią w stół. Wydawało mi się, że mebel może ustąpić pod jego ciosem i się złamać, ale tak się nie stało. - Nikt nie zadał sobie więcej trudu niż ja, by go uratować. Sprowadzałem mu doktorów, jednego po drugim. Posyłałem po kawior, jedyny pokarm, jaki bierze do ust.

Niespodziewanie powróciła fala łez, a z nimi szczery, głęboki i wyczerpujący ból.

- Kocham mojego brata - szepnął Lodovico. - Kocham go najbardziej ze wszystkich ludzi chodzących po tym świecie, włącznie z tą kobietą. Ale musisz wiedzieć, że nadszedł dzień, gdy ojciec zabrał mnie do tego pustego domu, podczas gdy

Vitale i Niccoló przebywali w Padwie, bez wątpienia pijąc na umór, i kiedy ojciec prowadził mnie do kolejnych pomieszczeń, opowiadając o tym, jakie będą piękne... tak, nawet do sypialni, która też miała zostać urządzona dla nich jak najpiękniej, i jak, i jak, i jak! - Przerwał swoją opowieść.

- Wtedy jeszcze nie wiedział.

- Nie. Trzymał w tajemnicy imię tej kobiety, tak starannie wybranej kandydatki na żonę dla swego syna. To ja zacząłem używać jej imienia w wierszach, które dla niej pisałem i które w swej głupocie, w swej głupocie, powiadam ci, pokazałem mu!

- Los obszedł się z tobą okrutnie, naprawdę okrutnie.

- Owszem - powiedział - a okrutny los czyni ludzi równie okrutnymi. - Zapadł się w krzesło i zapatrzył przed siebie, jakby nie rozumiał własnej opowieści ani tego, co mogła ona znaczyć dla mnie.

- Wybacz, że sprawiłem ci ból - powiedziałem.

- Nie musisz mnie prosić o przebaczenie - odparł Lodovico. - Ból tkwił we mnie i w końcu mnie opuści. Lękam się jego śmierci. Przeraza mnie jej wizja. Przeraza mnie świat bez niego. Przeraza mnie myśl o moim ojcu bez niego. Przeraza mnie myśl o Leticii bez niego, bowiem nigdy, przenigdy nie będzie moja.

Nie byłem pewien, co myśleć o jego słowach. Wiedziałem tylko, że są szczere.

- Muszę wracać do Vitalego - powiedziałem. - Sprowadził mnie tu, bym grał dla twojego brata.

- Tak, oczywiście. Ale najpierw powiedz mi jedną rzecz. To drzewo... - odwrócił się na krzesło i spojrzał w górę, na

wysmukłe zielone gałęzie i purpurowe kwiaty. - Wiesz, jak nazywają je w brazylijskich dżunglach?

Zastanawiałem się przez chwilę, a później powiedziałem:

- Nie. Pamiętam tylko, że je tam widziałem, pamiętam jego kwiaty oraz ich piękny zapach i wygląd. Wydaje mi się, że z tak intensywnie purpurowych kwiatów można zrobić barwnik.

Wyraz jego twarzy znowu się zmienił. Wydawała się teraz wyrachowana i chłodna. Mógłbym przysiąc, że zacisnął usta w gniewną kreskę. Nie przestawałem mówić, tak jakbym niczego nie zauważył, ale zaczynałem czuć do tego człowieka coraz silniejszą niechęć.

- Te kwiaty przywodzą mi na myśl ametyst, a w Brazylii jest dużo pięknych ametystów.

Milczał, jego oczy nieznacznie się zwęziły.

Nie mogłem opanować narastającego we mnie uczucia pogardy i nieufności. Z pewnością nie zostałem tu przysłany, by oceniać lub nienawidzić, lecz wyłącznie po to, by uchronić człowieka przed otruciem. Wstałem.

- Powinienem już wracać do Vitalego - oświadczyłem.

- Okazałeś mi dobroć - powiedział, lecz kiedy się uśmiechnął, poruszyły się tylko jego usta, i prawdę mówiąc, grymas ten wydał mi się obrzydliwy. - Szkoda, że jesteś Żydem.

Po plecach przebiegł mi dreszcz, lecz wytrzymałem jego spojrzenie. Znowu poczułem się bezbronny, tak jak wtedy, gdy zorientowałem się, że do mojego ubrania przytwierdzona jest okrągła żółta łatka. Ledwie na siebie spojładaliśmy.

- Naprawdę? - zapytałem, kłaniając się Lodovicowi, jakbym chciał mu w ten sposób powiedzieć: jestem do twoich usług.

Znowu posłał mi uśmiech, tak lodowaty, że bliżej mu było do grymasu. Poczulem, jak w uszach szumi mi krew Walczyłem z sobą, by zachować spokój.

- Czy kochałeś kiedyś kobietę, której nie mogłeś mieć?  
-zapytał.

Zastanawiałem się przez moment, niepewny odpowiedzi i powodu, dla którego się jej domagał. Przypomniałem sobie o Lionie. Nie widziałem sensu w rozmyślaniu o niej teraz, tutaj, w obecności tego dziwnego młodzieńca.

- Modłę się o zdrowie dla twojego brata - powiedziałem, zmieszany i niepewny. - Modłę się o to, by zaczął do niego wracać już dziś. To przecież możliwe. Niezależnie od tego, jak bardzo jest chory, może mu się niespodziewanie polepszyć.

Wydał z siebie krótki, ohydny, pełen wrogości dźwięk. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Patrzył na mnie teraz zuchwale i nienawistnie. A ja bałem się, że spoglądam na niego w podobny sposób. Lodovico wiedział. Wiedział, że go rozgryzłem, miał też świadomość tego, co zrobił.

- Takie ozdrowienie może się przydarzyć - nie ustępowałem. Walczyłem. - Dla Boga wszystko jest przecież możliwe.

Przyjrzał mi się badawczo i tym razem na jego twarzy odmalowała się groźba.

- Nie liczę na to - powiedział cichym i ostrym jak brzytwa głosem. Wyprostował się, jakby zbierał siły, nim przemówił: -Myślę, że mój brat umrze. I na twoim miejscu wyniosłbym się stąd, zanim wy, Żydzi, zostaniecie oskarżeni o jego śmierć. Och, nie zaprzeczaj. Oczywiście o nic cię nie podejrzewam, ale jeśli masz odrobinę oleju w głowie, zostawisz Vitalego. Wymkniesz się z pałacu i pójdziesz w swoją stronę.

Przeżyłem już wiele szkaradnych, przerażających momentów. Ale nigdy nie czułem równie silnej nienawiści emanującej z ludzkiej istoty jak ta teraz.

Czego oczekiwał ode mnie Malachiasz? Co miałem uczynić dla tego człowieka? Bezskutecznie usiłowałem sobie przypomnieć uwagi Malachiasza dotyczące trudności, jakie mogę tu napotkać, i charakteru tej misji, ale nie potrafiłem przywołać ani jego słów, ani intencji.

Prawda jest taka, że chciałem zabić tego człowieka. Przeżony swymi uczuciami, starałem się je ukryć. Ale pragnąłem odebrać mu życie. Chciałem chwycić garść tych śmiercionośnych czarnych ziaren i wepchnąć mu je do ust, nim zdoła mnie powstrzymać. Musiałem pewnie zapłonać ze wstydu. Tak bardzo oddaliłem się od bycia odpowiedzią na ludzkie modlitwy, że sam zacząłem myśleć jak dybuk. Powoli i głęboko zaczerpnąłem powietrza i starałem się przemówić możliwie spokojnym głosem.

- Dla twojego brata jeszcze nie jest za późno - powiedziałem. - Już od dzisiaj mógłby zacząć wracać do zdrowia.

W jego oczach pojawił się jakiś dziwny błysk, a później na nowo odmalowały się w nich nieustępliwość i głęboka, niczym niezamaskowana wrogość.

- Zachowasz się jak głupiec, zostając tu choćby chwilę dłużej - wyszeptał.

Spuściłem wzrok, wypowiedziałem w myślach krótką modlitwę, a gdy się odezwałem, nadałem swojemu głosowi możliwie łagodny i spokojny ton:

- Modłę się o zdrowie dla twojego brata - rzekłem. Potem odszedłem.

## ROZDZIAŁ 7

Wyprowadziłem Vitalego z pokoju pacjenta do przedsionka.

- Twój przyjaciel jest podtruwany, i to śmiertelnie niebezpieczną trucizną. Nakarm kawiozem bezdomnego psa, a wyzionie ducha na twoich oczach.

- Kto mógłby uczynić coś podobnego?

- Boję ci się to wyznać: jego własny brat. Nie możesz jednak doprowadzić do konfrontacji. Nikt ci nie uwierzy. Oto, co musisz zrobić: natychmiast poproś, by podano pacjentowi mleko, i to jak najwięcej. Powiedz, że tylko białe pokarmy przywrócą mu zdrowie. Wolno mu podawać wyłącznie białe jedzenie, z którym nie można mieszać niczego czarnego.

- Sądzisz, że to zadziała?

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Trucizna pochodzi z rośliny znajdującej się nieopodal, w oranżerii. Jest czarna. Barwi na ten kolor wszystko, z czym się zetknie. Źródłem trucizny są czarne ziarna purpurowego kwiatu.

- Och, słyshałem o tej roślinie! - powiedział. - Pochodzi z Brazylii. Nazywają ją purpurową śmiercią. Czytałem o niej w swoich księgach, i to po hebrajsku. Nie sądzę, by ją znali władający tylko łaciną doktorzy. Sam nigdy jej nie widziałem.

- Cóż, ja miałem okazję zobaczyć tę truciznę i powiadam ci, że znajdziesz jej mnóstwo na drzewie rosnącym w ogrodzie przed pałacem. Jest tak silna, że nie mogę jej zebrać bez tych oto rękawic i potrzebuję skórzanego mieszka, by ją w nim umieścić.

Vitale szybko sięgnął do kieszeni tuniki po sakiewkę, wyjął z niej złoto, schował je do kieszeni i podał mi mieszek.

- Proszę, czy teraz będziesz mógł ją bezpiecznie zebrać? Czy winowajca pozna, żeś to uczynił?

- Nie, jeśli odwrócisz jego uwagę. Zawołaj *signore* Antonia i Lodovica. Zażądaj, by obaj cię wysłuchali. Opowiedz im o swoich podejrzeniach, że kawior nie pomaga choremu. Wy tłumacz, że musi pić mleko. Powiedz, że mleko wyścieli żołądek i wchłonie szkodliwe substancje, szkodliwe dla Niccoló. Zaznacz, że najlepsze będzie kobiece mleko, ale krowie też się nada, podobnie jak mleko kozie i ser, czysty, biały ser najwyższej jakości. Im więcej wmusisz go w pacjenta, tym lepiej. A tymczasem ja zajmę się trucizną.

- Ale jak mam im wyjaśnić, skąd to wiem?

- Powiedz, że się modliłeś, rozmyślałeś i analizowałeś przebieg choroby, odkąd pacjentowi zaczęto podawać kawior.

- Tak właśnie było, nie ma w tym kłamstwa.

- Przekonaj ich, że warto wypróbować podawanie mleka. Kochający ojciec nie dopatry się w tym szkody. Nikt nie zakwestionuje twojej metody. Tymczasem ja udam się do oran-

żerii i zbiorę tyle trucizny, ile tylko zdołam. Nie wiadomo, jak duży zapas zgromadził truciciel. Sądzę jednak, że niewielki. Trucizna jest zbyt silna. Pewnie zbierał małe jej ilości, w miarę potrzeb.

Twarz Vitalego pociemniała. Pokręcił głową.

- Mówisz, że uczynił to Lodovico.

- Sądzę, że tak. Ale teraz najważniejsze jest to, byś podał swojemu pacjentowi mleko.

Pobiegłem na niewielki dziedziniec. Bramy były zamknięte. Spróbowałem je wyważyć, lecz ani drgnęły. Jedyńm wyjściem było rozbicie zamka, ale brakowało mi na to sił. Zbliżył się do mnie jeden z niezliczonych służących, zasuszona istota odziana w łachmany, i łagodnie zapytał, czy może mi jakoś pomóc.

- Gdzie jest *signore* Lodovico? - odwzajemniłem pytanie wyłącznie po to, by pokazać, że go szukałem.

- Ze swoim ojcem i księżmi.

- Księżmi?

- Wysłuchaj mojego ostrzeżenia - szepnęła wychudzona bezzębna istota. - Wynoś się z tego domu, póki możesz.

Posłałem służącemu pytające spojrzenie, lecz on tylko pokręcił głową i odszedł, mamrocząc pod nosem, zostawiwszy mnie przed zamkniętą bramą na dziedziniec. W głębi podwórka widziałem jaskrawopurpurowe kwiaty, które chciałem zebrać. Wiedziałem już, że nie mam czasu, by zrealizować swój plan. Prawdopodobnie nie był on też najlepszy.

Kiedy dotarłem do sypialni Niccoló, ujrzałem zbliżającego się w moim kierunku *signore* Antonia w towarzystwie dwóch starszych księży w długich czarnych sutannach z błyszczącymi krucyfiksami na piersiach i uczeponego ojcowskiej dłoni



Lodovica. Znowu zalewał się łzami, lecz gdy tylko mnie zobaczył, posłał mi spojrzenie ostre jak sztylet. Nawet nie próbował stwarzać pozorów serdeczności. Zamiast niej dostrzegłem na jego twarzy coś na kształt triumfu. Pozostali mężczyźni przyglądali mi się z wyraźną podejrzliwością, chociaż sam *signore* Antonio wyglądał na wielce zatroskanego.

Z sypialni dobiegł mnie głos Vitalego wydającego komuś polecenie usunięcia kawioru. Ta osoba sprzeciwiła się mu, podobnie jak Niccoló, ale nie mogłem rozróżnić wypowiedzianych słów.

- Młody człowieku - zwrócił się do mnie *signore* Antonio - wejdźże tu ze mną.

Zza jego pleców wyłonili się dwaj inni mężczyźni. Dostrzegłem, że są to uzbrojeni wartownicy. Do pasków mieli przytroczone sztylety, a jeden z nich posiadał dodatkowo miecz.

Wszedłem do pokoju jako pierwszy. Osobą, która kłóciła się z Vitalem, był Pico, a kawior pozostał na swoim miejscu. Niccoló leżał na łóżku z półprzymkniętymi oczyma. Jego usta były suche i popękane, a oddech nierówny. Modliłem się, by nie było dla niego za późno.

Wartownicy przystanęli pod ścianą, za krzesłem, na którym wcześniej grałem na lutni. Zgromadziliśmy się wokół łóżka.

*Signore* Antonio przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, a później wlepił wzrok w Vitalego. Lodovico zaś ponownie zaniósł się płaczem, niezwykle przekonująco, tak jak poprzednio.

- Obudź się, mój synu - powiedział *signore* Antonio. - Obudź się i wysłuchaj prawdy z ust swego brata. Obawiam

się, że nie możemy tego dłużej uniknąć i tylko opowiedzenie tej historii może nas uchronić od katastrofy.

- O co chodzi, ojczy? - zapytał chory. Sprawiał wrażenie słabszego niż kiedykolwiek, chociaż kawior w dalszym ciągu znajdował się na swoim miejscu.

- Mówże - zwrócił się *signore* Antonio do Lodovica. Młody mężczyzna zachwiał się, otarł łzy jedwabną chusteczką, a później powiedział:

- Nie mam innego wyboru jak tylko ujawnić, że Vitale, nasz zaufany przyjaciel, nasz powiernik, towarzysz, w rzeczywistości rzucił urok na mego brata!

Niccoló usiadł na łóżku z siłą, jakiej jeszcze u niego nie widziałem.

- Jak śmiesz wygadywać podobne rzeczy? Wiesz, że mój przyjaciel nie byłby do tego zdolny. W jaki sposób to uczynił i po cóż?

Lodovico zalał się kolejną falą łez i zwrócił się ku ojcu z otwartymi ramionami.

- W tajemnicy przede mną, mój synu - odezwał się Antonio - ten człowiek zapragnął posiadać dom, w którym mieszka. Dom, w którym pozwoliłem mu mieszkać podczas twojej choroby i który postanowiłem ofiarować tobie i twojej wybrance. Sprowadził do niego złego ducha, by wykonywał jego polecenia, i to za sprawą owej nieczystej mocy zapadłeś na ciężką chorobę, a teraz ma nadzieję, że umrzesz, zostawiając mu dom. Modlił się o to do swego Boga. Modlił się o to, a Lodovico podsłuchiwał jego modlitwy.

- To kłamstwo. O nic takiego się nie modliłem - powiedział Vitale. - Mieszkam w tym domu dla twojej przyjemności

i z tego samego powodu staram się uporządkować starą bibliotekę, a także odszukać hebrajskie manuskrypty pozostawione wiele lat temu przez człowieka, który ten dom ci przekazał. Ale nigdy nie modliłem się o jakąkolwiek pomoc złego ducha i nigdy nie dopuściłbym się czegoś tak niecnego w stosunku do mojego najbliższego przyjaciela.

Utkwił niedowierzający wzrok w *signore* Antonia.

- Jak możesz mnie o to oskarżać? Sądzisz, że w nadziei przejęcia pałacu, na który sam mógłbym sobie pozwolić, poświęciłbym życie swojego najdroższego na całym świecie przyjaciela? *Signore*, ranisz mnie tym podejrzeniem niczym nożem.

*Signore* Antonio wysłuchiwał jego słów jakby bez przekonania.

- Czyż w tym domu nie ma synagogi? - zapytał wyższy i najwyraźniej starszy z księży. Był człowiekiem o siwych włosach i wyostrzonych rysach, lecz na jego twarzy nie malowała się bezwzględność. - Czyż nie ma w niej zwojów Tory, umieszczonych w arce?

- Owszem, wymienione przez ciebie przedmioty znajdują się w tym domu - odparł Vitale. - Były tam, kiedy się wprowadziłem. Powszechnie wiadomo, że wcześniej mieszkał tam żyd i pozostawił je, by przez dwadzieścia lat pokryły się kurzem.

*Signore* Antonio wyglądał na szczególnie poruszonego tymi słowami, ale ich nie skomentował.

- Nigdy nie używałeś tych przedmiotów podczas swoich niecnych modlitw? - zapytał drugi ksiądz, z natury bardziej bojaźliwy, który jednak trząsał się teraz z kiepsko skrywanego podniecenia.

- Zaprawdę nie używałem ich do tego celu - oznajmił Vitale. - Przyznaję, że bliżej mi do humanisty, poety, medyka aniżeli pobożnego żyda. Wybacz mi, ale z nich nie korzystałem. Chadzałem do synagogi swoich przyjaciół na szabasowe modlitwy. Znacie tych ludzi, i to dobrze. Szanujecie ich wszyscy.

- Ach - odezwał się wysoki ksiądz. - Zatem przyznajesz, że nie wypowiedziałeś żadnych uświęconych czy pobożnych modlitw nad tymi dziwnymi księgami, a mimo to mamy założyć, że twoje święte zwoje nie są jakimiś pokrętnymi, obcymi dziełami pełnymi tajemnych formuł i zaklęć?

- Czy wypierasz się posiadania podobnych przedmiotów? - wtrącił młodszy z księży.

- Dlaczego mnie o to oskarżacie!? - zapytał Vitale. - *Signore Antonio*, miłuję cię. Miłuję także Niccoló. Miłuję jego przyszłą małżonkę niczym własną siostrę. Od czasów Padwy byliście dla mnie jak rodzina.

*Signore Antonio* był wyraźnie wstrząśnięty, lecz wyprostował się, jakby postawienie Vitalemu zarzutów wymagało od niego zebrania wszystkich sił.

- Powiedz mi prawdę, Vitale - poprosił. - Czy rzuciłeś urok na mego syna? Czy wypowiadałeś nad nim dziwne zaklęcia? Czy przysięgłeś Złemu, że ofiarujesz mu życie tego chrześcijanina w zamian za spełnienie twojej mrocznej zachcianki?

- Nigdy, przenigdy nie wypowiedziałem ani słowa modlitwy do Złego - odrzekł mu Vitale.

- W takim razie dlaczego mój syn choruje? Dlaczego z dnia na dzień jego stan się pogarsza? Dlaczego cierpi katu-

sze, podczas gdy po twoim domu nawet w tej minucie rozbija się demon, jakby tylko czekał na efekty twoich mrocznych uroków?

- Czy to twoja sprawka, Lodovico? - zażądał odpowiedzi Vitale. - Czy to ty zasiałeś te myśli w głowach wszystkich tu zgromadzonych?

- Pozwólcie mi przemówić - odezwałem się. - Nie znacie mnie, za to ja znam przyczynę choroby twego syna.

- Kimże jesteś, byśmy mieli cię wysłuchać? - zapytał starszy ksiądz.

- Wędrowcem, badaczem zjawisk naturalnych, roślin i egzotycznych kwiatów, a nawet trucizn i poszukiwaczem lekarstw na nie.

- Zamilcz! - krzyknął Lodovico. - Masz czelność mieszać się w rodzinną sprawę. Ojczy, rozkaż wyrzucić stąd tego grajka. Nie jest on nikim więcej jak tylko giermkim Vitalego.

- Nie do końca, *signore* - wtrącił Vitale. - Ten człowiek wiele mnie nauczył. - Odwrócił się do mnie i ujrzałem na jego twarzy przerażenie, obawę przed tym, że moje słowa mogą się okazać fałszem, podczas gdy wszystko zależało od ich prawdziwości.

- *Signore* - zwróciłem się do starszego mężczyzny. - Widzisz ten oto kawior.

- Z papieskiego pałacu! - zaświadczył Lodovico, a następnie wyrzucił z siebie potok słów, by mnie uciszyć, lecz nie pozwoliłem mu na to.

- Widzisz go oto! - powtórzyłem z mocą. - Jest czarny, słony w smaku, dobrze ci znany. Jednak zapewniam cię, sir, że gdybyś zjadł cztery lub pięć łyżeczek tego kawioru, wkrótce zbladł

byś i oblał się potem, tak jak twój syn. Prawdę mówiąc, człowiek w twoim wieku mógłby nawet umrzeć po takiej dawce.

Obaj księza przenieśli wzrok na niewielkie srebrne naczynie wypełnione kawiozem i obaj instynktownie się cofnęli.

- *Signore* - ciągnąłem - w twojej własnej oranżerii, nieopodal głównego dziedzińca, rośnie drzewo znane Brazylijczykom jako purpurowa śmierć. Powiadam ci, że wystarczy zaledwie jedno czarne ziarno tej rośliny, by wpędzić człowieka w chorobę. Podawane regularnie, dodane w zmielonej postaci do pokarmu o smaku tak wyrazistym jak kawior, z pewnością go zabije.

- Nie wierzę ci! - szepnął starzec. - Kto byłby zdolny do podobnego czynu?

- Kłamiesz - wykrzyknął Lodovico. - Opowiadasz wyssane z palca brednie, by chronić swojego kompana, i Bóg jeden wie, do jakich grzechów obaj jesteście zdolni.

- W takim razie zjedz kawior - powiedziałem. - Ale nie jedną małą łyżeczkę, którą usiłowałeś nakarmić swojego brata, lecz wszystko, co znajduje się w naczyniu, a wtedy się przekonamy. A jeśli wam to nie wystarczy, zabiorę wszystkich do ogrodu i pokażę wam rzeczoną roślinę oraz jej moc. Znajdźcie na ulicach Rzymu godnego pożałowania bezpańskiego psa i podajcie mu ziarna tego drzewa, a sami się przekonacie, że natychmiast zaczną drzeć, trząść się i wyzionie ducha.

Lodovico wyciągnął z rękawa sztylet. Księża z miejsca krzyknęli do niego, by się nie ruszał i powstrzymał od nieprzemyślanych czynów.

- Potrzebujesz sztyletu, by skosztować kawioru? - zapytałem. - Użyj srebrnej łyżeczki, będzie ci łatwiej.

- Ten człowiek opowiada wierutne kłamstwa - wykrzyknął Lodovico. - Który z mieszkańców tego domu dopuściłby się podobnej niegodziwości wobec mojego brata? Któż by się ośmielił! A ten kawior przybył z kuchni samego Ojca Świętego. Powiadam wam, to zwykła nikczemność.

Zaległa cisza jak makiem zasiał.

*Signore* Antonio spoglądał na swego syna, który w dalszym ciągu stał zwrócony twarzą do mnie, z obnażonym sztyletem. Ja zaś stałem tak jak przedtem, z zawieszoną na plecach lutnią, ledwie na niego patrząc. Vitale był blady jak płótno, roztrzęsiony i bliski płaczu.

- Dlaczegoś to uczynił? - zapytał *signore* Antonio łagodnym głosem, najwyraźniej kierując swoje pytanie do Lodovica.

- Niczego nie uczyniłem. A roślina, o której mówi ten człowiek, nie istnieje.

- Ależ wręcz przeciwnie - odparł *signore* Antonio. - To ty sprowadziłeś ją do tego domu. Doskonale pamiętam. Nie sposób zapomnieć jej purpurowych kwiatów.

- Był to prezent od naszych drogich przyjaciół z Brazylii - wyjaśnił Lodovico. Sprawiał wrażenie zranionego i zasmuczonego. - Piękne drzewo do ogrodu pełnego równie zachwycających roślin. Nie starałem się tego przed tobą ukryć. Nie mam pojęcia o jego właściwościach. Któż o nich wie? - Przeniósł wzrok na mnie. - Ty! - powiedział. - I twój żydowski przyjaciel, Vitale, twój współnik w tej intrydze. Czyżbyście razem oddawali cześć Złemu!? Czy to właśnie on zdradził wam, co ta roślina potrafi zdziałać? Jeśli ten kawior rzeczywiście jest skażony, to wyłącznie przez truciznę, którą do niego dodaliście. - Po jego twarzy ponownie zaczęły płynąć fałszy-

we łzy. - Jakież to nikczemne, że uczyniliście memu bratu tak wielką krzywdę.

*Signore* Antonio potrząsnął głową. Jego wzrok był utkwiony w Lodovica.

- Nie - szepnął. - Żaden z nich nie mógł tego zrobić. To ty przywiozłeś roślinę. To ty sprowadziłeś kawior do domu.

- Ojcie, ci mężczyźni to czarownicy, uosobienie zła.

- Czyżby? - zapytał *signore* Antonio. - A któryż to z naszych brazylijskich przyjaciół przysłał ten niezwykły kwiat? Sądzę raczej, że sam kupiłeś tę roślinę, przywiozłeś ją do domu i zasadziłeś bardzo blisko swego biurka, na którym piszesz i przekładasz.

- Nie, powiadam ci, że to podarunek. Nie pamiętam, kiedy tu dotarł.

- Za to ja pamiętam. Wydarzyło się to nie tak dawno temu i właśnie wtedy ty, mój synu Lodovico, wpadłeś na pomysł, że kawior polepszy stan zdrowia twego osłabionego brata.

Przez cały czas chory przysłuchiwał się wszystkiemu ze zgrozą. Rzucił spojrzenia to na lewo, na swojego ojca, to na prawo, na brata, i badawczo przyglądał się księżom, kiedy przemawiali. Kiedy ja się odzywałem, przeszywał mnie przezrazonym wzrokiem. Teraz pochylił się do przodu i podniósł miseczkę z kawiozem trzęsącymi się dłońmi.

- Nie waż się tego dotykać! - powiedziałem. - Nie zbliżaj naczynia do oczu. Zaczną cię palić żywym ogniem. Zapomniałeś już?

- Ja nie zapomniałem - odezwał się ojciec.

Jeden z księży sięgnął po naczynie, ale chory odłożył je na górę brokatowych narzut i zaczął się mu przypatrywać, jakby żyło własnym życiem, jakby patrzył na płomień świecy.



Ujął w dłoń srebrną łyżeczkę. Ojciec błyskawicznie wyrwał mu ją i cisnął miseczkę na bok, a wtedy przewróciła się i kawior zaplamił narzutę na czarno.

Lodovico, zanim zdążył się powstrzymać, odsunął się od łóżka, na które wylał się kawior, instynktownie zrobił krok w tył. I dopiero wtedy zorientował się, co uczynił. Spojrzał na swego ojca. Wciąż trzymał w ręku sztylet.

- Sądzisz, że jestem temu winny? - zwrócił się do ojca. - Powiadam ci, że nie ma tu trucizny. Jest tylko plama, którą praczka bezskutecznie będzie próbowała wywabić, ale nie trucizna.

- Chodźcie ze mną do oranżerii - powiedziałem. - Pokażę wam drzewo. Znajdźcie jakieś nieszczęsne zwierzę. Udowodnię wam, do czego jest zdolna ta trucizna. Pokażę wam, jak czarne jest to ziarno, i udowodnię, że kawior doskonale nadawał się, by je ukryć.

Nagle Lodovico rzucił się w moją stronę ze sztyletem. Dobrze znałem sztukę samoobrony. Uderzyłem kantem dłoni w jego nadgarstek, wytrącając mu ostrze z ręki, lecz on spróbował chwycić mnie za gardło rozcapierzonymi palcami. Uniosłem do góry skrzyżowane ramiona i błyskawicznie je rozłożyłem, przez co jego ręce poszybowały na boki w gwałtownym i niekontrolowanym geście.

Cofnął się, zdumiony tymi prostymi ruchami. Żaden z nich nie byłby zaskoczeniem w naszych czasach, kiedy to sztuk walki uczą się nawet dzieci. Byłem zawstydzony tym, jak wielką przyjemność sprawiło mi to starcie.

Jeden z wartowników podniósł z ziemi sztylet.

Lodovico przez chwilę stał w miejscu, roztrzęsiony, a później, w akcie desperacji, przeciągnął ręką po plamie na na-

rzucie, zbierając ledwie kilka ziaren kawioru, i umieścił je na języku.

- Widzicie, powiadam wam, że jestem opętany. Opętali mnie ci źli Żydzi, którzy usiłują doprowadzić do mojej zguby z jednego tylko powodu: bo znam ich sztuczki i wiem, co chcieli uczynić Niccoló.

Obliznął usta. Skosztował tylko odrobinę kawioru i z łatwością mógł ukryć efekty jego działania. Ponownie zapadła głęboka cisza. Przerwało ją dopiero nagłe poruszenie się Niccoló.

- Bracie - szepnął. - Powodem tego wszystkiego jest Leticia.

- To kłamstwo! - wychrypiął Lodovico. - Jak śmiesz?

- Gdybym tylko wiedział - westchnął Niccoló. - Kimże ona jest, jeśli nie jedną z wielu nadobnych młodych panien, które mógłbym pojąć za żonę? Gdybym tylko wiedział.

*Signore* Antonio utkwiał zdumione spojrzenie w Lodovica.

- Leticia, czyż tak? - szepnął.

- Powiadam wam, że ci Żydzi rzucili na niego urok. Powiadam wam, że to oni dodali trucizny do kawioru. Powiadam wam, że jestem niewinny. - Zalewał się łzami, trząsał się z gniewu, szeptał i mamrotał do siebie, by po chwili przemówić. - Obecny tu Vitale sprowadził tę roślinę do naszego domu. Teraz sobie przypominam. Jak inaczej on i jego przyjaciel wiedzieliby o drzemiących w niej mocach? Powiadam wam, że ten oto Toby sam zaświadczył o swojej winie.

*Signore* Antonio pokręcił głową, litując się nad swoim synem.

- Chodźmy - powiedział. Przywołał gestem uzbrojonych wartowników, by zajęli się Lodovikiem, a później spojrzał na mnie. - Zabierz mnie do oranżerii i pokaż mi tę roślinę.

## ROZDZIAŁ 8

Twarz młodego mężczyzny wykrzywił grymas wściekłości. Plastyczność jego rysów, która wcześniej pozwoliła mu z taką łatwością odegrać żal, teraz zamieniła jego oblicze w maskę furii. Lodovico odepchnął uzbrojonych wartowników i odszedł z wysoko uniesioną głową, kiedy zesliśmy po schodach i zebraliśmy się wszyscy, oczywiście z wyjątkiem Niccoló, w oranżerii.

Wskazałem na jedno z wielu czarnych ziaren rosnącego tam drzewka, które zdążyły spaść na glebę. Wskazałem na w połowie zwiędnięte kwiaty, które już skrywały truciznę.

Jeden ze służących został odesłany, by odnaleźć chorego, bezdomnego psa i sprowadzić go do domu. Wkrótce po szerokiej klatce schodowej rozniósł się skowyt biednego zwierzęcia.

Vitale utkwiał przerażony wzrok w purpurowych kwiatkach. *Signore Antonio* ledwie na nie spojrział, a dwóch księży przy-

patrywało się zimno mnie i Vitalemu, jakbyśmy w dalszym ciągu ponosili odpowiedzialność za to, co się tu wydarzyło.

Starsza kobieta, oszołomiona i przestraszona, znalazła naczynie dla biednego, wygłodzonego psa i poszła napełnić je wodą.

Założyłem z powrotem rękawiczki, które zdjąłem, by zagrać na lutni, i zażądawszy sztyletu Lodovica, zebrałem ziarna w stosik, a później rozejrzałem się za czymś, co pomogłoby mi je zmiażdżyć. Pod ręką miałem tylko rękojeść sztyletu. Użyłem jej więc do zrobienia proszku, którego sporą szczyptę dosypałem do wody w psiej misce. Następnie dodałem dwie kolejne szczypty.

Zwierzę piło łapczywie i rozpaczliwie, a na koniec wylizało pustą miskę i natychmiast dostało drgawek. Przewróciło się na bok, a później na grzbiet i jęło się wic w agonii. Po chwili jego ciało zeszywniało, zaś zamglone oczy wpatrywały się w nicość. Wszyscy, nie wyłączając mnie, oglądali tę scenę z odrazą i przerażeniem.

Lodovico był jednak rozsierdzony, przenosił gniewny wzrok z księży na swego ojca, a później na psa.

- Przysięgam, że jestem niewinny! - oświadczył. - Żydzi wiedzieli o truciznie. Żydzi ją tutaj sprowadzili. To właśnie Vitale, ten Żyd, przywiózł roślinę do domu...

- Przeczysz własnym słowom - odezwał się Antonio. -Kłamiesz. Jąkasz się. Błagasz o to, byśmy dali ci wiarę, jak tchórz!

- Powiadam wam, że nie miałem w tym udziału! - wykrzyknął zdesperowany. - Ci Żydzi rzucili na mnie zły urok, podobnie jak na mojego brata. Jeśli to ja uknułem tę intrygę,

uczyniłem to we śnie, nieświadomie. Działalem we śnie, dokonując czynów, do których zostałem przez nich zmuszony. Co wiecie na temat tych Żydów? Mówicie o ich świętych księgach, ale cóż wam o nich wiadomo? Twierdzicie, że nie są wypełnione zaklęciami, które mnie do tego pchnęły, lecz czy nie jest prawdą, że demon rozbija się po ich przeklętym domu nawet teraz?

- *Signore Antonio* - odezwał się starszy ksiądz o ostrych, lecz jednocześnie łagodnych rysach twarzy. - Chciałbym wtrącić słowo na temat tego demona. Ludzie na ulicach słyszą jego zawodzenia. Czy to, czego jesteśmy świadkami, mogło być dziełem owego demona? Sądzę, że tak!

Lodovico zaczął gorliwie zapewniać, że tak, to sprawka demona, który odprawił nad nim swoje złowrogie czary, że nikt nie potrafi sobie wyobrazić ogromu zła tej bestii i tak dalej. Jednak posmutniały Antonio nie chciał tego słuchać. Przyglądał się swemu synowi z rozpaczą, bliski łez, lecz nie uronił ani jednej.

- Jak mogłeś to zrobić? - szepnął.

Nagle Lodovico wyrwał się dwóm mężczyznom, którzy stali u jego boku, ledwie go przytrzymując. Dopadł drzewa obsypanego purpurowym kwieciem i chwycił garść czarnych ziaren razem z ziemią, tyle ile zmieściło mu się w dłoni.

- Powstrzymajcie go! - krzyknąłem i rzuciłem się za Lodovikiem, odpychając go od donicy, lecz przystawił rękę do ust, zanim zdołałem go powstrzymać, i wsypał ziemię i ziarna do otwartych ust. Usiłowałem odciągnąć jego dłoń, ale było już za późno.

Strażnicy dopadli Lodovica, a za nimi jego ojciec.

- Zmuście go do wymiotów! - wykrzyknął rozpaczliwie Vitale. - Przepuście mnie, odsuńcie się.

Wiedziałem jednak, że to na nic.

Odsunąłem się, pogrążony w rozpacz. Do czego doprowadziłem! To, co się wydarzyło, było zbyt okropne. Właśnie takiego losu pragnąłem dla Lodovica, wyobrażałem sobie, jak nabieram ziarna i zmuszam go do ich zjedzenia, ale on zrobił to sam, jakby usłuchał moich pragnień. Jak mogłem dopuścić, by uczynił coś tak potwornego? Dlaczego nie znalazłem jakiegoś sposobu, by go od tego odwieść?

Lodovico spojrział na swego ojca. Dławił się i trząsał. Wartownicy odsunęli się i tylko *signore* Antonio przytrzymał syna, gdy dopadły go konwulsje i osunął się na ziemię.

- Boże, zmiłuj się nad nim - szepnął *signore* Antonio, a ja za nim.

Boże pełen łaski, okaż ją nieśmiertelnej duszy tego człowieka. Boże wszechmogący, przebacz mu jego szaleństwo.

- Czarna magia! - powiedział umierający, z ustami pobrudzonymi śliną i błotem.

Były to jego ostatnie słowa. Klęcząc, pochylił się do przodu, z wykrzywioną twarzą, całym jego ciałem wstrząsnęły drgawki. Później Lodovico przetoczył się na bok, jego nogi się trzęsły, a twarz zastygła w grymasie, niczym u biednego zwierzęcia, które wyzionęło ducha przed nim. A ja, który w swoim oddalonym o setki lat i kilometrów życiu użyłem tej samej trucizny, by odebrać życie niezliczonym ofiarom, mogłem tylko bezradnie się przyglądać kolejnemu nieszczęśnikowi. Och, jakie to potworne, że przysłano mnie jako odpowiedź na ludzkie modlitwy, a oto doprowadziłem do czyjegoś samobójstwa.

Zapadła cisza.

- Ten człowiek był moim przyjacielem - szepnął Vitale. Kiedy starszy mężczyzna zaczął wstawać, Vitale podał mu rękę.

W bramie pojawił się Niccoló. Stał tam bez słowa w długiej, białej koszuli nocnej, z bosymi stopami, drżący, a jednak przypatrywał się swemu martwemu bratu.

- Wynoście się wszyscy - powiedział *signore* Antonio. -Zostawcie mnie samego z synem. Zostawcie mnie.

Ale starszy ksiądz zwlekał z odejściem. Był równie mocno wstrząśnięty jak reszta, lecz zebrał się w sobie i powiedział niskim, pełnym pogardy głosem:

- Ani przez moment nie zapominaj, że mamy tu do czynienia z czarną magią. I że twoi synowie zostali zatruci poprzez kontakt z tymi Żydami.

- Uciszyć się, ojczy Piero - powiedział starszy mężczyzna. -To nie była czarna magia, lecz zazdrość! Ja zaś odwracałem wzrok od tego, czego nie chciałem widzieć. A teraz zostawcie mnie wszyscy. Zostawcie mnie, bym mógł opłakać syna, którego zabrałem z ramion jego matki. Vitale, zaprowadź chorego do łóżka. Będzie teraz wracał do zdrowia.

- Ale co z demonem, czyż nie okazuje w dalszym ciągu swej wściekłości? - zapytał ksiądz. Nikt go jednak nie słuchał.

Spojrzałem na martwego mężczyznę. Nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Nie potrafiłem zebrać myśli. Wiedziałem, że wszyscy poza starcem wychodzą i że muszę uczynić to samo, a jednak nie mogłem odwrócić wzroku od tego pozbawionego życia ciała. Rozmyślałem o aniołach. Zwróciłem się ku niewidzialnemu wymiarowi, przenikającemu nasz własny,

ku istotom niewypowiedziane mądrym i współczującym, które być może otaczały teraz duszę tego martwego nieszczęśnika, lecz nie przyszedł mi do głowy żaden kojący obraz, żadne słowo. Zawiodłem. Zawiodłem tego człowieka, chociaż niewykluczone, że ocaliłem innego. Czy właśnie to miałem zrobić? Ocalić jednego brata, a drugiego unicestwić? Nie potrafiłem tego ogarnąć umysłem. Niewątpliwie ponosiłem winę za to, co się stało.

Podniosłem wzrok i ujrzałem w bramie starego Pica, przywołującego mnie niecierpliwym gestem. Wszyscy inni już wyszli.

Skłoniłem głowę, minąłem *signore* Antonia, wyszedłem z oranżerii i znalazłem się na większym dziedzińcu. Byłem oszołomiony. Zdawało mi się, że ojciec Piero też się tam znajdował, ale nie przyjrzałem się zgromadzonym na dziedzińcu ludziom. Dostrzegłem bramę otwartą na ulicę, w której majaczyły sylwetki kilku pilnujących jej strażników. Ruszyłem w stronę wyjścia i przeszedłem przez nie.

Nikt mnie nie zatrzymywał. Nikt nie zwracał na mnie uwagi.

Wkroczyłem w odrętwieniu na zatłoczony plac i przez krótką chwilę wpatrywałem się w ciemniejące, szarawe niebo. Jakże solidny i rzeczywisty zdawał się świat, do którego przeniknąłem, z jego ciasną zabudową, zatłoczonymi domami z kamienia i strzelistymi wieżami. Jakże rzeczywiste wydawały mi się mury sąsiednich pałaców, surowe barwy brązu oraz zgiełk ciżby, z jej beztroskimi rozmowami i wybuchami śmiechu.

Dokąd zmierzałem? Co zamierzałem teraz zrobić? Pragnąłem się modlić, wejść do kościoła, paść na kolana i pogra-



żyć się w modlitwie, ale jak miałbym to uczynić z żółtą łatką przy ubraniu? Jak mogłem uczynić znak krzyża, nie narażając się na zarzut, że kpię z własnej wiary?

Czułem się zagubiony i wiedziałem tylko, że coraz bardziej oddalam się od domów, do których zostałem zesłany. A kiedy pomyślałem o duszy zmarłego człowieka, zmierzającej ku nieznanemu, ogarnęła mnie rozpacz.

## ROZDZIAŁ 9

Przystanąłem. Znalazłem się w wąskiej błotnistej uliczce, w której unosił się smród spływających do rynsztoka nieczystości. Ponownie zastanowiłem się, czy nie spróbować odnaleźć kościoła, miejsca, w którym mógłbym paść na kolana i spowity cieniem modlić się o pomoc do Boga. Myśl o okrągłej żółtej łatce po lewej stronie mojej piersi powstrzymała mnie od tego.

Ludzie wymijali mnie z obydwu stron, niektórzy uprzejmie przepuszczali, inni spychali z drogi, jeszcze inni tłoczyli się przed otwartymi jadłodajniami i piekarniami. Woń pieczonego mięsa i świeżego chleba mieszała się ze smrodem.

Nagle poczułem się zbyt słaby na duchu, by iść dalej, i znalazłszy wąski skrawek muru między straganem kupca tkanin i księgarza, zsunąłem lutnię z pleców, tuląc ją w ramionach niczym niemowlę, oparłem się plecami o ścianę i spróbowałem wypatrzeć w górze wąski pasek nieba.

Zmierzch zapadał szybko. Chłód stawał się coraz przenikliwszy. W sklepach paliły się lampy. Pochodniarz przedzierał się przez ulicę. Za nim kroczyło dwóch wytwornie ubranych młodych mężczyzn.

Dotarło do mnie, że nie mam pojęcia, który to miesiąc roku i czy odpowiada on późnowiosennej pogodzie, jaką za sobą pozostawiłem. Mission Inn i moja ukochana Liona zdawali mi się odlegli niczym sen. To, że byłem kiedyś Luckym Szczwanym Lisem, płatnym zabójcą, wydawało się równie nierealne.

Po raz kolejny zmówiłem modlitwę za duszę Lodovica, lecz słowa nagle wydały mi się pozbawione sensu w obliczu mojej porażki, a później usłyszałem czyjś głos, bardzo blisko mnie, mówiący:

- Nie musisz nosić tej odznaki.

Zanim zdążyłem podnieść wzrok, poczułem, jak ktoś odrywa łątkę od aksamitu, z którego uszyto moją tunikę. Spojrzałem do góry i ujrzałem wysokiego młodzieńca, ubranego w olśniewająco piękny aksamit barwy burgunda, ciemne rajtuzy i czarne buty. Nosił miecz w bogato zdobionej klejnotami pochwie, a na ramiona zarzucił krótką tunikę uszytą z szarego aksamitu, równie znakomitego jak materiał tuniki. Mężczyzna miał długie włosy, podobnie jak ja, lecz jego sięgające ramion loki miały delikatny brązowy kolor. Twarz zdawała się niezwykle symetryczna, a usta zachwycały urodą. Miał duże, ciemnobrązowe oczy. W okrytych rękawicą palcach prawej dłoni trzymał okrągłą żółtą łątkę, którą z taką łatwością oderwał od mojego ubrania. Zgniół ją najlepiej, jak potrafił, i zatknął za pasek.

- Nie potrzebujesz jej - powiedział delikatnym, konfiden-  
cjonalnym tonem. - Jesteś sługą Vitalego, a on, wszyscy jego  
służący i rodzina są wyłączeni z obowiązku noszenia odznaki.  
Powinien był ci powiedzieć, żebyś ją zdjął.

- Ale dlaczego, jakie to ma znaczenie? - zapytałem. Uniósł  
krótką, czerwoną, aksamitną pelerynę, którą niósł  
przewieszoną przez lewe ramię, i okrył nią moje ramiona.  
Następnie przytroczył do mego boku miecz. Spojrzałem na jego  
wysadzaną klejnotami rękojeść.

- Co to wszystko ma znaczyć? - zapytałem. - Kim jesteś?

- Potrzebujesz odpoczynku i czasu, by wszystko sobie  
przemyśleć - oznajmił tym samym łagodnym, konfiden-  
cjonalnym tonem. - Moim zadaniem jest cię stąd zabrać i dać ci  
chwilę na zastanowienie.

Ujął mnie za ramię. Ponownie przewiesiłem lutnię przez plecy  
i pozwoliłem mu wyprowadzić się z uliczki.

Miasto spowijała teraz niemal całkowita ciemność. Mijaliśmy  
poходnie skwierczące w mroku, a światło z niektórych sklepów  
sączyło się do wąskiej uliczki. Niewiele mogłem dojrzeć poza  
żarem ognia.

- Kto cię do mnie przysłał? - zapytałem.

- A jak ci się wydaje? - odparł. Objął moje plecy, wsunawszy  
ramię pod lutnię, i delikatnie popychał mnie do przodu. Jego ciało  
zdawało się nienagannie czyste i wydzielało delikatną woń  
słodkich perfum.

Pozostali ludzie, których tu spotkałem, w żadnym wypadku  
nie byli brudni, ale nawet najwytworniejsi z nich sprawiali  
wrażenie lekko przykurzonych, a niektórzy wydzielali natu-

ralny zapach skóry i włosów. U tego mężczyzny nie sposób go było wyczuć.

- Ale co z Vitalem? - zadałem kolejne pytanie. - Czy powinienem go zostawiać samego w takim momencie?

- Tej nocy nic się nie wydarzy - zapewnił mnie młodzieniec, zajrzawszy mi prosto w oczy, kiedy nieznacznie pochylił się w moją stronę. - Pogrzebią Lodovica, oczywiście w niepoświęconej ziemi, ale jego ojciec odprowadzi ciało na miejsce pochówku. Mieszkańcy pałacu opłaczą zmarłego, niezależnie od tego, czy wolno obchodzić żałobę za samobójcę czy też nie.

- A co z tym duchownym, ojcem Pierem, i jego oskarżeniami? Nie wiem też, czy dybuk w dalszym ciągu okazuje swą złość.

- Pozwól mi się sobą zaopiekować - zaproponował mężczyzna głosem tak łagodnym, jakby sam był lekarzem - i ukoić dręczący cię ból. Ośmielę się zauważyć, że w takim stanie nie będziesz mógł nikomu pomóc. Potrzebujesz pokrzepienia.

Przemierzaliśmy kolejny wielki plac. U wejść do ogromnych czteropiętrowych budynków płonęły pochodnie, światła błyszczały także w rozlicznych wieżach na tle granatu nieba, usłanego gorejącym kobiercem gwiazd. Zauważyłem, że otaczający mnie ludzie byli ubrani w bardzo odświętne i kosztowne stroje, na ich palcach błyskały pierścienie lub rękawiczki w jaskrawych kolorach, a wielu z nich spieszyło dokądś, jakby na ważne spotkanie. Kobiety w sutych jedwabiach i brokatach z gracją przemykały przez zakurzone ulice, a szaroburo ubrane służące starały się dotrzymać im kroku. Mijały nas wybornie zdobione lektyki - służba ugięła się pod

ciężarem pasażerów, skrytych za zasłonami w rzucających się w oczy kolorach. Do moich uszu docierała płynąca z oddali muzyka, zagłuszana przez panujący wokół harmider. Chciałem się zatrzymać i nacieszyć oczy tym szaleńczym widowiskiem, lecz ogarnął mnie niepokój.

- Dlaczego nie przyszedł po mnie Malachiasz? - zapytałem. - Dlaczego postanowił przysłać ciebie?

Brązowowłosy mężczyzna uśmiechnął się, spojrzał na mnie z taką czułością, jakbym był dzieckiem oddanym pod jego opiekę, i rzekł:

- Nie przejmuj się Malachiaszem. Wybaczysz mi lekko prześmiewczy ton, gdy będę o nim mówił, prawda? Co bardziej potężni zawsze padają ofiarą drwin ze strony istot mniej wpływowych. - Jego oczy rozjaśniły się śmiechem. - Chodź -że, oto pałac kardynała. Od popołudnia trwa w nim bankiet.

- Cóż to za kardynał? - szepnął. - Kimże on jest?

- A czy to ważne? Oto Rzym w wieku splendoru, a ile zdołałeś z niego do tej pory uszczknąć? Ujrzałeś tylko jeżące włos na głowie zdarzenia, jakie rozegrały się w pewnym posepnym domostwie.

- Zaczekaj chwilę, ja nie...

- Chodźże, przyszedł czas nauki - powiedział. Po raz kolejny odniosłem wrażenie, że przemawia do małego dziecka. Wydawało mi się to jednocześnie kuszące i niezwykle odstręczające. - Wiem, co pragnąłeś zobaczyć przez cały ten czas - ciągnął - a tu znajdziesz rzeczy, które powinieneś ujrzeć, stanowią bowiem chlubną część tego świata.

Głos męczyzny brzmiał wspaniale, a każde słowo zdawało mu się przychodzić z łatwością. Nawet uśmiech Malachia-

sza ustępował czułością jego uśmiechowi. A przynajmniej takie odniosłem wrażenie w rozbłyskującym wokół świetle.

Pochłonął nas strumień kosztownie wystrojonych ludzi i przeszliśmy pod ogromnym, złocistym sklepieniem na okazały dziedziniec czy może raczej westybul, ciężko to było stwierdzić. Wokół nas tłoczyły się setki osób. Na skraju tego placu rosły wysokie dostojne krzewy, które udekorowano świecami, a tuż przed nami jak okiem sięgnąć ciągnęły się przykryte obrusami stoły. Niektórzy goście, w tym również towarzystwo ubrane w bogato zdobione szaty i nakrycia głowy, zdążyli się już przy nim usadowić. Ich twarze zwrócone były tam, skąd nadciągały zastępy służących z bukłakami wina, tacami pełnymi kielichów i pater, na których pyszniły się owoce.

Wysoko nad naszymi głowami wznosiły się wspaniale pomalowane drewniane łuki przystrojone kwiatami, podtrzymujące baldachim udrapowany z połyskliwej srebrzystej tkaniny. Na ścianach migotały pochodnie. Na stołach w odległości kilkudziesięciu centymetrów od siebie ustawiono ciężkie złote i srebrne świeczniki oraz złote talerze. Ludzie zasiadali na przykrytych poduszkami ławach.

Zaprowadzono mnie do odległego, prawego krańca sali, gdzie biesiadowało już kilku mężczyzn, i szybko zajęliśmy nasze miejsca. Czułem się niezręcznie z mieczem przy boku. Odłożyłem lutię bezpiecznie u swoich stóp.

Dziedziniec pękał teraz w szwach od gości.

Musiało ich tam być ponad tysiąc. Gdzie nie spojrzeć, kobiety dostarczały istnej uczyty dla oka, ze swoimi obnażonymi białymi ramionami, ledwie zakrytymi piersiami, w barw-

nych sukniach z szerokimi rękawami, sznurami pereł i klejnotów na łąbiedzich szyjach i z misternie upiętymi fryzurami. Równie interesujący jak one wydawali się ucztujący młodzieńcy o błyszczących długich włosach i w soczyście kolorowych rajtuzach. Ich bufiaste rękawy były równie ozdobne jak u kobiet, a ich stroje bardzo kolorowe. Mężczyźni pysznili się, byli bardziej odważni od kobiet, lecz powszechnie panująca na przyjęciu życzliwość zdawała się ich wszystkich jednoczyć.

Nagle pojawiła się grupa chłopców ubranych w niedbale przepasane tuniki, których zamiarem najwyraźniej było odwołanie do atmosfery antycznej Grecji lub Rzymu. Ich ramiona i nogi były obnażone, na stopach młodzieńcy mieli połączane sandały, a we włosach girlandy liści i kwiatów. Niewątpliwie mieli poróżowane policzki i być może także pomalowane na ciemno oczy. Raz po raz wybuchali śmiechem i ze swobodą wymieniali jakieś uwagi z gośćmi, napełniając ich kielichy i częstując słodyczami, jakby zajmowali się tym przez całe swoje niedługie życie. Jeden z tych młodych ganimedesów nalał wina do stojących przed nami srebrnych kielichów z dużego bukłaka, który przytrzymał z wielką wprawą.

Daleko po prawej zaczęła grać kapela. Zdawało mi się, że głosy otaczających mnie osób podniosły się, jakby podekscytowane muzyką. Melodia była prześliczna i wyszukana, brzmiała znajomo, lecz nie potrafiłem jej rozpoznać. Grano ją na lutniach i rogach. Z pewnością muzycy mieli też inne instrumenty, ale nie znałem ich nazw. Kolejny zespół po mojej lewej stronie dołączył do pierwszego, grając tę samą piosenkę. Powolne, rytmiczne dudnienie tworzyło sekwencję,



wokół której splatały się inne melodie, aż wreszcie całkowicie zagubiłem się w strukturze tej muzyki. Od dźwięku bębnow dudniło mi w uszach.

Byłem tym wszystkim zachwycony, lecz jednocześnie zaniepokojony. Oczy łzawiły mi od woni perfum i wosku świec.

- Malachiasz sobie tego życzy? - nie ustępowałem. Wyciągnąłem dłoń i dotknąłem prawego nadgarstka młodzieńca. -Chce, żebym wziął udział w biesiadzie?

- Czy sądzisz, że zezwoliłby ci na to, gdyby było inaczej? -odparł mężczyzna z miną niewiniątka. - Napij się. Spędziłeś tu niemal cały dzień i nawet nie spróbowałeś pysznego włoskiego wina. - Posłał mi kolejny uśmiech, pełen słodczy i miłości, wsuwając mi kielich w dłoń.

Miałem zamiar powiedzieć, że nie piję i nie mogę znieść nawet zapachu wina, kiedy dotarło do mnie, że nie byłaby to prawda, tylko kwestia taktyki, a wspaniały aromat trunku mnie uwodzi. Chwyciłem kielich i spróbowałem wina. Było takie, jak lubiłem: wytrawne z delikatną dymną nutą. Nigdy wcześniej nie miałem w ustach równie doskonałego wina. Upiłem kolejny łyk i po moim ciele rozpląnęło się kojące ciepło. Kimże byłem, by kwestionować anielskie życzenia? Zgromadzeni wokół goście jedli ze złotych talerzy i prowadzili swobodne pogawędki. Kiedy trzeci zespół muzyków dołączył do pozostałych dwóch, poczułem, jak coraz bardziej pogrążam się w atmosferze uczy niczym we śnie.

- Proszę, napij się jeszcze - odezwał się mój towarzysz. Skinieniem głowy wskazał na szczupłą blondynkę, która właśnie mijała nas w towarzystwie kilku starszych osób, zja-

wiskowo piękną dziewczynę o jasnych włosach ozdobionych białymi kwiatami i błyszczącymi klejnotami. - Ta młoda kobieta jest przyczyną wszystkich kłopotów - wyjaśnił. - Oto Leticia, obiekt pożądania Lodovica. Została przyrzeczona Niccoló, który prawie stracił przez nią życie. - Ton głosu młodzieńca był pełen czci, jednak zaniepokoił mnie sens jego słów i pewnie skomentowałbym to, gdyby znowu nie podsunął mi kielicha.

Wypiłem łyk wina. A później następny. Mój umysł odpłynął. Zacisnąłem powieki i ponownie je otworzyłem. Z początku widziałem tylko palące się wszędzie świece i dopiero teraz dostrzegłem pozostałe, równie zatłoczone jak nasz stoły rozciągające się pod łukowatym sklepieniem po obu stronach tego ogromnego pomieszczenia.

Jeden z chłopców napełnił mój kielich i na odchodne posłał mi serdeczny uśmiech. Zamoczyłem usta w winie. Powoli mój umysł zaczął się rozjaśniać. W którąkolwiek stronę odwracałem wzrok, widziałem kolor i ruch. Nadciągały nowe fale gości, a muzyka stawała się coraz głośniejsza i nagle rozległ się dźwięk dwóch trąbek, wywołując szaleńczy aplauz.

Z otwartej przestrzeni przed nami wyszła grupa tancerzy w zapierających dech w piersiach przebraniach antycznych bóstw i bogiń, w złocistych zbrojach i hełmach, z tarczami i włóczniami. Ich występ był niespieszny, pełen wdzięku i starannie przygotowany. Goście zaczęli żywiołowo klaskać, a gwar rozmów ponownie się wzmógł.

Mógłbym przyglądać się bez końca tym poruszającym się wolno tancerzom, gdy tak ostrożnie wykonywali kolejne ob-

roty, figury i układy. Niespodziewanie muzyka przyspieszyła, tancerze usunęli się, a ich miejsce zajął lutnista, który postawiwszy stopę na srebrnym stołeczku, jał wyśpiewywać po łacinie, głośno, lecz dostojnie, o różnych obliczach miłości. Zaczęło mi się kręcić w głowie, ale jednocześnie było mi ciepło, niezwykle wygodnie i czułem się oszołomiony wszystkim, co widziałem. Lutnista zniknął i na scenie znowu pojawili się aktorzy, niektórzy udawali konie, i wspólnie odegrali scenę bitwy, ku ogromnej uciezce i aplauzowi widowni.

Na złotym talerzu leżącym przede mną znajdowały się potrawy i rzeczywiście dotarło do mnie, że zjadłem je z dużym apetytem, kiedy zjawiała się służba, by zabrać puste naczynia i obrus, pod którym położony był kolejny, w barwach szkarłatu i złota.

Podano nam też misy wypełnione aromatyczną wodą do obmycia rąk.

Pierwsze danie zostało zabrane, co niemal umknęło mojej uwadze, a teraz zjawiała się służba z półmiskami pełnymi pieczonego drobiu i parujących warzyw. Znowu nałożyliśmy jedzenie na talerze. Nie dostarczono nam widelców, ale nie byłem tym zdziwiony. Jedliśmy palcami, pomagając sobie złoconymi nożami. Opróżniałem kolejne kielichy wina, uzupełniane przez chłopców, a moje oczy raz po raz wędrowały ku otwartej przestrzeni przede mną, na którą wwieziono wielką malowaną dekorację przedstawiającą ulice i budynki, zamieniając bruk w wyrafinowaną scenę.

Nie potrafiłem zrozumieć tematu przedstawienia. Rozpraszała mnie muzyka, a w końcu zrobiłem się zbyt senny, by śledzić nawet najpiękniejszą sztukę.

Z drzemki wyrwał mnie kolejny wybuch aplauzu. Wniesiono pieczone prosięta. Ich zapach był zniewalający, chociaż nie miałem już ochoty na jedzenie.

Nagły atak strachu przywrócił mi wszystkie zmysły. Co ja wyprawiam? Dlaczego się tu znalazłem? Miałem zamiar opłakiwać Lodovica i przeżywać żałobę po nim, a także własną porażkę, bo nie zdołałem go ocalić, a zamiast tego ucztowałem z obcymi ludźmi, zaśmiewając się razem z nimi podczas wystawnego przedstawienia, którego nawet nie rozumiałem. Chciałem coś powiedzieć, ale mężczyzna, który mnie tu przyprowadził, rozmawiał właśnie ze swoim sąsiadem, oświadczając z pełną stanowczością:

- Uczyń to. Czyń to, czego pragniesz. I tak to zrobisz, nie mam racji? Po cóż się więc zadrećzać, tym i całą resztą?

Utkwił wzrok w przestrzeni i upił łyk wina.

- Nie zdradziłeś mi swojego imienia - zauważyłem, dotykając jego rękawa.

Odwrócił się i posłał mi czuły uśmiech.

- Składa się ono ze zbyt wielu sylab - wyjaśnił - i nie jest ci do niczego potrzebne.

Poczęstowano nas mięsem. Młodzieniec odciął potężny kawałek i położył go na moim talerzu. Następnie nałożył mi wielką złotą łyżką porcję ryżu i kapusty.

- Dziękuję, nie będę już jadł - powiedziałem. - Właściwie muszę iść. Powinienem wracać.

- Och, bzdura, nie wolno ci. Za chwilę rozpoczną się tańce, dla wszystkich. A później kolejne przedstawienia. Wieczór dopiero się zaczął. Zabawa będzie trwała całą noc. - Wskazał na stoły rozstawione po prawej stronie sali. - Spójrz, oto go-

ście kardynała, którzy przyjechali z Wenecji. Staje na głowie, by im zaimponować.

- Wszystko tu jest piękne i wspaniałe - odrzekłem - ale muszę sprawdzić, co się stało z Vitalem. Myślę, że zasiedziałem się tu zbyt długo.

Do moich uszu dobiegł rozkoszny wybuch śmiechu, a kiedy się odwróciłem, ujrzałem niezrównanie piękną Leticję skłaniającą głowę ku siedzącemu obok niej mężczyźnie.

- Z pewnością nie dotarła do niej wiadomość, że Niccolò stracił brata - powiedziałem.

- Nie, oczywiście, że nie - odparł mój towarzysz. - Czy sądzisz, że rodzina upubliczni hańbiącą wieść, że ten idiota odebrał sobie życie? Właśnie go grzebią i lepiej będzie, jeśli ich zostawisz. Niech sami zatrą wszelkie ślady.

Poczułem, jak ogarnia mnie zimny gniew.

- Dlaczego mówisz o nich w ten sposób? - zapytałem. - Oni wszyscy cierpią, a ja znalazłem się tu, by im ulżyć. Jestem odpowiedzią na ich modlitwy. Twoje słowa brzmią tak, jakbyś był nieprzychylny tym ludziom i ich modlitwom!

Dotarło do mnie, że podniosłem głos. Wydało mi się to bezczelnością. Poczułem się zdezorientowany. Czy naprawdę przemawiałem do anioła?

Młodzieniec wlepił we mnie wzrok i studiowanie jego twarzy nagle całkowicie mnie pochłonęło. Jego brwi były wysoko umieszczone, ciemne i proste, a oczy ogromne i przejrzyste. Usta miękkie, pełne zastygły w uśmiechu, jakbym go bawił, ale nie odczuwałem z jego strony lekceważenia czy pogardy.

- Jesteś odpowiedzią na ich modlitwy? - zapytał łagodnie, jakby z troską. - Doprawdy? Czy rzeczywiście sądzisz,

że znalazłeś się tutaj z tego powodu? - Przemawiał do mnie z wielką łagodnością, zbyt wielką jak na ogrom tego miejsca i na to, by zostać usłyszanym poprzez tę natrętną, choć zachwycającą muzykę dobiegającą z obu końców sali. A jednak słyszałem każde jego słowo. - A gdybym powiedział ci, że niczyje modlitwy nie zostają wysłuchane, a ciebie przechytrzyły duchy z im wyłącznie znanych powodów? - Sprawiał wrażenie zatroskanego i położył ciepłą dłoń na moim lewym nadgarstku.

Byłem przerażony. Nic nie odrzekłem. Po prostu przypatrywałem się mu, gęstym falom jego miękkich, długich włosów i pełnym spokoju oczom. Nie bałem się tego młodzieńca, lecz wypowiedzianych przez niego słów. Gdyby okazały się prawdziwe, ten świat nie miałby sensu, a ja byłbym zgubiony. Uczucie to przeszło mnie na wskroś, w jednej chwili.

- Co ty mówisz? - zapytałem.

- Mówię, że cię oszukano - odparł z tą samą czułą troskliwością. - Anioły nie istnieją, Toby. Istnieją tylko duchy, odarte z ciała duchy oraz dusze tych, którzy kiedyś żyli w postaci materialnej, lecz zostali jej pozbawieni. Nie zostałeś tu przysłany, by komukolwiek pomóc. Duchy, które tobą manipulują, żywią się twoimi emocjami, karmią się nimi tak samo jak ludzie zgromadzeni w tej sali posilają się ze swoich talerzy.

Sprawiał wrażenie zdeterminowanego, chciał, bym dobrze zrozumiał jego słowa. Mógłbym przysiąc, że do oczu napłynęły mu łzy.

- To nie Malachiasz cię przysłał, prawda? Nie masz z nim nic wspólnego - powiedziałem.

- Oczywiście, że mnie nie przysłał, ale musisz zadać sobie pytanie, dlaczego nie może mnie powstrzymać od wyjawienia ci prawdy.

- Nie wierzę ci - oświadczyłem. Usiłowałem się podnieść, ale trzymał moje ramię w żelaznym uścisku.

- Nie odchodź, Toby. Nie odwracaj się od prawdy. Niewykluczone, że czas, jaki z tobą spędzę, jest krótszy, niżbym chciał. Zapewniam cię, że system wiary, w jakim tkwisz, to nic więcej jak tylko machina kłamstw.

- Nie - odparłem. - Nie wiem, kim jesteś, ale nie zamierzam tego słuchać.

- Dlaczego nie? Czego się boisz? Przybyłem tu z innych czasów, by ostrzec cię przed zabobonną wiarą w anioły, bogów i diabły. Teraz pozwól mi dotrzeć do swego serca.

- Dlaczego miałbyś to robić?

- We wszechświecie istnieje wiele pozbawionych materialnej postaci istot, takich jak ja - powiedział. - Staramy się wskazać drogę duszom takim jak twoja, zagubionym w systemach wierzeń. Usiłujemy sprowadzić was na ścieżkę prawdziwego duchowego rozwoju. Czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, Toby, że twoja dusza może od wieków tkwić w pułapce takiego systemu?

- Jak się tu dostałem? W jaki sposób cofnąłem się w czasie o pięć wieków, skoro to wszystko jest kłamstwem? - nie ustępowałem. - Puść mnie. Chcę stąd odejść.

- Cofnąłeś się w czasie o pięć wieków? - Uśmiechnął się łagodnie i nieopisanie smutno. - Toby, ty nie odbyłeś podróży w czasie, lecz przeniosłeś się do innego wymiaru, to wszystko. Wymiaru, który stworzyli dla ciebie twoi prze-

wodnicy duchowi dla własnej korzyści, bo dzięki temu mogą bez przeszkód karmić się emocjami: twoimi i otaczających cię osób.

- Zamilcz - przerwałem mu. - Cóż za upiorna wizja. Myślisz, że nie spotkałem się już wcześniej z podobnymi pomysłami?

Przestraszyłem się. Byłem zszokowany i przelęknięty. Mój umysł przeciwstawiał się każdemu usłyszanemu słowu, a jednak czułem się roztrzęsiony. W każdej chwili mogłem ulec panice.

- Terminy, którymi się posługujesz, nie są dla mnie niczym nowym - oznaajmiłem. - Chyba nie sądzisz, że nie miałem do czynienia z teoriami na temat istnienia wielu wymiarów, opowieściami o duszach wędrujących poza ciałem i spotykających na swej drodze duchy uwięzione w światach, z których pragną uciec?

- Cóż, skoro rzeczywiście o nich czytałeś, to przez wzgląd na siebie i swoją duszę porzuć te potworne stworzenia, które tobą manipulują! - powtórzył z uporem. - Uwolnij się od nich. Możesz się wydostać z tej groteskowej pułapki, tej sztucznej bańki w czasie i przestrzeni, wyłącznie siłą woli.

- Jak mam to uczynić? - zakpiłem. - Stukając obcasami i wypowiadając zaklęcie: „Nie ma to jak w domu”? Posłuchaj, nie mam pojęcia, kim jesteś, ale wiem, co próbujesz osiągnąć. Chcesz mnie zniechęcić do tego, bym powrócił do Vitalego i dokończył swoją misję. Twoja napastliwość, przyjacielu, podważa te wyssane z palca teorie bardziej, niż zdołałaby to uczynić moja logika.

Sprawiał wrażenie zdruzgotanego.



- Masz rację - przyznał, przypatrując mi się błyszczącymi oczami. - Próbuję cię powstrzymać od ograniczania własnego rozwoju i dążenia do prawdy. Czy nie zależy ci na prawdzie, Tobie? Wiesz, że wszystko, co powiedział ci ów samozwańczy anioł, jest kłamstwem. Nie istnieje żadna Najwyższa Istota, wysłuchująca czyichkolwiek modlitw. Nie istnieją skrzydlate anioły, zesłane na Ziemię, by spełniać Jej wolę. - Jego usta rozciągnęły się w szyderczym uśmiechu. Później jednak twarz młodzieńca na nowo przybrała wyraz bezgranicznego współczucia.

- Dlaczego miałbym ci wierzyć? - zapytałem. - Twój świat ziele pustką i fałszem, odrzuciłem go dawno temu. Odrzuciłem go, kiedy moje ręce były zbrukane krwią, a dusza przesiąknięta złem. Odrzuciłem go, ponieważ nie miał dla mnie sensu, tak samo jak nie ma go teraz. Dlaczego twoja religia miałaby być bardziej wiarygodna od mojej?

- Uwierz, uwierz, uwierz, proszę cię, byś odwołał się do własnego rozumu - błagał. - Posłuchaj, twoi duchowi tyrani w każdej chwili mogą tu po ciebie wrócić. Proszę cię, błagam, zaufaj moim słowom. Jesteś potężną duchową istotą, Tobie, i nie potrzebujesz ani zawistnego boga, który domaga się czci, ani jego anielskich pachołków, wysyłających cię, byś odpowiadał na modlitwy!

- A z czyjego powodu ty zadałeś sobie tyle trudu, by tutaj przybyć?

- Już ci mówiłem. Jestem jedną z wielu pozbawionych ciała istot, przysłanych, by pomóc ci w wędrówce. Tobie, twoja żalosna religia jest najniższym i najbardziej wyniszczającym rodzajem systemu wierzeń. Musisz się od niego uwolnić, jeśli chcesz się rozwijać.

- A zatem zostałeś przysłany. Przez kogo?

- Co mam uczynić, byś zrozumiał? - sprawiał wrażenie szczerze zatroskanego. - Żyłeś wiele razy, ale zawsze z tą samą duszą.

- Słyszałem to już milion razy.

- Spójrz mi w oczy, Toby. Jestem uosobieniem życia, które dawno temu przypadło ci w udziale.

- Jesteś śmieszny - powiedziałem. Jego oczy wypełniły się łzami.

- Toby, jestem człowiekiem, którym byłeś w tych czasach, nie rozumiesz? I przybyłem tu, by uświadomić ci prawdziwą naturę wszechświata. Nie ma on nic wspólnego z niebem czy piekłem. Nie istnieją bóstwa, domagające się czci. Nie istnieje dobro ani zło. To wymysły. Wpadłeś w pułapkę, która uniemożliwia ci duchowy rozwój. Staw czoła tym istotom. Przeciwwstaw się ich rozkazom.

- Nie - odparłem. Zaszła we mnie pewna zmiana. Strach zniknął, podobnie jak gniew, jaki jeszcze przed chwilą odczuwałem. Spłynął na mnie spokój i do moich uszu znowu dotarła muzyka, ta sama cudowna melodia, którą usłyszałem tuż po przybyciu. Pobrzmiwało w niej coś tak dobitnie sprawiedliwego i pięknego, nieskazitelnie czystego, że od samego słuchania mogło pęknąć serce.

Odwróciłem się i spojrzałem na zgromadzonych gości. Ludzie wirowali w tańcu, trzymając się za ręce, osoby znajdujące się w środku koła tańczyły w jedną stronę, a te na zewnątrz - w przeciwną.

Jego głos rozległ się tuż przy moim uchu.

- Zaczynasz się zastanawiać, czyż nie?

- Już się zastanowiłem nad ideami, które głosisz. Jak już wspominałem, nie są one dla mnie niczym nowym. - Odwróciłem się i spojrzałem mu w oczy. - Nie zauważam w twojej wypowiedzi niczego przekonującego. Powiedziałem ci, opisujesz własny system wierzeń. Jaki masz dowód na istnienie innych wymiarów lub na to, że Bóg nie istnieje?

-Nie muszę udowadniać, że czegoś nie ma - odparł rozdrażniony. - Odwołuję się do twojego zdrowego rozsądku. Żyłeś wiele razy, Toby, i wiele razy duchy takie jak ja przychodziły ci z pomocą. Czasami przyjmowałeś ich pomoc, a czasami nie. Raz po raz oblekasz się w ciało z planem nauczania się pewnych rzeczy, ale nie możesz uczynić postępów w nauce, dopóki nie zrozumiesz, że tak właśnie jest.

- Nie. Wszystko, co mówisz, tworzy system wierzeń, i jak w każdej religii można się w nim dopatrzeć pewnej spójności, a nawet piękna, tylko że ja odrzuciłem go dawno temu. Powiedziałem ci, że dostrzegam w nim pustkę i zdania nie zmieniłem.

- Jak możesz tak mówić?

- Naprawdę chcesz się dowiedzieć? Bardzo ci na tym zależy?

- Miłuję cię. Jestem tobą. Przybyłem tu, by pomóc ci ruszyć z miejsca.

- Wiem, ponieważ w głębi duszy mam pewność, że Bóg istnieje. Istnieje ktoś, kogo kocham i nazywam Bogiem. Ten ktoś przeżywa emocje. Ten ktoś jest miłością. A ja wyczuwam obecność tego Boga w każdej cząstce świata, w którym żyję. Jestem głęboko przekonany o tym, że ów Bóg istnieje. Myśl o tym, że wysłał On anioły do swoich dzieci, wydaje mi się na

tylę wzniosła, by w nią nie wąpić. Studiowałem twoje idee, czy też twój system, i wydał mi się on jałowy, nieprzekonujący i zimny. Przede wszystkim wieje od niego potwornym chłodem. Jest on pozbawiony Boga i lodowaty.

- Nie - zaprotestował, kręcąc głową. - Wcale taki nie jest. Zapewniat cię, że się mylisz. Stawiasz boga w centrum systemu, który nigdy nie istniał. Tylko drżemiące w tobie dziecko upiera się, że jest inaczej. To dziecko musi ustąpić miejsca mężczyźnie.

Wstałem od stołu razem ze swoją lutnią. Zatrzymałem się, odpiąłem miecz i pozwoliłem, by upadł na ziemię. Zostawiłem też pelerynę, którą mi podarował, kiedy się poznaliśmy. Nagle zaczęło mi się kręcić w głowie.

- Nie odchodź, Toby - powiedział.

Stał teraz obok mnie. Nie. Torowaliśmy sobie drogę przez tłum. Byłem oszołomiony. Ktoś próbował mi wcisnąć kielich z winem, ale go nie przyjąłem. Młodzieniec oplótł mnie ramionami i spróbował zatrzymać.

- Puść mnie, ostrzegam cię - powiedziałem. - Nie interesują mnie twoje propozycje. Nie wiem, czy jesteś zły, czy po prostu zagubiony. Wiem za to, jak powinienem postąpić. Muszę wrócić do Vitalego i pomóc mu najlepiej, jak potrafię.

- Możesz być wolny - szepnął, zbliżając twarz do mojej. -Przeciwstaw się im, przeklnij ich! - judził, a jego twarz stawała się coraz bardziej czerwona. - Zdemaskuj ich i się wyrzeknij. Nie mają prawa cię wykorzystywać. - Szept młodzieńca zamienił się w syk.

Rzucił ukradkowe spojrzenie w obie strony. Wypuścił mnie, lecz po chwili położył mocno dłonie na moich ramio-

nach, jego palce ścisnęły mnie coraz mocniej. Czułem się okropnie. Z trudem powstrzymałem się przed uderzeniem go i usunięciem ze swojej drogi.

- Czy uwierzyłbyś mi, gdybym sprawił, że to wszystko zniknie? - zapytał. - Gdybym przeniósł cię z powrotem do twojego łóżka w Mission Inn? A może powinienem raczej odstawić cię na porośniętą drzewami ulicę w Nowym Orleanie, gdzie mieszka dama twego serca?

Poczułem, jak na moje policzki wpełza rumieniec.

- Zostaw mnie - powiedziałem. - Jeśli jesteś tym, za kogo się podajesz, to wiesz, że nikomu nie stanie się krzywda, jeśli wrócę do Vitalego i udzielę pomocy człowiekowi, który rozpaczliwie jej potrzebuje.

- Do diabła z Vitalem! - warknął. - Do diabła z nim i jego brudnymi sprawkami. Nie pozwolę ci się zagubić.

Boleśnie wpijał mi palce w ciało. Tłum i dźwięki muzyki stawały się coraz głośniejsze i miałem wrażenie, że zaraz mnie ogłuszą, a światła zlały się w rodzaj wszechogarniającego błysku. Chłonałem ten moment wszystkimi zmysłami, starałem się skoncentrować na własnych myślach i poszukiwaniu wyjścia z tej sytuacji. Z odrętwienia wyrwał mnie głośny aplauz i krzyki dobiegające z tłumu. Właśnie wtedy mocno objął mnie ramieniem i zaczął wlec przez salę. Wyszarpnąłem się.

- Odejdź ode mnie, Szatanie! - szepnąłem. Uniosłem pięść i wymierzyłem mu silny cios w twarz, po którym poleciał do tyłu, jakby był stworzony wyłącznie z powietrza.

Widziałem jego błyskawicznie oddalającą się postać, znikającą jakby w ogromnym tunelu utkanym ze światła. W rze-

czy samej materia tworząca otaczający mnie świat rozdarła się, a jego ciało eksplodowało w potężnych językach oślepiającego ognia. Zamknąłem oczy. Nic nie mogłem na to poradzić. Osunąłem się na kolana. Światło było palące i przenikliwe. Moje uszy wypełnił przeraźliwy krzyk, który przeobraził się w skowyt.

Rozległ się głos:

- Wyznaj mi swoje imię!

Starąłem się coś zobaczyć, lecz światło w dalszym ciągu mnie oślepiało. Zakryłem twarz dłońmi, usiłując spojrzeć przez palce, ale jedyne, co widziałem, to ten wirujący ogień.

- Wyznaj mi swoje imię! - odezwał się raz jeszcze głos i usłyszałem odpowiedź, przypominającą syk:

- Ankanoc! Puść mnie.

Głos przemówił ponownie, z wyraźnym potępieniem, chociaż nie zdołałem usłyszeć słów. Najwyraźniej rozkazywał temu stworzeniu, Ankanocowi, by odeszło. Młodzieniec był teraz bezradny, a siła, która go odegnała, wciąż znajdowała się blisko.

Rozległ się świdrujący w uszach ryk, który stawał się coraz głośniejszy, i mimo zamkniętych oczu wiedziałem, że światło zniknęło. Ankanoc. Imię to rozbrzmiewało w moim umyśle i miałem przecucie, że zapamiętam je na zawsze. Wydawało mi się, że rozpoznałem głos, który domagał się tego imienia, i że należał on do Malachiasza, ale nie miałem pewności. Byłem potwornie roztrzęsiony.

Otworzyłem oczy.

Kłęczałem na bruku. Tłum nadal mnie otaczał, podobnie jak śmiech, głosy i przytłumiona, przejmująca muzyka. Dudniło mi w głowie, bolały mnie też ramiona.

Malachiasz klęczał tuż obok, wspierałem się na nim, choć tak naprawdę go nie widziałem. Czułem jego uspokajający dotyk. Zwrócił się do mnie bezgłośnie:

- Teraz już wiesz, jak się nazywa. Kiedy zwrócisz się do niego po imieniu, będzie musiał odpowiedzieć, niezależnie jaką postać przybierze! Zapamiętaj to, raz na zawsze. Ankanoc. A teraz zostawiam cię, byś zrobił to, co do ciebie należy.

Kłamstwa, system wierzeń, istoty, żerowanie...

- Nie zostawiaj mnie! - szepnąłem. Ale jego już nie było.

Obok mnie stał mężczyzna o sympatycznej okrągłej twarzy, ubrany w długą, powłóczystą, czerwoną szatę. Widziałem, jak wyciąga do mnie rękę, i usłyszałem jego głos:

- Pozwól, że ci pomogę, młodzieńcze. No dalej, wybiła dopiero druga w nocy, jeszcze za wcześnie, by się przewracać. - Inni także pomogli mi wstać.

Później mężczyzna poklepał mnie po ramieniu, uśmiechnął się i wszedł ze swoimi towarzyszami do sali biesiadnej. Znajdowałem się przed otwartymi drzwiami do pałacu i widziałem, że na zewnątrz pada.

Usiłowałem oczyścić swój umysł i zastanowić się nad wydarzeniami tego wieczoru.

Druga w nocy. Nie było mnie tak długo.

Jak mogłem do tego wszystkiego dopuścić i co tak naprawdę mnie spotkało? Ponownie ogarnął mnie strach, który narastał dopóty, dopóki nie byłem w stanie myśleć ani czuć. Czy Malachiasz rzeczywiście się zjawił? Czy to on odegnał demona? Ankanoc. Jedyne, co nagle potrafiłem sobie wy-

obrazić, to jego przyjemna twarz, pozornie przyjazne zachowanie, niewątpliwy urok.

Dotarło do mnie, że stoję w deszczu. Nienawidziłem tego. Nie chciałem być mokry, a tym bardziej zamoczyć lutni. Stałem w ciemności, w strugach deszczu i czułem przejmujący chłód. Zamknąłem oczy i zacząłem się modlić do Boga, w którego wierzyłem. Do Boga reprezentującego mój system wierzeń, pomyślałem gorzko, zwracając się do Niego o pomoc: Wierzę w Ciebie. Wierzę, że istniejesz, niezależnie od tego, czy wyczuwam Twoją obecność czy nie, a nawet wiem to na pewno. Wierzę we wszechświat, który stworzyłeś, zbudowałeś swoją miłością i potęgą. Wierzę, że wszystko wiesz i widzisz.

Pomyślałem cicho: wierzę w Twój świat, Twoją sprawiedliwość, Twoją logikę. Wierzę w to, co usłyszałem w muzyce ledwie kilka chwil temu. Wierzę we wszystko, czemu nie potrafię zaprzeczyć i co rozpała ogień miłości. Pozwól, by jego żar pochłonął moje serce i umysł.

Miałem niejasną świadomość tego, że dokonuję wyboru, jedyne słusznego.

Mój umysł się rozjaśnił.

Usłyszałem melodię dobiegającą z pałacu, tę samą, którą zaczęli grać muzycy na samym początku przyjęcia. Nie wiedziałem, czy komponuje ją z własnych, mglistych wspomnień, czy naprawdę dobiega ona moich uszu, tak była niewyraźna. Ale rozpoznałem tę melodię i zacząłem ją nucić pod nosem. Miałem ochotę się rozpłakać. Nie zrobiłem tego jednak. Stałem tak, dopóki nie odzyskałem spokoju i pewności siebie, a ciemność przestała mi się jawić jako mroczny całun



spowijający cały świat. Och, gdyby tylko Malachiasz tu wrócił, pomyślałem, gdyby tylko powiedział mi coś więcej. Dlaczego dopuścił do mnie demona, tego złośliwego dybuka? Dlaczego na to zezwolił? Lecz kimże byłem, by zadawać mu takie pytania? Nie ja ustaliłem reguły rządzące tym światem. Nie ja wymyśliłem zasady tej misji.

Musiałem natychmiast wrócić do Vitalego. Malachiasz dawał mi szansę ukończenia misji i właśnie to zamierzałem zrobić.

W oddali po lewej stronie dostrzegłem uliczkę, którą tu przyszedłem, więc pospieszyłem tam, a później ruszyłem długą ulicą w stronę placu przed domem Vitalego.

Biegłem z opuszczoną głową, gdy nagle, tuż przed bramą domu, pochwycił mnie Pico, zarzucając mi na głowę i ramiona opończę. Wprowadził mnie przez bramę, z dala od deszczu, i sprawnie wytarł mi twarz czystym i suchym ręcznikiem.

W żelaznym uchwycie żarzyła się samotna pochodnia, a na niewielkim stole stał prosty metalowy świecznik z trzema płonącymi świecami.

Trząsałem się od chłodu, który okazał się niewiele lżejszy niż na zewnątrz, ale przejmujące uczucie zimna zaczęło z wolna ustępować.

Oczami wyobraźni zobaczyłem twarz Ankanoca i ponownie usłyszałem jego słowa, „system wierzeń”, wypowiedziane przez niego długie zdania i wszystkie znane mi terminy, jakie wypłynęły z jego ust. Widziałem błysk pasji w jego oczach. Później usłyszałem syk, który dobył się z gardła Ankanoca, gdy wypowiadał swoje imię. Ponownie ujrzałem ogień i usłyszałem ogłuszający ryk, który mu to-

warzyszył. Oparłem się całym swym ciężarem o wilgotny kamienny mur.

Coraz wyraźniej zaczęło do mnie docierać, że nigdy niczego nie wiemy na pewno, nawet jeśli nasza wiara jest ogromna. Po prostu nie wiemy. Nasze pragnienia i katusze czasami nie mają granic. Nawet tutaj, w tym dziwnym domu w innym stuleciu, mimo wszystkich dowodów na istnienie nieba w gruncie rzeczy nie posiadam całej wiedzy, na jakiej mi zależało. Nie potrafiłem się wyzbyć strachu. Zaledwie przed chwilą przemawiał do mnie anioł, ale teraz byłem sam. A pragnienie znalezienia odpowiedzi stanowiło udrękę, ponieważ było to pragnienie, by ukrócić całe to napięcie i niedolę. One zaś tak naprawdę nigdy się nie kończą.

- Mój pan prosi, byś odszedł - oznajmił Pico z desperacją. - Oto pieniądze dla ciebie. Kazał też, bym ci podziękował.

- Nie potrzebuję pieniędzy.

Służący wyglądał na zadowolonego z takiej odpowiedzi i schował mieszek.

- Mimo to błagam cię, panie, byś nie wchodził - powiedział. - Mój pan jest teraz zamknięty w domu *signore* Antonia. Ojciec Piero zażądał, by uwięzić go do czasu przyjazdu kolejnych księży. Przetrzywiają go z powodu demona.

- Nie zostawię go - zapewnilem.

- Bogu dzięki - odparł Pico i zaczął łkać. - Bogu dzięki. - Powtarzał to bez końca. - Jeśli mój pan zostanie oskarżony o czarną magię, wyrok będzie pewny. Czeka go śmierć.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by do tego nie dopuścić! Zwróciłem się w stronę domu.

- Nie, panie, proszę, nie wchodź tam. Demon był spokojny ledwie przez kilka godzin. Jeśli pójdziemy w kierunku schodów, dowie się o tym i na nowo rozpęta się piekło.

- Zostań zatem tutaj, ale ja zamierzam porozmawiać z tym demonem - oświadczyłem. Sięgnąłem po metalowy świecznik. - Z jednym dopiero co rozmawiałem, a ten demon nie przestraszy mnie niczym nowym.

## ROZDZIAŁ 10

Kiedy tylko dotarłem do kamiennych schodów, usłyszałem dybuka. Znajdował się wysoko nade mną. Przypomniały mi się słowa Vitalego o tym, że znalazł na górze domu synagogę, a w niej święte księgi. Zacząłem się wspinać po schodach, osłaniając drżące płomienie świec, mijając drzwi gabinetu Vitalego, w kierunku najwyższego piętra domu.

Hałasy stały się coraz głośniejsze i natrętne. Nieopodal rozbiło się coś szklanego. Słyszałem kroki i stuknięcia, być może uderzających o ściany przedmiotów.

Nagle zamigotały mi w oddali błyszczące srebrne drzwi arki lub repozytorium, które bez wątpienia skrywało święte księgi Mojżesza i zostało wbudowane we wschodnią ścianę domu. Po jednej stronie stało podium, a przed nim kilka zakurzonych ławek, a dalej na prawo znajdował się wielki malowany i pozłacany parawan. Za nim ustawiono długą ławkę, w przeszłości prawdopodobnie przeznaczoną dla kobiet, któ-

re mogły tu brać udział w nabożeństwie. Ściany były obite drewnem o nasyconej barwie, ale nie tak ciemnej, bym nie zauważył na nich licznych hebrajskich napisów wymalowanych czarną farbą. Obok podium ujrzałem stół, a na nim stertę zwojów. Z sufitu zwisały wytworne srebrne żyrandole. Okna były zamknięte i zaryglowane. A mój świecznik stanowił rzecz jasna jedyne źródło światła.

Nagle ławki przede mną zadrżały, później przesunęły się, uderzając jedna o drugą, a żyrandole zaczęły pobrzękiwać swymi srebrnymi łańcuchami. Z jednej z ławek uniosła się niewielka oprawiona książka i poszybowała w moim kierunku, tak że musiałem się przed nią uchylić. Wylądowała na podłodze za moimi plecami.

- Kim jesteś? - zapytałem. - Jeśli dybukiem, żądam, byś wyznał mi swoje imię!

Wszystkie ławki poruszały się, rozbijając się o siebie, a malowany parawan przewrócił się na ziemię z wielkim hukiem. W moją stronę znowu poleciały różne przedmioty i musiałem się usunąć z wejścia, zasłaniając się instynktownie prawą dłonią. Rozległ się głuchy dźwięk, a raczej huk, podobny do tego, który usłyszałem, kiedy Ankanoc został unicestwiony, ale teraz dźwięk zdawał się dobywać z ludzkiego gardła. Był tak głośny, że musiałem zasłonić uszy.

- W imię Boga - odezwałem się - żądam, byś wyznał mi swoje imię. - Ale to tylko wprawiło tę istotę w jeszcze większą wściekłość. Jeden z żyrandoli zaczął się szaleńczo kołysać w przód i w tył, dopóki nie zerwał się z łańcuchów i nie runął na ławkę.

Skuliłem się na podłodze, jakbym stchórzył, chociaż wcale tak nie było. Obserwowałem, jak kolejny żyrandol rozbija

się o ławki, i starałem się nie mrugać oczami ani nie wzdrygać przy każdym dźwięku.

Odstawiwszy świecznik na podłogę, zastygłem w bezruchu. Gdyby to coś zdmuchnęło świecę, znalazłbym się w bardzo nieprzyjemnym położeniu, ale jak na razie nie zrobiło tego. Kiedy tak siedziałem przyczajony, nie odzywając się słowem, ponownie zaległa cisza.

Powoli sięgnąłem po lutnię i położyłem ją sobie na kolanach. Nie byłem pewien, co zamierzam zrobić, ale napiąłem struny lutni, delikatnie je szarpiąc, by nastroić instrument. Przymknąwszy powieki, zacząłem grać z pamięci melodię, którą usłyszałem w pałacu kardynała. Pomyślałem, ile ta muzyka dla mnie znaczyła, kiedy kłóciłem się z Ankanokiem. Myślałem o jej spójności, wyrafinowaniu, sposobie, w jaki przemawiała do mnie na temat świata, w którym harmonia była czymś nieskończenie rzeczywistym, a piękno osiągało Boski wymiar. Niemal zaniósłem się szlochem, kiedy tak pogrążyłem się w muzyce, ufając, że zdołam odtworzyć melodię i odegrać ją w miarę wiernie, nawet jeśli pamięć spleta mi figla i wprowadzę do niej jakieś zmiany.

Łagodnie dźwięki lutni odbijały się echem od ścian. Nabrałem odwagi, zwiększając tempo swojej gry, i powoli zamieniłem oryginalną melodię w melancholijną wariację na jej temat. Zacząłem nucić przy niższych dźwiękach, a później śpiewać pod nosem, monosylabami - na na, na na na, na - pozwalając się ponieść własnemu głosowi i palcom. Do oczu napłynęły mi łzy. Pozwoliłem im spłynąć po twarzy. Zaśpiewałem cicho psalm.

- Panie, mój zbawco, do którego wołam za dnia, a nocą się żalę, niech dotrze do Ciebie moja modlitwa - nie mogąc so-

bie przypomnieć oryginału, musiałem parafrazować. - Zbliżam się do krawędzi Szeolu. Ulżyj mi w cierpieniu.

Nie przestawałem śpiewać, wypowiadając kolejne słowa, jeśli do mnie przyszły, lub nucąc, gdy pamięć zawodziła. Rozglądając się po pogrążonym w mroku pomieszczeniu, zorientowałem się, że nie jestem w nim sam.

Nieopodal mnie, przed arką, stał drobny staruszek.

Spojrzelśmy na siebie i na jego twarzy odmalowało się wielkie zdumienie. Nietrudno się było domyślić jego przyczyny. Był zdziwiony tym, że go widzę, podobnie zresztą jak ja.

Przestałem grać. Ledwie na niego patrzyłem, pełen determinacji, by nie okazać mu strachu, który w istocie nie był zbyt silny. Odczuwałem tylko rosnące podniecenie i zaskoczenie, a także desperackie pragnienie, by znaleźć wyjście z tej sytuacji.

- Ty nie jesteś dybukiem - szepnąłem. Zdawało mi się, że nie usłyszał moich słów. Bacznie mi się przyglądał, a ja poszedłem za jego przykładem, zapamiętując każdy szczegół, tak jak nauczyłem się tego, będąc płatnym zabójcą, kiedy starałem się niczego nie przeoczyć.

Był niski, nieco zgarbiony i bardzo stary, z łysiną na czubku głowy i długimi, siwymi włosami spływającymi na ramiona. Miał śnieżnobiałe wąsy i brodę. Jego ciemny, aksamitny strój, niegdyś elegancki, był teraz niechlujny, zakurzony i gdzieś podarty. Dół opończy wykończono błękitnymi chwostami, a na sercu nosił znienawidzoną żółtą łatkę, która klasyfikowała go jako Żyda. Stał spokojnie, uparcie mi się przyglądając zza błyszczących szkieł okularów rozgorączkowanym wzrokiem.

Okulary. Nie wiedziałem, że ludzie w tamtych czasach ich używali. Ale ten mężczyzna z pewnością miał je na nosie, a płomienie moich świec raz po raz odbijały się w szklach.

Malachiaszu, obdarz mnie łaską, bym mógł do niego przemówić.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że cię widzę - powiedziałem. - Nie przychodzę tu jako wróg. Znalazłem się tu wyłącznie po to, by dowiedzieć się, dlaczego nawiedzasz ten dom. Co jest powodem twojego niepokoju? Co sprawiło, że nie chcesz podążyć w stronę światła?

Przez chwilę stał bez ruchu i nic nie mówił, pogrążony w rozmyślaniach. Później ruszył w moim kierunku. Bałem się, że serce przestanie mi bić. Mężczyzna spokojnie szedł w moją stronę, dopóki nie znalazł się tuż przede mną. Wstrzymałem oddech. Kiedy tak mi się przyglądał spod siwych brwi, wydawał się realny, ludzki, stworzony z krwi i kości. Nie pocieszało mnie, że w tej rzeczywistości sam byłem duchem i że obaj w równej mierze stanowiliśmy rodzaj cudu. Bałem się, ale za wszelką cenę starałem się to ukryć.

Minął mnie i wyszedł na korytarz.

Błyskawicznie chwyciłem świecznik i zapomniawszy o lutni, odwróciłem się i ruszyłem za nim. Mężczyzna poszedł w kierunku klatki schodowej, a później szybko i bezgłośnie zaczął schodzić w dół.

A ja za nim.

Nie obejrzał się ani razu. Zgarbiony i drobny, poruszał się bardzo szybko, tak jak być może potrafią wszystkie duchy, dopóki nie znalazł się pod zaryglowanymi drzwiami do piwnicy. Przeniknął przez nie, a ja pospiesznie zdjąłem rygiel, by



pójść za nim. Dostrzegłem go dopiero u podnóża schodów, więc przyspieszyłem kroku. Płomień świec oświetlił znajdujące się w piwnicy rupiecie. Na podłodze wały się połamane krzesła i stoły, ściany zaś przykrywały zakurzone beczki na wino. Na nich poupychano związane liną stare meble. Niektóre były połamane, a ich zawartość rozsypana po podłodze. Znajdowały się tam też stosy z setek pokrytych pleśnią książek o zniszczonych grzbietach i podartych kartkach. Na ziemi leżały przewrócone lampy i świeczniki oraz rozrzucone gdzie popadnie kosze i stare ubrania, podarte na strzępy.

Skurczony staruszek stał teraz na środku piwnicy, przypatrując mi się.

- Co takiego chciałeś mi pokazać? - zapytałem. Miałem ochotę uczynić znak krzyża, lecz potraktowałby to jako afront. - W imię Boże, co mogę dla ciebie zrobić?

Wtedy wpadł w furję.

Zaczął na mnie wrzeszczeć i ryczeć, raz po raz uderzając stopami w podłogę i wlepiając w nią wzrok, a później zaczął sięgać po drobne przedmioty rozrzucone wokół niego. Chwycił butelkę i rozbił ją o kamienie. Rzucił na nie książki. Wyrywał pergaminowe karty i bezskutecznie próbował nimi ciskać o podłogę, wściekając się, gdy unosiły się w powietrzu, wirując wokół niego. Tupał i pokazywał palcem podłogę, wyjąc niczym dzika bestia.

- Przestań, proszę! Zaklinam cię! - krzyknąłem. - Nie jesteś dybukiem. Wiem o tym. Słyszę twój płacz. Otwórz przede mną serce.

Nie potrafiłem jednak stwierdzić, czy zdołał usłyszeć moje słowa przez własne wrzaski.

Później zaczął rzucać przedmiotami we mnie. Nogi od krzesel, skorupy zastawy stołowej, potłuczone butelki - rzucał wszystkim, co tylko nawinęło mu się pod rękę.

Miałem wrażenie, że cała piwnica trzęsie się w posadach. Szczepione z sobą meble spadały z beczek, jak podczas trzęsienia ziemi. Butelka wina mocno uderzyła mnie w głowę i czułem, jak po moim ramieniu sączy się kwaśny płyn. Zrobiłem chwiejny krok w tył, oszołomiony, lecz nie wypuściłem z rąk świecznika, jakby od niego zależało moje życie.

Odczuwałem pokusę, by potępić i zganić staruszka za to zachowanie, odwołując się do jego poczucia wdzięczności -w końcu zjawiłem się tu dla niego, lecz natychmiast dotarło do mnie, jaki byłem chępliwym i zarozumiałym, a mój pomysł - głupi. Ten człowiek był pogrążony w rozpacz. Cóż go obchodziły moje intencje? Skłoniłem głowę i zacząłem się cicho modlić. Panie, nie pozwól, bym znowu zawiódł. Wystarczy, że Lodovico przypłacił mój błąd życiem. Po raz kolejny zdecydowałem się wyśpiewać na wpół zapomniane wersy psalmu, a kiedy tak nuciłem te antyczne, błagalne słowa, duch stopniowo się uspokajał. W dalszym ciągu wskazywał palcem na podłogę. Tak, niewątpliwie to właśnie robił.

Nagle usłyszałem głos Pica, stojącego w wejściu do piwnicy, u szczytu schodów.

- Panie, na miłość boską, uciekaj! - zawołał. Nie, nie teraz, pomyślałem z desperacją. Duch zniknął.

Nagle wszystkie ruchome przedmioty zaczęły wirować w powietrzu. Płomień świec zgasł.

Pogrążony w całkowitej ciemności, wypuściłem z rąk świecznik, odwróciłem się i pobiegłem w stronę mdłego światła dochodzącego znad schodów. Miałem pewność, że czuję dotyk dłoni usiłujących mnie schwytać, palców wplątujących mi się we włosy i czyjś oddech na twarzy.

Ogarnięty paniką biegłem tak długo, aż wreszcie zdołałem chwycić Pica, wypchnąć go z przejścia i zatrzasnąć drzwi piwnicy. Opuściłem rygiel.

Odwróciłem się, ciężko dysząc.

- Panie, masz na twarzy krew - wykrzyknął Pico.

Zza drzwi dobiegło żalosne wycie, a później potężny rumor, jakby toczono po kamiennej podłodze wielką beczkę wina.

- Mniejsza o krew - powiedziałem. - Zabierz mnie do *si-gnore* Antonia. Muszę z nim porozmawiać.

Ruszyłem w kierunku wyjścia.

- O tej porze? - zaprotestował Pico, ale mnie to nie powstrzymało.

- On wie, kim jest ten duch. Musi to wiedzieć - wyjaśniłem. Usiłowałem sobie przypomnieć wszystko, co mi do tej pory powiedziano. Przed dwudziestu laty w tym domu mieszkał hebrajski uczony. To on urządził na najwyższym piętrze synagogę. Czy *signore* Antonio nigdy nie domyślił się, że właśnie ten człowiek może być duchem?

Łomotaliśmy do drzwi *signore* Antonia dopóty, dopóki nie pojawił się nocny strażnik i widząc, kto przyszedł, na wpół przytomnie wpuścił nas do środka.

- Muszę się niezwłocznie zobaczyć z twoim panem - powiedziałem do staruszka, ale on tylko pokręcił głową, jakby był głuchy. Zdumiewające, jak wielu starszych i niesprawnych

służących mieścił ten dom. To Pico chwycił świecę i zaprowadził nas schodami w górę.

Sypialnia *signore* Antonia pełna była zapalonych lamp. Drzwi stały szeroko otwarte i dobrze go widziałem, klęczącego w długiej wełnianej szacie na gołej podłodze w nogach łóżka. Na jego niczym nieosłoniętej głowie perlił się pot, a wysunięte na boki ramiona układały się na kształt krzyża. Z pewnością modlił się za swojego syna.

Kiedy stanąłem w drzwiach, drgnął, a później wbił we mnie wzrok pełen tłumionej wściekłości.

- Po coś tu przyszedł? - zapytał. - Myślałem, że uciekłeś, ratując własną skórę.

- Widziałem ducha, który nawiedza ten drugi dom - powiedziałem. - Widziałem go wyraźnie i z pewnością wiesz, kim on jest.

Wszedłem do pokoju i wyciągnąłem ręce w stronę *signore* Antonia, by łatwiej mu było wstać. Przyjął moją pomoc, ze względu na swój podeszły wiek, a później wyprostował się, odwrócił i podszedł do jednego z wielu masywnych, bogato zdobionych krzesel. Rozsiadł się na poduszkach i pocierając przez chwilę nos, jakby doskwierał mu ból, spojrzał na mnie.

- Nie wierzę w duchy! - oświadczył. - Dybuki, owszem, demony też, ale nie duchy.

- Zastanów się. To duch drobnego starca. Nosi czarną akksamitną tunikę, długą jak u uczonego, ale u dołu opończy ma błękitne frędzle. Do jego tuniki przszyty jest żółty symbol wstydu. Patrzy na świat przez okulary. - Uczyniłem odpowiedni gest, kreśląc przed oczami kółka. - Ma łysą na czubku głowę, długie siwe włosy i brodę.

*Signore* Antonio milczał.

- Czy to hebrajski uczony, który mieszkał w tym domu przed dwudziestu laty? - zapytałem. - Czy wiesz, jak się nazywa?

Nie odpowiedział, ale był pod wielkim wrażeniem mojego opisu. Odwrócił wzrok, oniemiały i wyraźnie zasmucony.

- Na miłość boską, człowieku, powiedz mi, czy znasz jego imię - poprosiłem. - Vitale jest uwięziony pod twoim dachem. Zostanie osądzony przez inkwizycję za to, że ma...

- Tak, tak. Próbowałem do tego nie dopuścić - wykrzyknął *signore* Antonio, podnosząc do góry dłoń. Zacerpnął głęboko powietrza i po chwili milczenia poddał się, z ciężkim westchnieniem. - Tak, wiem, kim jest ten duch.

- Czy wiesz dlaczego nawiedza dom? Wiesz, czego chce? Pokręcił głową. Najwyraźniej cała ta sytuacja była dla niego potwornie bolesna.

- Piwnica, jaki jest związek z piwnicą? Zaprowadził mnie tam. Wskazywał na kamienną podłogę.

*Signore* Antonio wydał z siebie przeciągły, rozdzierający jęk. Przyłożył dłonie do twarzy, a później spojrzał przed siebie, ponad palcami.

- Naprawdę to widziałeś? - szepnął.

- Owszem, widziałem. Ten duch wścieka się, jęczy, krzyczy z bólu. I wskazuje na podłogę.

- O nie, nie mów ani słowa więcej - odezwał się błagalnym tonem. - Dlaczego nie byłem dostatecznie mądry, by uwierzyć, że to możliwe? - Odwrócił się ode mnie, jakby nie mógł znieść niczyich badawczych spojrzeń, i pochylił głowę.

- Jak mógłbyś nikomu o tym nie powiedzieć? - zapytałem. - Jak mógłbyś zataić, że to, co dzieje się w tamtym domu, nie ma nic wspólnego z Vitalem, biednym Lodovikiem czy Niccoló? *Signore Antonio*, musisz mi powiedzieć wszystko, co wiesz.

- Pociągnij za sznur dzwonu - poprosił. Zrobiłem to.

Kiedy zjawił się służący, kolejne wspomnienie ludzkiej istoty, *signore Antonio* kazał mu zaprowadzić wszystkich o świcie do pobliskiego domu, w którym pieklił się duch. Podkreślił, że obecność ojca Piera, Niccoló i Vitalego będzie konieczna. Wszyscy mieli się zebrać przy stole w jadalni, który należy odkurzyć i wyposażyć w lampy i krzesła. Powinny się na nim znaleźć chleb, owoce i wino, jako że miał do opowiedzenia pewną historię.

Pożegnałem się.

Pico, który czaił się w korytarzu, zabrał mnie pod drzwi Vitalego. Kiedy zawołałem go po imieniu, odpowiedział mi cichym, przygnębionym szeptem. Powiedziałem mu, żeby się nie bał. Widziałem ducha, a jego zagadka wkrótce miała zostać rozwiązana.

Później pozwoliłem się zaprowadzić do niewielkiej sypialni, której ściany pokrywały malowidła, i mimo zżerającej mnie ciekawości położyłem się na łóżku i zasnąłem.

Obudziłem się, kiedy tylko zaczęło świtać. Śniłem o Ankanocu. Siedzieliśmy we dwóch w jakimś przyjemnym miejscu, a on powiedział, z tym swoim pozornym urokiem: „A nie mówiłem? Miliony dusz zagubiły się w systemach cierpienia, żalu i bezsensownego przywiązania. Nie istnieje sprawiedli-

wość, łaska ani Bóg. Nikt nie jest świadkiem naszej udręki poza nami samymi". Duchy cię wykorzystują, żerują na twoich emocjach, nie ma boga, nie ma szatana...

W ciszy spowijającej tę ciasną sypialnię udzieliłem odpowiedzi jemu, a może raczej sobie.

- Istnieje łaska - szepnąłem. - Podobnie jak sprawiedliwość i Ten, który jest świadkiem wszystkiego. A nade wszystko istnieje miłość.

## ROZDZIAŁ 11

Rodzina siedziała już w jadalni nieszczęsnego domu, kiedy tam dotarłem. Duch pieklił się w piwnicy i raz po raz słychać było jego rozdzierające wycie.

Od razu spostrzegłem czterech uzbrojonych strażników obok *signore* Antonia, krążącego wokół swojego ustawionego u szczytu stołu krzesła. Wyglądał na wypoczętego, zdeterminowanego i poważnego, w czarnej aksamitnej szacie, ze spuszczoną głową i dłońmi złożonymi jak do modlitwy.

Wygląd Niccoló zdumiewająco się poprawił. Po raz pierwszy widziałem go w zwykłym ubraniu, o ile stroje w tych czasach w ogóle można było nazwać zwykłymi. Był przyodziany w czerń, podobnie jak Vitale, który siedział obok, i spoglądał na mnie nieśmiałym wzrokiem.

Ojciec Piero siedział naprzeciw *signore* Antonia, a po jego prawej dostrzegłem jeszcze dwóch duchownych i jakiegoś człowieka otoczonego stertą papierów, z kałamarzem i gęsim



piórem, który rzecz jasna wyglądał na urzędnika. Na bogato rzeźbionym kredensie rozłożono nieprzebrane ilości jedzenia, zaś pod ścianami przycupnęła gromada przerażonych służących, był wśród nich także Pico.

- Usiądź - odezwał się *signore* Antonio, wskazując mi miejsce po swojej prawej stronie. Usłuchałem jego polecenia.

- Powiadam raz jeszcze, że jestem temu przeciwny! - rzekł ojciec Piero. - Obcowaniu z duchami, czy jak to inaczej nazwać! Ten dom musi zostać bezzwłocznie poddany egzorcyzmom. Jestem gotów je odprawić.

- Dość tego - uciął *signore* Antonio. - Wiem już, kto nawiedza ten dom, i powiem wam, kim jest ten człowiek i dlaczego nie chce stąd odejść. Zaklinam was, by ani jedno moje słowo nie wydostało się poza tę komnatę.

Księża niechętnie się zgodzili, choć nie wyglądali na osoby, które czują się związane przysięgą. Pewnie i tak nie będzie to miało znaczenia.

Hałasy z piwnicy nie ustawały i znów byłem przekonany, że duch toczy ciężkie beczki z winem po podłodze.

Na znak *signore* Antonia strażnicy zamknęli drzwi jadalni, a gdy zapadła cisza, *signore* Antonio rozpoczął swoją opowieść.

\*

- Pozwólcie, że zacznę od wydarzeń sprzed wielu lat, kiedy jeszcze byłem młodym studentem we Florencji, miło spędzałem czas na dworze Medyceuszy i wcale nie byłem zadowolony, gdy do miasta przybył srogi Savonarola. Czy wiecie, kto to?

- Powiedz nam, ojciec - poprosił Niccoló. - Słyszeliśmy jego nazwisko przez całe nasze życie, ale tak naprawdę nie wiemy, co się wtedy wydarzyło.

- Miałem we Florencji wielu żydowskich przyjaciół, tak samo jak teraz, i to uczonych przyjaciół, a szczególnie jednego bardzo surowego nauczyciela. Pomagał mi tłumaczyć medyczne teksty z arabskiego, który to język, jako znakomity wykładowca hebrajskiego, znał doskonale. Darzyłem tego człowieka wielkim szacunkiem, tak jak wy, chłopcy, szanowaliście swoich nauczycieli hebrajskiego w Padwie i Montpellier. Na imię miał Giovanni i byłem jego wielkim dłużnikiem z powodu pracy, jaką dla mnie wykonał, i czasami czułem, że nie płacę mu dostatecznie dużo, ponieważ za każdym razem gdy wręczał mi pięknie przygotowany manuskrypt, niezwłocznie zanosłem go do drukarni i książka krążyła wśród wszystkich moich przyjaciół, by mogli nią cieszyć oko. Powiedziałbym nawet, że tłumaczenia i przypiski Giovanniego, które wykonał na moje zlecenie, krążyły po całych Włoszech, ponieważ większość czasu spędzał na pracy, nie popełniając przy tym ani jednego błędu. Giovanni, który był moim dobrym przyjacielem i kompanem do kieliszka, korzystał z mojej pomocy, kiedy zjawiali się zakonnicy i głosili kazania podburzające ludność przeciwko Żydom. Tak samo jego ukochany i jedyny syn Lionello, którego uważałem za najlepszego przyjaciela i kompana, jakiego miałem. Kochałem Lionella i jego ojca całym sercem.

Jak wam dobrze wiadomo, Wielki Tydzień w naszych miastach co roku wygląda tak samo. Od Wielkiego Czwartku aż do Niedzieli Wielkanocnej Żydzi nie mają wstępu do naszych

domów, a to głównie przez wzgląd na ich własne bezpieczeństwo. Kiedy zaś w kościołach odprawia się msze, podczas których Żydzi piętnowani są jako sprawcy Chrystusowej męki, młodzi chuligani wychodzą na ulice i rzucają kamieniami w każdy napotkany żydowski dom. Żydzi chronią się przed atakiem, nie wychodząc ze swoich domostw, i rzadko zdarza się, żeby szkody były poważniejsze niż jedno czy dwa wybite okna. Po Niedzieli Wielkanocnej tłum uspokaja się, ludzie wracają do swoich spraw, Żydzi wychodzą z domów, wstawiają szyby i zapominają o wszystkim.

- Wszyscy o tym wiemy, podobnie jak o tym, że Żydzi zasługują na takie traktowanie - wtrącił ojciec Piero - bo zaprawdę są mordercami naszego umiłowanego Pana.

- Och, darujmy sobie te zarzuty - odparł *signore* Antonio. - Vitale cieszy się niewątpliwym szacunkiem papieskich doktorów, a wielu członków jego rodziny zatrudnionych jest przez bogatych rzymian, którzy są z nich bardzo zadowoleni.

- Czy mógłbyś nam wyjaśnić, co ma wspólnego Wielki Tydzień z piekłącym się duchem? - odparował ojciec Piero. - Czy to jakiś martwy Żyd, który wyobraża sobie, że został niesłusznie oskarżony o morderstwo Chrystusa?

*Signore* Antonio rzucił księdzu pogardliwe spojrzenie. Nagle z piwnicy dobiegł huk tak potężny, jakiego jeszcze nigdy nie słyszeli.

Twarz *signore* Antonia przybrała grobowy wyraz. Patrzył na ojca Piera tak, jakby nim gardził, ale nie od razu odpowiedział na jego pytanie. Ojciec Piero był wstrząśnięty i rozwścieczony tym hałasem, podobnie jak reszta towarzyszących mu księży. Prawdę mówiąc, wszyscy byli wstrząśnięci,

nawet ja. Vitale wzdrygał się przy każdym dobiegającym z piwnicy dźwięku. Drzwi w całym domu zaczęły trzaskać, jakby panował w nim silny przeciąg. Przekrzykując te hałasy, *signore* Antonio kontynuował swoją opowieść:

- Straszna rzecz przydarzyła się mojemu przyjacielowi Giovanniemu we Florencji - powiedział. - Ma ona też związek z Lionellem, którego tak mocno kochałem. - Zbladł i odwrócił na chwilę wzrok, jakby nie mógł znieść wspomnień, o których właśnie miał nam opowiedzieć. - Dopiero jako ojciec, który właśnie stracił syna, zaczynam rozumieć, co to oznaczało dla Giovanniego - rzekł. - W tamtym czasie za bardzo koncentrowałem się na własnym cierpieniu. Jednak to, co spotkało jedyne go syna Giovanniego, było bardziej potworne niż to, czego doświadczył pod moim dachem Lodovico.

Przełknął ślinę, a później kontynuował zdławionym głosem.

- Musicie pamiętać, że były to czasy niepodobne do tych, którymi możemy się teraz cieszyć w Rzymie - powiedział - gdy Ojciec Święty pilnuje, by zakonnicy nie podburzali ludzi przeciwko Żydom.

- Nigdy nie było to intencją zakonników - wtrącił ojciec Piero głosem tak cierpliwym i łagodnym, na jaki tylko potrafił się zdobyć. - Ich nauki w Wielkim Tygodniu mają tylko przypomnieć nam wszystkim o naszych grzechach. Wszyscy jesteśmy oprawcami naszego umiłowanego Pana. Wszyscy ponosimy odpowiedzialność za Jego śmierć na krzyżu. Zresztą jak już wcześniej powiedziałaś, całe to rzucanie kamieniami w żydowskie domostwa nie jest niczym więcej jak tylko przedstawieniem, po którym wszyscy wracają do normalnej koegzystencji w ciągu ledwie kilku dni.

- Wysłuchajcie mnie. W ostatnim roku, kiedy mieszkałem we Florencji, przyjemnie spędzając czas z moimi przyjaciółmi na dworze Wawrzyńca Wspaniałego, podczas Wielkiego Tygodnia wysunięto straszne oskarżenie przeciwko umiłowanemu synowi Giovanniego Lionellowi. Zarzut ten nie mógł w sobie zawierać nawet ziarenka prawdy. Savonarola rozpoczął swoje nauki, nalegał, by ludność oczyściła się z grzechu. Zalecał spalenie wszystkich przedmiotów mających związek z życiem w rozpuście. Pojawiła się grupa młodych mężczyzn, banda osiłków, którzy postanowili narzucić innym jego wolę. Zawsze tak było z zakonnikami. Mieli tak zwanych pomocników.

- Nikt tego nie pochwała - wtrącił ojciec Piero.

- Jednak stworzyli zgromadzenie - odparł *signore* Antonio. - Ich banda przedstawiła wyssane z palca zarzuty wobec Lionella, oskarżając go o publiczne sprofanowanie wizerunków Najświętszej Dziewicy, i to w trzech różnych miejscach. Tak jakby któryś z Żydów ośmielił się uczynić coś tak szalonego chociaż raz. Postawiono mu więc potrójny zarzut i na wyraźne żądanie zakonników zasądono młodemu człowiekowi potrójną karę. Zapamiętajcie sobie dobrze moje słowa: ten młody człowiek był niewinny. Znałem Lionella! Kochałem go, o czym już wcześniej wspominałem. Co skłoniłoby człowieka o wielkim wykształceniu i kulturze, miłującego poezję i muzykę, do publicznego wykpiwania Madonny, na dodatek w trzech różnych miejscach? Aby pojąć, jakie to niedorzeczne, spróbujcie sobie wyobrazić, że ktoś dopuszcza się bluźnierstwa w jednym miejscu. Czy pozwolono by mu popełnić to samo przestępstwo w dwóch kolejnych? Tylko że

w tamtych czasach Florencja ogarnięta była szaleństwem. Savonarola rósł w siłę. Władza wymykała się Medyceuszom z rąk. Zatem wydano wyrok na nieszczęsnego Lionella, którego znałem, rozumiecie, znałem i kochałem, podobnie jak Giovanniego, mojego nauczyciela, znałem i kochałem tak jak przyjaciela mojego syna Vitalego, który siedzi tu z nami.

Zamilkł, jakby nie miał ochoty ciągnąć tej opowieści. Nikt się nie odezwał. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że duch ucichł. Nie wydawał z siebie ani jednego dźwięku. Nie wiedziałem, czy inni także to zauważyli, ponieważ wszyscy patrzyliśmy na *signore* Antonia.

- Jak brzmiał wyrok? - zapytał ojciec Piero.

W domu nadal panowała cisza. Nie było słycać stukotu, przesuwania ani tłuczenia przedmiotów.

- Wyrok głosił - przemówił *signore* Antonio - że Lionello najpierw zostanie zabrany do szpitala Santa Maria Nuova, w San Nofri, przed wizerunek Madonny, który podobno zbezczeszczył, i tam obetną mu dłoń, co zresztą uczyniono.

Wyraz twarzy Vitalego nie zmienił się, lecz jego usta zbieleły. Niccoló zamarł z przerażenia.

- Stamtąd - ciągnął *signore* Antonio - młody człowiek został zawleczony przez tłum przed malowaną Pietę w kościele Świętej Marii w Campo, gdzie odrąbano mu drugą dłoń. Następnie ludzie mieli go zaciągnąć na trzecie miejsce domniemanej zbrodni, przed obraz Madonny w kościele Orsanmichele, i tam wyłupić mu oczy. Ale rozwścieczona gawiedź, około dwóch tysięcy osób, nie chciała czekać z tym ostatnim, odrażającym czynem wobec nieszczęsnego młodzieńca, lecz wyrwała go towarzyszącym mu ludziom i okaleczyła na miejscu.

Obaj księża siedzieli ze spuszczoneym wzrokiem. Ojciec Piero potrząsnął głową.

- Panie, miej miłosierdzie nad jego duszą - powiedział.  
-Florencka gawiedź jest jeszcze gorsza od rzymskiej.

- Doprawdy? - zapytał *signore* Antonio. - Młody człowiek, z kikutami zamiast dłoni i z wyłupionymi oczami, jeszcze przez kilka dni walczył o życie. I to w moim domu!

Niccoló także spuścił wzrok i pokręcił głową.

- Klęczałem przy nim, razem z jego pogrążonym w rozpacz ojcem - powiedział *signore* Antonio. - A kiedy wreszcie złożono do grobu tego pięknego młodego człowieka, który kiedyś był Lionellem, jałem namawiać Giovanniego, by pojechał ze mną do Rzymu. Wydawało się, że nikt nie powstrzyma Sa-vonaroli, a Żydzi wkrótce zostaną wypłenieni z Florencji. Tutaj miałem ogromny majątek i znajomości na dworze papieża, który nigdy nie pozwoliłby na podobne barbarzyństwo w Świętym Mieście, a przynajmniej taką mieliśmy nadzieję i o to się modliliśmy. Tak więc mój mistrz Giovanni, wstrząśnięty i przerażony, ledwie zdolny mówić, myśleć czy wypić łyk wody, przyjechał tu ze mną w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia.

- Czy to właśnie jemu oddałeś ten dom? - zapytał ojciec Piero.

- Owszem, przekazałem temu człowiekowi swoje biblioteczne zbiory, gabinet do pracy, otoczyłem go zbytkownymi przedmiotami z nadzieją, że zdołam ukoić jego cierpienie. Obiecałem studentów, którzy zaczną do niego przychodzić po mądrość, kiedy tylko jego dusza zostanie uleczone. Starsi z żydowskiej wspólnoty przyszli, by urządzić na najwyższym piętrze domu synagogę, gdzie modlili się wraz z Giovannim, zbyt

przybitym, żeby wyjść z domu. Tylko jak uleczyć duszę ojca, który na własne oczy widział barbarzyństwa, jakie spotkały jego syna?

*Signore* Antonio spojrział na księży, później na Vitalego i na mnie, aż wreszcie przeniósł wzrok na swojego syna Niccoló.

- Pamiętajcie też o ranie, którą nosiłem we własnej duszy - szepnął - bo sam darzyłem młodego Lionella ogromną miłością. Był moim przyjacielem od serca, Niccoló, takim samym jak Vitale dla ciebie. Moim korepetytorem, gdy nauczyciel tracił do mnie cierpliwość. To z nim wypisywałem wiersze na tawernianym stole. Lionello grał na lutni tak jak ty, Toby, a ja widziałem, jak jego dłonie odrąbano i rzucono psom, niczym odpadki, ciało zaś rozerwano niemal na strzępy, zanim wreszcie wyłupiono mu oczy.

- Lepiej, że umarł, biedak - odezwał się ojciec Piero. - Niech Bóg wybaczy ludziom, którzy mu to zrobili.

- Tak, niech Bóg im wybaczy. Nie wiem, czy Giovanni potrafiłby im wybaczyć, ani czy ja bym potrafił. Giovanni żył w tym domu niczym duch. Ale nie taki, który ciska butelkami o ściany, trzaska drzwiami, rzuca kałamarzami w powietrze czy rozbija przedmioty o podłogę piwnicy. Żył, jakby dusza z niego uleciała. Jakby nic mu nie zostało, podczas gdy ja dniem i nocą rozprawiałem o lepszych czasach, lepszych rzeczach, jego powtórny ożenku, jako że stracił żonę przed bardzo wieloma laty, a może nawet o kolejnym synu.

Przerwał opowieść i pokręcił głową.

- Być może nie powinienem mu tego sugerować. Niewykluczone, że sprawiałem mu tymi słowami większy ból, niż mogłem przypuszczać. Wiem tylko, że nie dzielił się z nikim



swoimi cennymi opracowaniami i księgami, jego noga nigdy nie postąpiła w bibliotece, a on sam nigdy nie czuł się tutaj jak w domu. W końcu porzuciłem myśl o tym, że Giovanni zacznie się cieszyć życiem i tym domem, jako jego prawowity lokator, i wróciłem do swoich spraw, odwiedzając go tak często, jak tylko mogłem. Odnajdowałem go wtedy zazwyczaj w piwnicy, niechętnie wchodził na górę, dopóki nie upewnił się, że przyszedłem sam. Służący powiedzieli mi, że schował w piwnicy swój skarb i niektóre spośród swoich najcenniejszych ksiąg.

Giovanni był doszczętnie wyniszczonym człowiekiem. Nie miał już w sobie duszy uczzonego. Przeszłość była dla niego zbyt bolesna. Teraźniejszość nie istniała.

Później jak co roku nastąpił Wielki Tydzień i mieszkający w tym mieście Żydzi jak zwykle pozamykali drzwi i zostali w domach, jak wymaga tego od nich prawo. Zaś okoliczni chuligani, nisko urodzeni i głupi, swym zwyczajem wysłuchali żarliwych wielkopostnych kazań, chwycili kamienie i jęli nimi ciskać w domostwa Żydów i przeklinać ich za zabicie naszego Pana Jezusa Chrystusa.

Nie zaprzątałem sobie tym głowy, ponieważ Giovanni mieszkał w jednym z moich domów i nie spodziewałem się, że mogłaby go spotkać najmniejsza krzywda, ale w Wielki Piątek zostałem pilnie wezwany przez swoich służących. Gawiedź zaatakowała dom, a Giovanni wyszedł do niej, łkając, zawodząc ze złości, i jął ciskać kamieniami w ludzi, tak jak oni w niego.

Moi strażnicy starali się położyć temu kres. Wciągnąłem Giovanniego do środka. Lecz jego desperackie poczynania dały początek zamieszkom. Setki ludzi waliły w drzwi i okna, grożąc, że rozniosą dom w drzazgi. Istnieje w nim wiele kry-

jówek - za obitymi drewnem ścianami, pod schodami - których można szukać przez długie lata, ale najbezpieczniejszym miejscem jest piwnica, a konkretnie skrytka pod kamieniami pośrodku podłogi.

Użyłem całej swojej siły, by zaciągnąć tam Giovanniego. Musisz się ukryć - powiedziałem do niego - dopóki nie pozbędę się stąd tego tłumu.

Był ranny i mocno krwawił, szczególnie z ran na głowie i twarzy. Nie sędzę, by mnie rozumiał. Podniosłem fałszywe kamienie brukowe, pod którymi znajdował się podziemny schowek, i zmusiłem go, brutalnie i z desperacją, by tam wszedł i pozostał do czasu, aż niebezpieczeństwo zostanie zażegnane. Raczej nie rozumiał, co się dzieje. Walczył ze mną jak oszalały. W końcu wymierzyłem mu cios, który go uciszył. Niczym dziecko położył się na boku i podciągnawszy kolana pod brodę, zakrył dłonią twarz.

Wtedy właśnie dostrzegłem w kryjówce jego skarb i księgi i pomyślałem: dobrze, że schował te przedmioty, bo tłuszcza lada chwila wedrze się do domu.

Giovanni trzął się i jęczał, kiedy odkładałem kamienie na swoje miejsce.

Tłum wybijał okna i raz po raz walił do drzwi.

Wreszcie, otoczony służącymi i uzbrojony w co tylko się dało, otworzyłem drzwi i powiedziałem gawiedzi, że w tym domu nie ma Żyda, którego szukają. Wpuściłem do środka prowodyrów zamieszek, by mogli się o tym przekonać na własne oczy.

Zagroziłem im srogim odwetem, jeśli zniszczą choć jeden należący do mnie przedmiot. Moi strażnicy i służba obserwo-

wali, jak snują się po pokojach, schodzą do piwnicy, a później wracają na górę i przeszukują sypialnie, by wreszcie opuścić dom, o wiele spokojniej i ciszej, niż do niego wkroczyli. Żaden z nich nie zawracał sobie głowy wspięciem się na najwyższe piętro. Nie widzieli synagogi ani świętych ksiąg. Zależało im na Żydzie, który z nimi walczył i obrzucił ich kamieniami, lecz nie mogli go znaleźć.

Kiedy w domu na powrót zrobiło się bezpiecznie, zszedłem do piwnicy. Podniosłem kamienie, chcąc uwolnić mojego nieszczęsnego przyjaciela i opatrzyć mu rany, lecz jak sądzicie, cóż zastałem?

- Giovanni nie żył - odparł ojciec Piero zdławionym głosem.

*Signore* Antonio pokiwał głową, po czym odwrócił wzrok, jakby ze wszystkich rzeczy na świecie najbardziej pragnął być teraz sam, zamiast opowiadać nam tę historię.

- Czy to ja go zabiłem? - zapytał. - Czy też zmarł od razów, które wymierzył mu tłum? Skąd miałem wiedzieć? Byłem pewien wyłącznie tego, że nie żył. Jego cierpienie się skończyło. Zdobyłem się wówczas tylko na to, by odłożyć kamienie na swoje miejsce. Tamtej nocy znów zjawiała się rozwścieczona tłuszcza, po raz kolejny obierając sobie za cel ataku mój dom. Zamknąłem go jednak na cztery spusty i zabezpieczyłem, a kiedy rzezimieszki zobaczyły, że w środku nie pali się światło, w końcu się rozeszły. W wielkanocny poniedziałek nawiedzili mnie żołnierze. Czy to prawda, że znajomy mi Żyd zaatakował chrześcijan w Wielkim Tygodniu, kiedy prawo zabraniało mu przebywać na ulicy? Udzieliłem im zwykłej, wymijającej odpowiedzi. Skąd mogłem wiedzieć?

Nie ma tu już żadnego Żyda. Przeszukajcie dom, jeśli chcecie. Tak też uczynili. Uciekł, zniknął, upierałem się przy swoim. Wkrótce potem żołnierze odeszli, ale wracali jeszcze kilka-kroć, zawsze z tym samym pytaniem. Pogrążyłem się w rozpacz i poczuciu winy. Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej przeklinałem się za to, jak brutalnie obszedłem się z Giovannim, za to, że zawlokłem go do piwnicy i uderzyłem go, by siedział cicho. Nie mogłem znieść wyrzutów sumienia i bólu, jaki mi doskwierał, gdy wspominałem przeszłe zdarzenia. Wreszcie, targany żalem, miałem czelność zrzucić winę na niego. Obwinałem Giovanniego za to, że nie byłem w stanie go obronić i wyleczyć. Przeklinałem go za bezdenną rozpacz, w jaką mnie wpędził.

*Signore* Antonio ponownie zamilkł i odwrócił wzrok. Minęła długa chwila.

- Zostawiłeś go tam, pogrzebanego w piwnicy - odezwał się ojciec Piero.

Starszy mężczyzna kiwnął głową, przenosząc wzrok na księdza.

- Oczywiście wmawiałem sobie, że wkrótce zajmę się jego pogrzebem. Miałem zamiar zaczekać, aż nikt nie będzie pamiętał o zamieszkach w Wielkim Tygodniu, udać się do żydowskiej starszyny i powiedzieć jej o konieczności pochówku Giovanniego.

- Ale tego nie uczyniłeś - powiedział łagodnie ojciec Piero.

- Nie - przyznał *signore* Antonio. - Nigdy. Zamknąłem dom na głucho i porzuciłem go. Czasem tylko gromadziłem w nim różne przedmioty: stare meble, książki, wino, wszystko to, czego musiałem się pozbyć z mojego pałacu. Ale sam ni-

gdy nie przekroczyłem jego progu. Moja stopa nie pozostała więcej w tym domu, aż do dzisiaj.

Kiedy stało się jasne, że *signore* Antonio po raz kolejny przerwał swoją opowieść, przemówiłem do niego łagodnie:

- Duch się uciszył. Uspokoił się, kiedy zacząłeś mówić.

Mężczyzna pochylił głowę i zasłonił oczy dłonią. Myślałem, że wybuchnie płaczem, ale on tylko gwałtownie zaczerpnął powietrza i mówił dalej.

- Zawsze myślałem, że pewnego dnia się tym zajmę, zadbam o to, by bracia zmówili w jego intencji odpowiednie modlitwy. Ale nigdy tego nie uczyniłem. Przed końcem roku ożeniłem się, zacząłem podróżować. Przez wszystkie te lata pochowaliśmy z żoną więcej niż jedno dziecko, ale mój ukochany syn, Niccolò, którego tu widzicie, wywinął się śmierci niejednokrotnie. Właśnie tak. Zawsze był jakiś powód, żeby nie zbliżać się do opuszczonego domu, nie odkurzać piwnicznej podłogi, nie narażać się na pytania Żydów o ich dawnego przyjaciela i uczonogo Giovanniego, nie tłumaczyć, dlaczego tak postąpiłem.

- Ale przecież nie ty go zamordowałeś - zauważył ojciec Piero.  
- To nie była twoja wina.

- Nie - przyznał *signore* Antonio - ale i tak został zamordowany.

Ksiądz westchnął i pokiwał głową.

*Signore* Antonio spojrzał prosto na Vitalego.

- Już podczas naszego pierwszego spotkania z miejsca cię pokochałem - powiedział. - Nie wyobrażasz sobie, jaka to była dla mnie przyjemność, przyprowadzić cię do starego domu, pokazać ci synagogę i bibliotekę, a także rozliczne księgi Giovanniego.

Vitale posępnie kiwnął głową. W jego oczach pojawiły się łzy. *Signore Antonio* zamilkł, a po chwili znowu przemówił.

- Zastanawiałem się, czy mój dawny przyjaciel będzie zadowolony z tego, że zamieszkaś pod tym starym dachem i będziesz czytał jego książki. Zastanawiałem się nawet, czy mam prawo poprosić cię o modlitwę za duszę tego uczonego, który mieszkał w domu przed tobą.

- Będę się za niego modlił - szepnął Vitale. *Signore Antonio* przeniósł wzrok na ojca Piera.

- Czy nadal twierdzisz, że dom został opętany przez demona, żydowskiego dybuka? Czy widzisz teraz, że był to duch mego dawnego przyjaciela, którego skazałem na zapomnienie, gdyż nie potrafiłem znieść cierpienia nas obu?

Ksiądz nie odpowiedział.

*Signore Antonio* spojrzał na mnie. Widziałem, że chce im powiedzieć o tym, jak opisałem mu ducha, którego widziałem w tym domu, ale tego nie zrobił. Nie chciał mnie oskarżać o to, że widzę duchy i z nimi rozmawiam. Ja także milczałem.

- Dlaczego od początku nie domyśliłem się prawdy? - zapytał, spoglądając ponownie na ojca Piera. - Któż powinien się teraz zająć pochowaniem szczątków mego przyjaciela, by jego dusza wreszcie zaznała spokoju?

Przez długi czas siedzieliśmy w milczeniu. Ojciec Piero uczynił znak krzyża i zaczął mamrotać pod nosem modlitwę. W końcu *signore Antonio* podniósł się, a my wraz z nim.

- Przynieście światło - zwrócił się do służących. Wyszliśmy za nim z jadalni i znaleźliśmy się w głównej części domu.

Później wziął świecznik od Pica i odryglowawszy drzwi do piwnicy poprowadził nas schodami w dół.

Wnętrze piwnicy wyglądało znacznie gorzej niż przed kilkoma godzinami, kiedy zjawiłem się tu w poszukiwaniu ducha. Każdy mebel został roztrzaskany na różnej wielkości kawałki. Każda księga w zasięgu wzroku rozerwana na strzępy. Na miejscu pozostało tylko kilka beczek, najwyraźniej pustych, a kamienna podłoga usłana była rozbitym szkłem.

Nie dało się jednak usłyszeć żadnych niecodziennych dźwięków. Prawdę mówiąc, jedynym odgłosem był szmer naszych oddechów i ciche kroki *signore* Antonia, kiedy zbliżał się do miejsca, gdzie widziałem ducha.

Mężczyzna wydał polecenie uprzątnięcia podłogi. Służba i strażnicy od razu zabrali się za usuwanie śmieci. Pod ich butami dało się zauważyć miejsce na podłodze, w którym znajdowało się kilka fałszywych kamieni.

Paroma szybkimi niecierpliwymi ruchami podważyli kamienie. Była pod nimi pusta kryjówka. Tam, w blasku świecy, wystawiony na spojrzenia nas wszystkich, leżał niewielki ludzki szkielet, kupka kości, przytrzymywanych gnijącymi szczątkami ubrań. Wokół niego leżały sterty zapakowanych książek, a obok nich - sakiewki ze skarbem. Jakże musiał cierpieć w tym ciasnym pomieszczeniu, płaczący, ranny, pozbawiony opieki. Widać to było po ułożeniu kości ręki ściskającej tobolek, na którym mężczyzna złożył głowę, oraz tych

przytrzymujących leżącą obok cenną księgę. Jakże drobna i krucha wydawała się czaszka Giovanniego i jak silnie migotały w świetle jego maleńkie okulary.

## ROZDZIAŁ 12

Po południu do domu zaproszono żydowską starszyznę. *Signore Antonio* spotkał się z nimi na osobności, zostawiwszy *Niccoló, Vitalego* i mnie samych.

Wieczorem wyniesiono trumnę ze szczątkami *Giovanniego* i razem ze starszyzną ruszyliśmy przy świetle pochodni w długą drogę na żydowski cmentarz, gdzie złożono ją do ziemi. Zmówiono wszystkie potrzebne modlitwy.

Żadnemu awanturnikowi nie pozwolono zakłócać spokoju żałobnej procesji. Było już późno, kiedy wróciliśmy do spowitego ciszą domu. Można by pomyśleć, że nigdy nie nawiedzał go duch. Służba ciągle jeszcze odkurzała korytarze i schody, mimo późnej pory, i w wielu pomieszczeniach płonęły świece.

*Signore Antonio* wezwał *Vitalego* do biblioteki, gdzie zakomunikował mu, jak się później dowiedziałem, że majątek *Giovanniego* rozdzielono w następujący sposób: połowa trafiła do żydowskiej starszyzny, a druga przypadła *Vitalemu*,



który miał nie tylko modlić się za duszę zmarłego i czcić jego pamięć na wszystkie dopuszczalne sposoby, lecz także zgromadzić i odrestaurować liczne literackie dzieła Giovanniego. *Signore* Antonio posiadał egzemplarze wielu jego książek, a Vitale miał odszukać te, które przepadły. Z pewnością zajmie mu to nieco czasu.

Tymczasem Niccoló miał się wprowadzić do domu, tak jak to wcześniej zaplanowano, a Vitale powrócić do pracy w charakterze jego sekretarza.

Innymi słowy, modlitwy Vitalego zostały wysłuchane, a do pewnego stopnia również te, które wypowiedział w synagodze, skoro dzięki spadkowi po Giovannim znalazł się na najlepszej drodze, by stać się bogatym człowiekiem.

Wiedziałem, że mój czas tutaj dobiega końca. Właściwie nie rozumiałem, dlaczego Malachiasz jeszcze po mnie nie przyszedł.

Odwiędziłem *signore* Antonia w jego domu, akurat kiedy szykował się do snu, i oznajmiłem mu, że wkrótce wyjeżdżam, ponieważ zrobiłem już to, co do mnie należało.

Mężczyzna posłał mi długie, znaczące spojrzenie. Wiedziałem, że chce mnie zapytać, jak lub dlaczego widziałem ducha Giovanniego, ale tego nie zrobił, ponieważ poruszanie tego rodzaju tematów w Rzymie było niebezpieczne. Najwyraźniej postanowił to przemilczeć. Pragnąłem wyrazić przed nim swój żal z powodu samobójczej śmierci Lodovica. Próbowałem ubrać myśli w słowa, lecz mi się to nie udało. W końcu wyciągnąłem do niego ramiona, a on zamknął mnie w mocnym uścisku i podziękował za wszystko, co zrobiłem.

- Wiesz, że możesz z nami zostać, jak długo zechcesz - powiedział. - Wspaniale jest mieć w domu lutnistę. Chętnie wysłuchałbym wszystkich melodii, jakie znasz. Gdyby nie żaloba po Lodovicu, poprosiłbym cię, żebyś teraz mi coś zagrał. Naprawdę możesz u nas zostać. Dlaczego miałbyś wyjeżdżać?

Mówił całkowicie szczerze i przez moment żadna odpowiedź nie przychodziła mi do głowy. Spojrzałem na niego. Przypomniałem sobie o wszystkim, co wydarzyło się w ciągu minionych dwóch dni, i poczułem się tak, jakbym znał tego człowieka od wielu lat. Dręczył mnie ten sam ból, jakiego doświadczyłem podczas pierwszej misji dla Malachiasza, kiedy tak bardzo zbliżyłem się do mieszkańców Anglii, którym pomagałem.

Przypomniałem sobie o Lionie i o małym Tobym, a także o zapewnieniu Malachiasza, że potrafię kochać. Jeśli nawet się nie mylił, była to świeżo nabyta umiejętność i w dalszym ciągu byłem kompletnym laikiem w dziedzinie miłości. Musiałem w jakiś sposób nadrobić tych dziesięć lat gorczy, kiedy nie kochałem nikogo. W każdym razie kochałem tego człowieka i nie chciałem go zostawiać. Chociaż bardzo pragnąłem wrócić do Liony i Tobyego, to nie miałem ochoty opuszczać tego miejsca.

Niccoló był pogrążony we śnie, kiedy wszedłem do jego sypialni, więc pożegnałem się z nim prostym pocałunkiem w czoło. Jego twarz znowu nabrała kolorów, a sen był mocny i twardy.

Kiedy wróciłem do drugiego domu, zastałem Vitalego w bibliotece, miejscu naszej pierwszej rozmowy. Przeglądał właś-

nie niektóre z przekładów Giovanniego, a na jego biurku leżała sterta ksiąg czekających na swoją kolej.

Woluminy przechowywane w piwnicznej kryjówce doznały poważnych uszkodzeń na skutek działania pleśni i wilgoci, lecz na szczęście dało się odczytać ich tytuły, tak że Vitale mógł odszukać ich zastępcze egzemplarze. Całkowicie pochłonęło go życie i osiągnięcia Giovanniego, wspominał nawet o odszukaniu jego dawnych uczniów.

Okazało się, że Pico opowiedział Vitalemu o naszej wcześniejszej wizycie w domu, a także o tym, że podsłuchiwał moje rozmowy z duchem i z *signore* Antoniem, podczas których szczegółowo opisałem zjawę uczonego, tak więc Vitale wiedział o wszystkim.

Vitale doskonale zdawał sobie sprawę, że gdyby nie ja, padłby ofiarą inkwizycji, i powiedział mi o tym.

- Nie ponosisz najmniejszej winy za to, co wydarzyło się w tym domu - przypomniałem mu. Vitale drżał na całym ciele, jakby nie potrafił się pozbyć wcześniejszego lęku.

- Ale moje modlitwy... Modlitwy o sławę i bogactwo, czyż nie one zbudziły ducha?

- Zbudziło go otwarcie tego domu - powiedziałem. - Teraz wreszcie duch zaznał spokoju.

Kiedy się uścisnęliśmy, byłem bliski łez.

Około północy, kiedy wszyscy spali, poszedłem do synagogi, podniosłem lutnię z podłogi, gdzie ją zostawiłem, i usiadłem w jednej z pogrążonych w ciemności ławek, by zastanowić się, co powinienem teraz zrobić.

Służba zamiotła pomieszczenie, sprzątnęła urwane żyrandole i zakurzone przedmioty. Widziałem to wszystko

dzięki odrobinie światła pochodni, sączącego się z pobliskich schodów.

Siedziałem w ławce, zachodząc w głowę, co tu jeszcze robię. Pożegnałem się ze wszystkimi, ponieważ czułem ogromne pragnienie, by to uczynić. Byłem pewien, że postępuję słusznie, ale nie wiedziałem, co teraz. Wreszcie postanowiłem opuścić dom. Tylko Pico stał na straży przy frontowych drzwiach. Dałem mu większość złota, jakie miałem w kieszeniach. Nie chciał go wziąć, ale się uparłem.

Zostawiłem sobie tylko tyle pieniędzy, żeby starczyło mi na znalezienie ciepłego miejsca w tawernie, gdzie mógłbym posłuchać muzyki i poczekać w nadziei na to, że Malachiasz po mnie przyjdzie - byłem szczerze przekonany, iż tak się stanie.

Wkrótce zawędrowałem bardzo daleko od znajomej części miasta. Szedłem przez ciemne jak atrament ulice, na których z rzadka słyszało się szczeknięcie psa lub mijało zakapturzoną sylwetkę. Dręczyły mnie niewesołe rozmyślania. Czułem na sobie ciężar nieudanej próby Lodovica, niezależnie od tego, jak wiele razy powtarzałem sobie, że Stwórca znał serca i umysły nas wszystkich i tylko On mógł rozpoznać rozpacz, niepewność czy truciznę, która sprowadziła Lodovica na tę ciemną ścieżkę, jeszcze nigdy nie uświadamiałem sobie równie mocno, że nasza wiedza o tym, co może zbawić duszę drugiego człowieka, jest znikoma. Zawsze myślimy i rozprawiamy o własnych duszach, lecz i o nich nie wiemy tego co Stwórca.

Niemniej zastanawiałem się, jak to możliwe, że nie przewidziałem samobójstwa Lodovica. Myślałem o swojej mło-

dości i o tym, jak wiele razy czułem wtedy pokusę, by odebrać sobie życie. Były takie miesiące, a nawet lata, kiedy miałem obsesję na punkcie samobójstwa, do tego stopnia, że szczegółowo planowałem własną śmierć, łącznie z pochówkiem. Tak naprawdę za każdym razem gdy dokonywałem morderstwa dla Pana Sprawiedliwego, wprawnie odsyłając kolejne dusze w zaświaty, odczuwałem tak silne pragnienie, by odebrać sobie życie, że moje przetrwanie wręcz graniczyło z cudem. Ile warte byłoby moje życie, gdybym zdecydował się na ten ostateczny krok? Nagle byłem bliski płaczu z wdzięczności, że otrzymałem szansę uczynienia czegoś, czegokolwiek, co mogło przynieść dobro. Czegokolwiek -szepnąłem do siebie, nie zatrzymując się - co byłoby dobre. Vitale żył i miał się dobrze, a dusza Giovanniego wreszcie odzyskała spokój. Jeśli przyczyniłem się do tego chociaż w małym stopniu, byłem za to niewymownie wdzięczny Bogu. Dlaczego więc płakałem? Co było przyczyną mojego smutku? Dlaczego ciągle widziałem twarz Lodovica umierającego z trucizną w ustach? Nie, to nie było całkowite zwycięstwo, w żadnym razie.

Nie mogłem też zapomnieć o Ankanocu, prawdziwym dybuku tej przygody, i jego słowa nadal odbijały się echem w moich uszach. Kiedy i w jaki sposób będę odtąd musiał stawiać mu czoła? Oczywiście byłem naiwny, sądząc, że dane mi będzie widzieć anioły, ale nie demony, że jedno nie idzie w parze z drugim i żadna ze złowrogich istot nie znajdzie sposobu na to, by stać się czymś więcej niż tylko natarczywym głosem w mojej głowie. A jednak ani przez chwilę nie spodziewałem się, że zobaczę demona. I nadal nie wiedziałem, co o tym my-

śleć. Wierzyłem w Boga od zawsze, ale nie wiem, czy kiedykolwiek prawdziwie wierzyłem w diabła.

Nie mogłem wymazać z pamięci twarzy Ankanoca, jej słodko-gorzkiego, urzekającego wyrazu. Z pewnością przed upadkiem był aniołem dorównującym urodą Malachiaszowi, a przynajmniej tak mi zdawało. Dziwnie było myśleć o rozległym firmamencie pełnym aniołów i demonów, świecie, do którego czułem teraz silniejszą przynależność niż do jakiegokolwiek ze znanych mi miejsc.

Ogarnęło mnie zmęczenie. Dlaczego Malachiasz jeszcze mnie nie zabrał? Być może powodem było moje pragnienie przeżycia tu czegoś jeszcze: odnalezienia wesołej tawerny, wypełnionej śmiechem i światłem, w której nie będzie występował żaden lutnista.

W końcu znalazłem takie jasne i radosne miejsce, którego drzwi stały przede mną otworem. W surowym wnętrzu kominka palił się ogień, a przy prostych drewnianych stołach i ławach siedział tłum ludzi starych i młodych, biednych i bogatych, z których wielu miało błyszczące, tłuste twarze, niektórzy zaś siedzieli ze spuszczoneymi głowami, drzemali, skryci w cieniu. Zauważyłem też dzieci, śpiące na kolanach swoich ojców lub na stertach szmat leżących na zakurzonej podłodze.

Kiedy tylko pojawiłem się w drzwiach ze swoją lutnią, ze strony tłumu dobiegły mnie gromkie okrzyki. Dostrzegłem wzniesione w geście powitania kubki. Skłoniłem się i ruszyłem w stronę stolika w rogu, na którym natychmiast pojawiły się dwa kufle piwa.

- Graj, graj, graj - rozległy się zewsząd okrzyki.

Przymknąłem powieki i głęboko zaczerpnąłem powietrza. Jakże słodko i smakowicie pachniały wino i słód. Jakże ciepłe było powietrze, przepełnione dźwiękami rozmów i śmiechu. Otworzyłem oczy. W odległym krańcu tawerny siedział Ankanoc. Wyglądał tak samo jak na bankiecie u kardynała. Wpatrywał się we mnie oczami pełnymi łez.

Pokręciłem głową, jakbym odmawiał każdej jego propozycji, i postanowiłem odpowiedzieć mu najlepiej jak potrafiłem - za pomocą piosenki.

Zacząłem brzdąkać, później grać, a po chwili cała tawerna śpiewała ze mną, chociaż nie znałem tytułu piosenki i nie miałem pojęcia, skąd oni mogli ją znać. Z łatwością potrafiłem powtórzyć wszystkie melodie, jakie tutaj usłyszałem, i wydawało mi się, że czuję się szczęśliwszy w otoczeniu tych prostych i nieokrzęsanych śpiewaków niż kiedykolwiek w tym dziwnym życiu, w tym czasie, a może i w każdym innym. Ach, jakże nieszczęsne z nas istoty, poddawane wiecznym cierpieniom.

Powróciły do mnie głęboko ukryte, mroczne wspomnienia, nie z tego świata, lecz ze świata, jaki opuściłem dawno temu, jako chłopiec, kiedy to stałem na rogu ulicy i brzdąkałem stare renesansowe melodie dla pieniędzy, które ludzie rzucali mi do stóp. Żałowałem tamtego chłopca, jego zgorzknienia, błędów, jakie miał popełnić. Było mi smutno, że tak długo żył z zatwardziałym sercem i nieczystym sumieniem, ostrząc gorycz swojego losu o każde przechowywane w pamięci wspomnienie noszonego w sobie bólu. A później ogarnęło mnie wielkie zdumienie, że ziarna dobra przez tak długi czas tkwiły uśpione w jego duszy, czekając, aż zbudzi je anielskie tchnienie.

Ankanoc zniknął, chociaż nie miałem pojęcia kiedy, ani też gdzie się podział. Otaczały mnie rozbawione twarze. Goście uderzali kubkami i kuflami o stół w takt mojej muzyki. Zaśpiewałem fragmenty kilku piosenek, jakie kołatały mi się w głowie, lecz głównie wtórowałem śpiewającym gościom. Melodie, których nigdy w życiu nie słyszałem, dobywały się z trzymanej w dłoniach lutni.

Grałem tak długo, aż moja dusza wypełniła się otaczającym mnie ciepłem i miłością, blaskiem ognia i światłem promieniującym z tak wielu twarzy, dźwiękami strun lutni oraz słowami, które zamieniały się w muzykę, a później - w samym środku najbardziej zuchwałej, najśłodszej, najbardziej majestatycznej i melodyjnej piosenki - poczułem, jak zmienia się atmosfera w tawernie, a światło rozbłyska, i wiedziałem, miałem pewność, że wszystkie te tłuste, błyszczące twarze wokół mnie przeobraziły się w coś niematerialnego, przypominającego nuty, i była to muzyka, której stanowiłem ledwie maleńki akord, muzyka wznosząca się coraz wyżej.

- Malachiaszu, ja płaczę - szepnąłem. - Nie chcę opuszczać tych ludzi.

W spowijającej mnie ciemności rozwinęła się długa wstęga perlistego śmiechu, a każda jego sylaba została podchwycona, jakby stanowiła załączek melodii, pełnej i kompletnej, splatającej się z pozostałymi dźwiękami.

- Malachiaszu... - szepnąłem.

Poczułem, jak obejmuje mnie ramionami, tuli, a później unosi. Muzyka była utkana z czasu i przestrzeni. Zdawało mi się, że każda nuta stanowi tubę, z której wypływają kolejne dźwięki.



Malachiasz kołysał mnie w ramionach jak dziecko, kiedy wznosiliśmy się do góry.

- Czy już zawsze będę ich tak kochał? Czy rozstania z nimi zawsze będą równie przykre? Czy to właśnie stanowi część mojego cierpienia?

Jednak słowo „cierpienie” nie było właściwe, ponieważ brzmiało zbyt doniośle, okazale, wyjątkowo. Poczułem, jak Malachiasz zbliża usta do mojego ucha i przypomina mi o tym, przemawiając najdelikatniejszym tonem:

- Dobrze się spisałeś, a teraz wiesz, że czekają na ciebie inni.

- Oto szkoła miłości - powiedziałem - a każda lekcja jest bogatsza, wspanialsza, bardziej skłaniająca do refleksji.

Ujrzałem wyobrażenie miłości, u j r z a ł e m, że nie jest to jedna rzecz, lecz ogromny zbiór rzeczy, pełen jasności i mroku, gwałtowności i czułości. Moje serce zalała fala uczuć, tak jak z moich ust wypłynęła fala pytań.

Ale nie doczekałem się na nie odpowiedzi, doczekałem się tylko hymnów Niebios.

## ROZDZIAŁ 13

Ktoś mną potrząsał. Wybudziłem się z koszmaru. Shmarya stał w ciemności, plecami do bladego światła sączącego się przez okno, za którym znajdowały się zalane mrokiem ulice.

- Przespałeś całą dobę - oznajmił.

Znajdowaliśmy się w moim pokoju w Mission Inn, leżałem na skotłowanej kapie, moje ubrania były zmięte i wilgotne, a ciało wypełnione obolałymi mięśniami. W pokoju panował chłód.

Powrócił do mnie koszmar - mieszanka złowróżbnych majaków, niezrozumiałych przemieszczeń, zniekształconych twarzy, absurdalnych i niejasnych kontekstów. Nie miał on nic wspólnego z uporządkowaną rzeczywistością Czasu Aniołów.

Starąłem się ponownie usłyszeć anielskie śpiewy, lecz w uszach brzęczało mi tylko ich odległe echo. Oczami wyobraźni ujrzałem scenę z koszmaru.

Ankanoc kłócił się ze mną o samobójczą śmierć Lodovica. „Zgodnie z twoim systemem wierzeń - powtarzał bez końca - ta nieszczęsna dusza szeźnie w ogniu piekielnym. Tylko że takie miejsce jak piekło nie istnieje. Jego dusza odrodzi się na nowo, a on sam będzie się musiał nauczyć tego, czego nie zdołał się dowiedzieć poprzednim razem". Widziałem piekielny ogień. Słyszałem wrzaski potępionych. Ankanoc nie przestawał się śmiać. „Myślisz, że jestem diabłem? Dlaczego miałbym chcieć mieszkać w takim miejscu?" Posłał mi szyderczy uśmiech, a później jego twarz przybrała kamienny wyraz. „Sądzisz, że odwiedzili cię Boscy aniołowie? Jeśli tak, to dlaczego dręczy cię tak wiele wątpliwości? Skoro twój Bóg ci wybaczył, jeśli rzeczywiście się do niego zwróciłeś, to czy Duch Święty nie powinien był cię napełnić spokojem i światłością? Nie, ty nie masz bladego pojęcia o niebieskich istotach, ale niech cię to nie przeraża. Witaj wśród ludzi".

Wyprostowałem się, skłoniłem głowę i modliłem się słowami: „Boże, zabierz mnie stąd". Kręciło mi się w głowie i dręczyło mnie potworne pragnienie. Uczucie porażki, odpowiedzialność za to, że wypuściłem Lodovica z rąk prosto w ramiona śmierci, było równie silne jak w Rzymie. Poza tym byłem zły, wściekły, że Ankanoc wdarł się do mojego świata, moich snów, moich myśli.

Skoro twój Bóg ci wybaczył, jeśli rzeczywiście się do niego zwróciłeś, to czy Duch Święty nie powinien był cię napełnić spokojem i światłością?

- Już po wszystkim - przemówił Shmarya. Jego głos był cichy i spokojny, donośny, lecz młodzieńczy, a ubranie miał to samo co przedtem: błękitną bawełnianą koszulę i spodnie khaki.

Pomógł mi wstać z łóżka. Podszedłem do okna i spojrzałem na zegarek. Była druga w nocy. Uliczne lampy stanowiły jedyne źródło światła.

Wspomnienia z pobytu w Rzymie zaczęły się kotłować w mojej głowie, wypierając z niej fragmenty koszmaru.

- Błagam, pozwól mi zapomnieć ten sen! - szepnąłem. Ku własnemu zdziwieniu poczułem na ramieniu dłoń

Shmaryi. Staliśmy teraz oko w oko. Zawiodłem Lodovica. Tej duszy nie zdołałem uratować.

- Przestań walczyć - powiedział anioł, marszcząc brwi. Jego wzrok był niewinny i badawczy. - Nie tobie decydować o duszy tego człowieka.

- Stwórca musi wiedzieć wszystko - odparłem łamliwym głosem. Słyszałem śmiech Ankanoca, ale było to tylko wspomnienie. Shmarya trwał przy mnie. - Tylko On może nas sądzić.

Anioł pokiwał głową.

- Gdzie jest szef? - zapytałem, mając na myśli Malachiasza.

- Wkrótce tu przybędzie - odrzekł Shmarya. - Musisz się teraz sam o siebie zatroszczyć.

- Dlaczego odnoszę wrażenie, że go nie lubisz?

- Kocham go - odparł z prostotą. - Wiesz o tym. Ale nie zawsze się z sobą zgadzamy. W końcu to ja jestem twoim Aniołem Stróżem. Moja misja jest prosta. Ty jesteś moim podopiecznym.

- A Malachiasz?

- Na to pytanie również znasz odpowiedź. Jest serafinem. Odpowiada na modlitwy wielu ludzi. Wie o rzeczach, które dla mnie stanowią tajemnicę. Zajmuje się tym, co nie jest moim zadaniem.

- Sądziłem, że wiecie o wszystkim - powiedziałem. Zabrzmiało to bezgranicznie głupio.

Anioł pokręcił głową.

- W takim razie nie możesz mi powiedzieć, czy Lodovico trafił do piekła, prawda? - nie ustępowałem.

Ponownie zaprzeczył.

Kiwnąłem głową. Zaciągnąłem zasłony w oknach i włączyłem nocną lampkę.

Widok mojego Anioła Stróża w pełnym świetle wydał mi się niezwykle uspokajający. Wyglądał równie materialnie jak znajdujące się w pokoju sprzęty. Miałem ochotę go dotknąć, lecz tego nie zrobiłem. Wtedy przypomniałem sobie, że przed chwilą to on dotknął mnie. Nie potrafiłem nic wyczytać z jego błękitnych, spokojnych oczu, którymi bacznie mi się przyglądał. Shmarya nieznacznie uniósł brwi, a później wyszeptał:

- Zaufaj Stwórcy. To, o czym obaj myślimy, nie może wpędzić człowieka do piekła.

- Czy wiesz, dlaczego jestem wściekły? Pokiwał głową.

Mówiłem dalej:

- Bo dopóki nie zobaczyłem, jak człowiek odbiera sobie życie, nie wierzyłem w piekło. Nie wierzyłem w diabła i demony, a kiedy zwróciłem się w stronę Boga, to wcale nie z lęku przed piekłem.

Ponownie przytaknął.

- A teraz jestem świadomy istnienia i Ankanoca, i piekła. Zamyślił się przez chwilę nad tym, co powiedziałem, po czym wzruszył ramionami.

- Już w przeszłości słyszałeś głosy Złego - zauważył. -Zawsze wiedziałeś, czym jest zło. Nigdy się nie okłamywałeś.

- To prawda, ale sądziłem, że te głosy pochodzą ze mnie. Sądziłem, że całe zło, którego byłem świadkiem, rodzi się w ludziach, a diabły i piekło to przestarzałe konstrukty. Czułem, jak rodzi się we mnie zło, kiedy pierwszy raz odbierałem człowiekowi życie, a gdy zabijałem kolejnych, zło rosło w siłę. Potrafię żyć ze świadomością zła, które drzemało we mnie, być może dlatego, że czułem skruchę. Ale teraz są jeszcze Ankanoc, dybuk, i nie chcę wierzyć w podobne istoty.

- Czy to naprawdę tak wiele zmienia?

- A nie powinno?

- W jaki sposób mierzymy zło? Uczynkami, czyż nie?  
-zawiesił na chwilę głos, a później dodał: - Nic się nie zmieniło. Porzuciłeś ścieżki Luckyego Szczwanego Lisa, i to się liczy. Jesteś Dzieckiem Aniołów. Filozofia zła nie ma na to żadnego wpływu.

Przyznałem mu rację, lecz nie czułem się całkowicie uspokojony. Ogarnęła mnie fala zawrotów głowy, a pragnienie było wprost palące.

Podszedłem do lodówki w niewielkiej jadalni, wyjąłem z niej butelkę schłodzonego gazowanego napoju i opróżniłem kilkoma łykami. Zmysłowa przyjemność tego doznania sprawiła, że spłynęły na mnie ukojenie i lekki wstyd. Tak trudno było się skoncentrować na myśleniu o abstraktach zamiast o cielesnych wygodach, pomyślałem.

- Czy czasami nie czujesz do nas nienawiści? - zapytałem.

- Nigdy, o czym także doskonale wiesz.

- Usiłujesz mnie nakłonić do zadawania prawdziwych pytań zamiast retorycznych?

Roześmiał się krótko i przyjemnie dla ucha.

Zawarta w napoju kofeina zaczęła mi uderzać do głowy.

Podszedłem kolejno do reszty okien i zaciągnąłem w nich zasłony, jednocześnie zapalając mijane lampy: te na biurku i przy łóżku. Bez żadnego szczególnego powodu pokój wydał mi się teraz odrobinę bezpieczniejszy. Na końcu włączyłem ogrzewanie.

- Nie zostawisz mnie, prawda? - zapytałem.

- Nigdy tego nie zrobię - zapewnił mnie. Stał ze skrzyżowanymi ramionami, oparty o ścianę przy oknie, spoglądając na mnie z drugiego końca pokoju. Chociaż miał rude włosy, to jego brwi były bardziej złociste, a jednak dostatecznie ciemne, by dodawały mu stanowczości. Miał na sobie buty podobne do moich, lecz nie nosił zegarka.

- Mam na myśli to, że nie staniesz się niewidzialny! - powiedziałem, nieznacznie gestykulując dłońmi. - Zostaniesz tu do czasu, aż wezmę prysznic i się przebiorę.

- Masz się czym zająć - stwierdził anioł. - Skoro ci przeszkadzam, powinienem odejść.

- Nie mogę teraz zadzwonić do Liony - odparłem. - Na pewno śpi.

- A co robiłeś ostatnim razem po powrocie ze swojej misji?

- Szukałem informacji, pisałem. Spisałem wszystko, co mnie spotkało. Dowiedziałem się więcej na temat historii, jaka mi się przydarzyła. Ale wiesz przecież, że szef nigdy nie pozwoli mi nikomu pokazać tego, co napisałem. Krótkie ma-

rzenie o spisaniu tego wszystkiego, byciu pisarzem, wydaniu książki, przysło.

Przypomniałem sobie, jak chwaliłem się swojemu dawnemu szefowi Panu Sprawiedliwemu, że napiszę o czymś, co mi się przydarzyło, i jak to odmieniło moje życie. Kazałem mu zaglądać do księgarni, bo pewnego dnia będzie mógł znaleźć na okładce jednej z książek moje nazwisko. Jakże nierozsądne i porywcze wydawało mi się teraz moje zachowanie. Pamiętałem także, jak zdradziłem mu swoje prawdziwe nazwisko, i bardzo tego żałowałem. Dlaczego musiałem mu powiedzieć, że jego zaufany zabójca, Lucky Szczwany Lis, w rzeczywistości nazywa się Toby O'Dare?

Przed oczami stanął mi obraz Liony i Toby ego.

Wróciły do mnie te straszne słowa Ankanoca. Czy Duch Święty nie powinien był cię napełnić spokojem i światłością?

Cóż, spokój i światłość napełniały mnie, kiedy wypowiadałem te słowa przed Sprawiedliwym, a teraz byłem zdezorientowany. Nie przeszkadzało mi, że nigdy nie opowiem nikomu o tym, co zrobiłem dla Malachiasza. Dziecko Aniołów powinno umieć dochować sekretu, jeśli zostanie o to poproszone. W podobny sposób wymagano ode mnie dyskrecji, kiedy byłem zabójcą u Pana Sprawiedliwego. Jak mogłem ofiarować aniołom mniej niż jemu? Ale było coś jeszcze, niepokój i niepewność, które wiecznie odczuwałem, podobnie jak strach. Przebywałem w obecności widzialnego anioła, a jednak się bałem. Nie był to strach paraliżujący, ale sprawiał mi ból, jakby ktoś podłączył mnie do prądu, dostatecznie silnego, by parzył.



Wyjąłem kolejną butelkę gazowanego napoju, rozkoszując się jej zimnem, chociaż nadal czułem chłód, a później wypilem jej zawartość.

Usiadłem na krześle przy biurku.

- W porządku, nie czujesz do nas nienawiści, oczywiście, że nie - powiedziałem. - Ale na pewno tracisz cierpliwość do ludzi i do ich ciągłego domagania się prostych rozwiązań.

Uśmiechnął się, jakby spodobał mu się mój dobór słów.

- Dlaczego miałbym się niecierpliwić? Jaki miałoby to sens? - zapytał łagodnie. - A właściwie jaki sens mają te pytania o moje myśli i uczucia? - ponownie wzruszył ramionami.

- Nie rozumiem, kiedy i w jaki sposób interweniujesz ani kiedy i dlaczego tego nie robisz.

- Ach, wreszcie zadałeś mi istotne pytanie, na które mogę ci udzielić odpowiedzi - oznajmił ze spokojem. Jego głos był równie łagodny jak głos Malachiasza, lecz brzmiał młodziej, niemal chłopięco. Zupełnie jakbym słyszał chłopca przemawiającego z powściągliwością starca. - Kluczem jest twoja wolna wola - wyjaśnił. - Nigdy nie działamy wbrew niej. Wszystko, co mówimy lub robimy, i w jaki sposób się objawiamy, zawsze będzie podlegało tej jednej regule, że w swych działaniach możesz się kierować wolną wolą.

Pokiwałem głową. Skończyłem drugi napój. Czułem się tak, jakbym miał ciało z gąbki.

- W porządku - odparłem - ale Malachiasz pokazał mi całe moje życie.

- Pokazał ci twoją przeszłość - poprawił mnie Shmarya. - Tym, co nie daje ci teraz spokoju, jest twoja przyszłość. Rozmawiasz ze mną, ale myślisz o wielu sprawach związanych

z przyszłością. Zastanawiasz się, kiedy i w jakich okolicznościach będziesz mógł znowu spotkać Lionę i co się wtedy stanie. Rozmyślasz o tym, co musisz zrobić w tym świecie, by wymazać ślady swoich znienawidzonych uczynków, które popełniłeś jako Lucky Szczwany Lis. Nie chcesz nimi skrzywdzić Liony i Toby'ego. Zastanawiasz się też, dlaczego to zadanie od Malachiasza tak bardzo różniło się od wcześniejszego i z czym będzie się wiązało kolejne.

Miał absolutną rację. Dostawałem białej gorączki od tych pytań.

- Od czego powinienem zacząć? - zapytałem. Ale znałem odpowiedź.

Poszedłem do łazienki i wziąłem najdłuższy prysznic w całym swoim życiu. Rzeczywiście byłem pochłonięty myślami. Liona i Toby. Do czego zobowiązywała mnie ich obecność w moim życiu? Nie chodziło mi o telefony, sprawdzanie, czy wszystko u nich w porządku, ani o okazjonalne wizyty, lecz o to, co powinienem zrobić w związku z moją paskudną przeszłością. Co Lucky Szczwany Lis powinien z nią zrobić?

Ogoliłem się i ubrałem w czystą błękitną koszulę i wyprasowane džinsy. Byłem ciekaw, czy mój Anioł Stróż również zmieni strój.

Nie zrobił tego. Kiedy wyszedłem z łazienki, siedział przy kominku na krześle z wysokim oparciem i wpatrywał się w pustą przestrzeń.

- Masz rację - zwróciłem się do niego, jakbyśmy wcale nie przerywali naszej rozmowy. - Chciałbym poznać wszystkie odpowiedzi na pytania dotyczące przyszłości, mojej przyszłości. Muszę pamiętać, że nie jesteście tu dlatego, by mi to ułatwić.

- I tak, i nie - odparł. - Ale masz teraz sporo *rzeczy* do zrobienia i powinieneś się nimi zająć. Zrób to, co przyniosło ci największą korzyść poprzednim razem.

Miał lekko zmarszczone brwi, a jego źrenice się poruszały bez przerwy, choć ich ruch był ledwie zauważalny. Jakby obserwując mnie, oglądał ruchomy, szczegółowy obraz, którego istnienia nie byłem świadomy.

- Poświęcasz zbyt wiele czasu studiowaniu naszych obliczy - zauważył. - Nigdy nie będziesz mógł nas w ten sposób przejrzeć. Nie potrafilibyśmy ci wyjaśnić toku naszego rozumowania, nawet gdybyśmy chcieli.

- Czy wyraz waszych twarzy może być nieszczerzy lub zwodniczy? - zapytałem.

- Nie - odparł, łagodnie się uśmiechając.

- Podoba ci się to, że cię widzę?

- Tak. Lubimy wymiar fizyczny. Zawsze tak było. Podoba nam się wasza fizyczność. Intryguje nas ona.

Sam byłem zaintrygowany.

- Lubisz ze mną rozmawiać, tak że mogę usłyszeć twój głos? - zapytałem. - Naprawdę ci się to podoba?

- O tak, bardzo - przyznał.

- Ostatnie dziesięć lat, kiedy pracowałem jako płatny zabójca, musiało być dla ciebie okropne - zauważyłem.

Roześmiał się bezgłośnie, wodząc oczami po suficie, a później z powrotem przeniósł wzrok na mnie.

- Muszę przyznać, że nie był to dla mnie najlepszy czas. Pokiwałem głową, jakbym kilkakrotnie przyłapał go na

gorącym uczynku, choć oczywiście nic takiego się nie wydarzyło.

Wszedłem do maleńkiej kuchni i zaparzyłem dzbanek kawy. Dopiero gdy wypilem pierwszą filiżankę, odwróciłem się do niego, sącząc gorącą kawę z podobną przyjemnością, z jaką wcześniej piłem lodowato zimny napój.

- Dlaczego Ankanoc miał prawo wystawić mnie na próbę? - zapytałem. - Dlaczego pozwolono mu mnie zwieść w Rzymie?

- Ty mnie o to pytasz? - zdziwił się Shmarya, po raz kolejny wzruszając lekko ramionami. - Szczególni aniołowie nawiedzają ludzi o szczególnym przeznaczeniu. A szczególne demony wystawiają na próbę takie osoby w szczególny sposób.

- A więc to dopiero początek - powiedziałem. - On się nigdy nie podda.

Zastanowił się przez chwilę, a później wykonał gest sugerujący, że nie może mi odpowiedzieć. Był to ledwie drobny ruch dłońmi i nieznaczne uniesienie brwi.

- Czego się o nim dowiedziałeś? - zapytał.

- Postanowił mnie zaatakować racjonalnymi argumentami, dawnymi twierdzeniami i teoriami, o których już wcześniej czytałem. Podparł się filozofią New Age, świadectwem tych, którzy opuścili swoje ciała, powoływali się na bliskie spotkania ze śmiercią. Ale wyszedł mu z tego groch z kapustą. Rzecz w tym, że zaatakował moją wiarę, odwołując się do zdrowego rozsądku zamiast do mojej rozchwianej samokontroli.

Po raz kolejny Shmarya zatopił się w rozmyślaniach lub czymś podobnym. Wyglądał niemal na mojego rówieśnika, ale nie mogłem zrozumieć, dlaczego zdecydował się na rude włosy. Jego postura wydawała się bardziej potężna aniżeli syl-

wetka Malachiasza. Te szczegóły musiały mieć znaczenie, tylko jakie? Niewykluczone, że istniały rządzące tym wszystkim reguły, rozległy ich system, być może zbyt zawiły i skomplikowany, żebym zdołał go zrozumieć.

Shmarya odezwał się niespodziewanie, sprowadzając mnie z powrotem na ziemię.

- Istnieje stara przypowieść o świętym, który powiedział kiedyś: „Nawet jeśli Księżę Ciemności przybierze postać świetlistego anioła, będzie go można poznać po gadzim ogonie”.

Roześmiałem się.

- Słyszałem tę opowieść - odparłem. - Kiedyś nawet znałem imię owego świętego. Cóż, Ankanoc nie miał gadziego ogona.

- Jednak zdradził się przed tobą. Zdemaskowałeś go po sposobie, w jaki do ciebie przemawiał, i po nieprzyjemnych uwagach na temat ludzi.

- Właśnie tak było - odparłem. - A także po sposobie, w jaki używał newagebwych poglądów na temat życia i jego sensu oraz śmierci. Co ciekawe, są to poglądy wielu myślicieli, pionierów psychologii z całego świata. Ale Ankanoc traktował je jak dogmat i usiłował mnie do niego przekonać.

- Nie zapominaj o tym - rzekł Shmarya. - Niezależnie od swoich słów i czynów Ankanoc zawsze się zdradzi. Demony mają w sobie więcej nienawiści i gniewu aniżeli sprytu. Nie przeceniaj ich, bo może się to okazać równie szkodliwe jak ich niedocenianie. A jeśli wezwiesz go po imieniu, będzie ci musiał odpowiedzieć, więc trudno mu się będzie zamaskować.

- Twierdzisz zatem, że demony nie są równie mądre jak anioły.

- Niewykluczone, że mogą być - odparł - lecz stan ich umysłów kłóci się z inteligencją. Przytępia ich zmysł obserwacji, nie pozwala im wyciągać właściwych wniosków. Przeszkadza im we wszystkim, co robią. Ich położenie jest opłakane. Nie chcą przyznać, że poniosły porażkę.

Podobało mi się to - tajemnica i prawda w jego słowach.

- Czy znasz go osobiście? - zapytałem.

- Osobiście? - wybuchnął śmiechem. - Osobiście! - powtórzył, a jego twarz rozjaśnił uśmiech. - Jesteś fascynującym młodym człowiekiem, Toby. Nie, nie znam go osobiście. Chyba nie zawracałby sobie głowy znajomością ze mną. - Ponownie się roześmiał. - Sądzi, że nie musi się przejmować byle Aniołem Stróżem. To Malachiasz doprowadza go do szału. Musi się jeszcze wiele nauczyć.

- A więc po pracy, na przykład kiedy śpię, ty i Ankanoc nie moglibyście wybrać się we dwóch na kawę w Czasie Aniołów?

- Nie - odparł ze śmiechem. - A tak nawiasem mówiąc, pracuję nawet wtedy, gdy śpisz, z czego pewnie doskonale zdajesz sobie sprawę.

- Byłeś ze mną w Rzymie? - zapytałem.

- Tak, oczywiście. Ja zawsze ci towarzyszę. Mówiłem, że jestem twoim Aniołem Stróżem. Byłem z tobą, jeszcze zanim przyszedłeś na świat.

- Ale przecież tam, w Rzymie, nie mogłeś do mnie podejść, ukazać mi się, udzielić pomocy? - zapytałem.

- A jak ci się wydaje?

- Och, tylko nie to. Wy aniołowie ciągle odpowiadacie pytaniem na pytanie.

- Prawda? - szepnął. - Ale teraz przynajmniej obaj znamy jeden z powodów twojej zgryzoty. Jesteś zły, że nie przyszedłem ci z pomocą. Za to zjawił się Malachiasz, czyż nie?

- W końcu tak - przyznałem. - Kiedy było już po wszystkim. Ale czy któryś z was nie mógł mi szepnąć słówka, że ta istota usiłuje mnie wpędzić w pułapkę przy użyciu nadnaturalnych sztuczek?

Shmarya wzruszył ramionami.

- Sądzę, że musisz spełniać polecenia Malachiasza - zauważyłem.

- Można na to i tak spojrzeć - odparł. - Malachiasz jest serafinem. Ja nie.

- Dlaczego tu teraz jesteś? - zapytałem.

- Dlatego że mnie potrzebujesz i chcesz, żebym tu był, dlatego że nie możesz sobie znaleźć miejsca i nie masz pomysłu, co zrobić dalej. Przynajmniej są to niektóre z powodów. Sądzę jednak, że nadszedł czas, byś zajął się tym samym co po ostatniej misji, więc chyba powinienem już odejść.

- Żałuję, że nie zawsze jesteś widzialny.

- Tylko tak ci się wydaje. Masz krótką pamięć. Nie jestem tu po to, by przeszkadzać ci w byciu człowiekiem.

- Czy Dzieci Aniołów odczuwają samotność? - zapytałem.

- Ty ją odczuwasz, prawda? - zapytał. - Czy sądzisz, że anielskie towarzystwo jest w stanie zaspokoić ludzkie pragnienia? Nasza obecność wynika z tego, że jesteś człowiekiem. I pozostaniesz nim aż do śmierci.

- Chciałbym się dowiedzieć, jak naprawdę wyglądasz!  
-powiedziałem.

W jednej sekundzie atmosfera w pokoju uległa zmianie, jakby potężna siła wstrząsnęła całym pomieszczeniem, może nawet budynkiem, a z pewnością jakby wstrząsnęła moim sposobem postrzegania rzeczywistości.

Sprzęty w pokoju zblakły. Grawitacja zniknęła. Nigdzie już nie stałem. Moje uszy wypełnił potężny dźwięk, nieco przypominający bicie gigantycznego dzwonu, i jednocześnie dostrzegłem przed sobą nieskończone białe światło i przenikające przez nie łukowate strumienie złota. Widziałem tylko eksplozję światła, z której pulsującego jaskrawego jądra emanowały fale złota, i nagle zorientowałem się, że nie znajduję słów, by to wszystko opisać. Usiłowałem sformułować je w swoim umyśle, ale bezskutecznie. Widziałem ruch, kolosalny ruch, przypominający coś w rodzaju konwulsji bądź erupcji, ale w żaden sposób nie można opisać tego, co zobaczyłem. Nagle spłynęło na mnie olśnienie. Usłyszałem, jak wypowiadam głośno: tak, ale szybko zamilkłem. Światło ogarnęło połać przestrzeni zbyt rozległą, bym zdołał ją ogarnąć wzrokiem, a jednak ją widziałem, widziałem jej nieskończony zasięg. Dźwięk osiągnął przebijająco wysoki ton. Światło przybladło i zgasło.

Leżałem na podłodze, wpatrując się w kopułę sufitu nade mną. Zamknąłem oczy. Wspomnienie, jakie zdołałem odtworzyć w swoim umyśle, było niczym w porównaniu z tym, co właśnie zobaczyłem i usłyszałem.

- Wybacz mi - szepnąłem. - Powinienem był wiedzieć.



## ROZDZIAŁ 14

Przede wszystkim usiadłem przy komputerze, by zdobyć potrzebne informacje na temat czasu spędzonego w Rzymie.

Nie zaskoczyło mnie to, że w żadnym historycznym źródle nie mogłem znaleźć nazwisk osób, które odwiedziłem.

Za to okropny i bezwzględny incydent z udziałem syna Giovanniego we Florencji wzmiankowano więcej niż raz. Nie podano żadnych imion, ani mężczyzny oskarżonego o zbezczeszczenie świętych wizerunków, ani jego rodziny, lecz niewątpliwie chodziło o to samo wydarzenie, którego opis przywiódł mi na myśl silne wspomnienie Giovanniego, przeszywającego mnie wzrokiem w synagodze, po tym jak przestałem grać na lutni. Nie miałem wątpliwości co do tego, że wykonywałem swoją misję pośród prawdziwych ludzi. W rozmaitych źródłach odnalazłem informacje na temat tamtych czasów.

Wkrótce dowiedziałem się, że w roku 1527 Rzym splądrowano, a tysiące ludzi straciło życie. Niektóre źródła podawa-

ły, że zgładzono wówczas całą społeczność żydowską. To oznacza, że każdy, kogo poznałem w Rzymie, mógł zginąć podczas tamtych wydarzeń, zaledwie dziewięć lat lub mniej po mojej wizycie.

Podziękowałem Bogu, że nie wiedziałem o tym historycznym epizodzie, kiedy byłem w Rzymie. Co jednak ważniejsze, w jednej chwili pojąłem to, czego nie rozumiałem przez całe swoje samolubne życie: że najważniejsze na tym świecie jest dla nas, abyśmy nie wiedzieli, co przyniesie nam przyszłość. Gdybyśmy ją znali, teraźniejszość mogłaby nie istnieć.

Być może wiedziałem już o tym jako dwunastolatek, ale teraz ta wiedza uderzyła mnie z mistyczną siłą. Przypomniała mi także, że obcowałem z istotami, takimi jak Malachiasz i Shmarya, które wiedziały o przyszłości wiele więcej, niż sam chciałbym wiedzieć.

Gniewanie się na nich czy chowanie urazy dlatego, że żyli z tym ciężarem, nie miało sensu.

Nad wieloma sprawami pragnąłem się zastanowić.

Zamiast tego spisałem krótkie i zwięzłe świadectwo wszystkiego, co spotkało mnie od czasu ostatniego „raportu”. Opisałem nie tylko swoje przygody w Rzymie, lecz także historię mojego spotkania z Lioną i Tobym, i wszystkiego, co się wówczas wydarzyło.

Kiedy skończyłem, dotarło do mnie, że z wielu ważnych powodów ta misja różniła się od poprzedniej. Podczas pierwszej przygody moje zadanie było jasne: ochronić rodzinę i społeczność żydowską przed niesprawiedliwie rzuconymi oskarżeniami. Rozwiązałem postawiony przede mną prob-

lem przy użyciu hochsztaplerskiego fortelu, lecz ani przez chwilę nie wątpiłem w to, że obrałem właściwą drogę.

Możliwe, że aniołowie nie pochwalają kłamstw, jakich dopuściłem się w Czasie Aniołów, ale zezwolili mi na nie, i sądzę, że wiem dlaczego. Wielu na tym świecie uciekało się do kłamstw, by uchronić się przed złem i niesprawiedliwością. Któż by nie skłamał, ratując Żydów w naszych czasach, przed zagładą z rąk żołnierzy Trzeciej Rzeszy?

Druga misja nie wiązała się z niczym podobnym. Starłem się dociec prawdy, by rozwiązać piętrzące się przede mną problemy, i okazało się to bardzo trudne i skomplikowane.

Czy zatem należało zakładać, że każda misja będzie bardziej złożona od poprzedniej? Zacząłem się nad tym zastanawiać, lecz szybko się poddałem.

Było już południe. Nie spałem od dziesięciu godzin i większość tego czasu spędziłem na pisaniu. Nic nie jadłem. Niewiele brakowało, żebym zaczął widzieć niewidzialne anioły.

Założyłem kurtkę i zszedłem na lunch do restauracji Mission Inn. Kiedy już uprzątnięto naczynia po skończonym posiłku, dotarło do mnie, że znowu pogrążyłem się w rozmyślaniach.

Dopijałem właśnie kawę, gdy przy sąsiednim stoliku zauważyłem przypatrującego mi się młodego mężczyznę, chociaż gdy na niego spojrzałem, udał, że czyta gazetę.

Przez dobrą chwilę nie spuszczałem z niego wzroku. Nie wyglądał mi ani na dybuka, ani na anioła, lecz na zwyczajnego człowieka. Był młodszy ode mnie, a kiedy tak mu się przypatrywałem, spojrzał na mnie kilkakrotnie, aż w końcu wstał od stolika i wyszedł.

Nie byłem zdumiony, widząc go w lobby, usadowionego w jednym z przepastnych foteli, ze wzrokiem zwróconym w stronę wejścia do restauracji.

Zapamiętałem go sobie: był młody, może cztery lub pięć lat młodszy ode mnie. Miał krótkie, faliste, brązowe włosy i niemal piękne błękitne oczy. Do czytania założył okulary w ciemnych oprawkach. Ubrany był dość elegancko w dopasowaną sztruksową marynarkę koloru brązowego, biały golf i szare spodnie. Wyraz jego twarzy wskazywał na wrażliwość i zaangażowanie, przez co nie podejrzewałem go o wrogie zamiary, ale nie byłem zadowolony, że ktoś mi się przygląda, i zastanawiałem się, kim jest ten człowiek i dlaczego się tu znalazł. Jeśli miałem do czynienia z kolejnym aniołem przydzielonym do mojej sprawy, chciałbym o tym wiedzieć. Jeśli był kolejnym diabłem, to nie miał prezencji ani pewności siebie Ankanoca i nie potrafiłem wyczuć jego zamiarów.

Zastanawiałem się, czy grozi mi niebezpieczeństwo. Lucky Szczwany Lis zawsze nastawiał swój wewnętrzny radar na ludzi, którzy mogli go obserwować, nasłani przez jego wrogów czy szefa. Ale ten człowiek nie sprawiał wrażenia niebezpiecznego. Żaden policjant czy agent Pana Sprawiedliwego tak otwarcie by mi się nie przypatrywał. Inny zabójca nie ściągałby w ten sposób na siebie uwagi. Jeśli już, to zdarzenie to uświadomiło mi, jak bezpiecznie się czułem, chociaż w dalszym ciągu niepokoiłem się, że zdradziłem Panu Sprawiedliwemu moje prawdziwe nazwisko.

Odsunąwszy od siebie te myśli, znalazłem cichy kącik na rozciągającym się przed hotelem patio, przyjemnie nagrzanym przez słońce i smaganym chłodną bryzą, i zadzwoniłem do Lio-

ny. Dźwięk jej głosu niemal przyprawił mnie o łzy. Dopiero kiedy zaczęliśmy rozmawiać, dotarło do mnie, że minęło już pięć dni, odkąd ona i Toby polecili do domu.

- Uwierz mi, że chciałem do was zadzwonić wcześniej - powiedziałem. - Myślałem o was obojgu od chwili waszego wyjazdu. Chciałbym się z wami ponownie zobaczyć, i to wkrótce.

Zapewniła mnie, że i ona tego pragnie. Musiałem tylko wskazać miejsce i czas. Wyjaśniła, że poszła do adwokata ze wszystkimi dokumentami, jakie jej przekazałem. Ojciec Liony był zadowolony, że wziąłem odpowiedzialność za swojego syna.

- Ale Toby, pewna sprawa nie daje mi spokoju - ciągnęła. - Czy twoi kuzyni tutaj wiedzą, że żyjesz?

- Nie, nie wiedzą - przyznałem. - I jeśli tam wrócę, cóż, chyba będę musiał się z nimi spotkać.

- Nie mówiłam ci o tym wcześniej, ale sądzę, że powinieneś się dowiedzieć. Mniej więcej trzy lata temu, kiedy zostałeś...

- Oficjalnie uznany za zmarłego? - dokończyłem za nią.

- Tak. Cóż, twój kuzyn Matt wydobył wszystkie twoje rzeczy z magazynu, przyszedł do nas i ofiarował mi część twoich starych książek. Toby, on wie. Powiedziałam mu, że Toby jest twoim synem.

- W porządku, Liono, cieszę się. Nie mam nic przeciwko temu, by Matt wiedział. Nie mam do ciebie żalu o to, że mu powiedziałaś.

- To nie wszystko. Znasz mojego ojca. Wiesz, że przede wszystkim jest lekarzem.

-Tak?

- Poprosił Matta o zgodę na przeprowadzenie badań DNA na próbkach zabranych z mieszkania twojej matki. Tata po-

wiedział, że potrzebuje ich do celów medycznych, by dowiedzieć się, czy w rodzinie nie występowały choroby, które Toby mógłby...

- Rozumiem. - Poczułem, jak oblewa mnie zimny pot. Staralem się, by mój głos brzmiał spokojnie. - W porządku, to całkowicie logiczne - skłamałem. - Matt się zgodził, a twój ojciec zbadał DNA mojej rodziny i małego Toby ego. - A to oznacza, że istnieje próbka materiału DNA taka sama jak ta, która znajduje się w aktach Lucky'ego Szczwanego L i s a. Moje serce wykonało kilka gwałtownych uderzeń. - Nie chcesz chyba powiedzieć, że pojawił się jakiś problem natury genetycznej...

- Nie, chciałam tylko, żebyś wiedział. Myśleliśmy, że nie żyjesz, Toby.

- Nie martw się, Liono. Wszystko gra. Cieszę się, że to zrobiłaś. Teraz twój ojciec ma pewność, że mały Toby jest moim synem.

- Cóż, był to jeden z powodów - przyznała. - Teraz wreszcie istnieje niezbity dowód twojego ojcostwa.

- Posłuchaj, najdroższa, mam trochę pracy - powiedziałem. - Muszę porozmawiać ze swoim pracodawcą. A kiedy już dowiem się, jaki mam grafik, natychmiast do ciebie zadzwonię. Korzystam teraz z telefonu na kartę, masz mój numer. Dzwoń do mnie, kiedy tylko zechcesz.

- Och, nie będę ci zawracać głowy, Toby - odparła.

- Jeśli nie odbiorę, to znaczy, że nie mogę.

- Toby? - Tak?

- Chcę, żebyś coś wiedział. Tylko się nie przestrasz.

- Oczywiście. Co takiego?
- Kocham cię - oznajmiła. Odetchnąłem powoli.
- Miło mi to słyszeć - szepnąłem - bo moje serce znajduje się w twoich rękach.

Rozłączyłem się.

Byłem niezmiernie szczęśliwy i równie mocno strapiony. Liona mnie kochała, a ja kochałem ją, jednak w tym momencie moje mroczne sekrety krzyżowały nam szyki. Żadna z osób depczących po piętach Luckyemu Szczwanemu Lisowi nie zdobyła próbki jego DNA, ale teraz Pan Sprawiedliwy wie, że Lucky Szczwany Lis i Toby O'Dare to jedna i ta sama osoba, a w nowoorleańskich aktach znajduje się próbka materiału genetycznego rodziny Toby ego O'Dare'a. A ja naiwnie wyznałem Sprawiedliwemu, skąd pochodzę.

„Masz się czym zająć”, powiedział mi Shmarya, i nie mylił się. Nic nie mogłem poradzić w kwestii DNA i możliwe, że nie było to takie ważne, biorąc pod uwagę, ile zbrodni udało mi się w międzyczasie popełnić, ale istniały inne sprawy, które mogłem i powinienem możliwie szybko załatwić.

Wymeldowałem się z pokoju i pojechałem do Los Angeles. Mieszkanie wyglądało tak jak przed moim wyjazdem, z szeroko otwartymi drzwiami na patio i kwiatami drzewa różanego zaścielającymi cichą uliczkę w dole.

Założyłem stare ubrania i pojechałem do garażu, w którym przez ostatnie dwa lub trzy lata parkowałem furgonetki, przechowywałem przebrania i pozostałe rekwizyty. Przez dwie godziny, nie zdejmując z dłoni rękawiczek, niszczyłem wszystko, co się w nim znajdowało.

Nigdy nie tworzyłem swoich trujących mieszanek z tak zwanych substancji kontrolowanych. Każdy śmiertelny koktajl, jakiego kiedykolwiek użyłem, pochodził z dostępnych w każdej aptece leków oraz z kwiatów i ziół, które można było znaleźć wszędzie. Używałem mikro-strzykawek, jakie diabetycy kupowali bez najmniejszego problemu. Niemniej zgromadzenie tych wszystkich przedmiotów w garażu samo w sobie mogło stanowić dowód i poczułem się znacznie lepiej, kiedy już opróżniłem każdą butelkę i spaliłem wszystkie pakunki. Popioły trafiły do ścieku, obficie spłukane wodą.

Bardzo starannie wyczyściłem wszystkie furgonetki, a następnie zostawiłem je w różnych punktach w centrum Los Angeles, z kluczykami w stacyjce. Nie musiałem się niczego obawiać, ponieważ papiery i numery rejestracyjne samochodów były fałszywe i nie mogły nikogo do mnie zaprowadzić. Porzuciwszy ostatnią furgonetkę, pokonałem piechotą jakieś sześć przecznic - domyślając się, że do tego czasu wszystkie samochody mogły już zostać skradzione. Później wróciłem taksówką w okolice garażu.

Był teraz zupełnie pusty. Zostawiłem otwarte drzwi.

W przeciągu kilku godzin wtargną do niego bezdomni, w poszukiwaniu dachu nad głową lub przedmiotów przedstawiających jakąś wartość. Wkrótce garaż wypełni się ich osobistym dobytkiem, odciskami palców i śladami DNA, dzięki czemu nie będzie można go w żaden sposób połączyć z Luckym Szczwanym Lisem. Podobny los spotykał wszystkie moje dawne kryjówki.

Pojechałem do domu, czując się odrobinę bezpieczniej. Miałem wrażenie, że udało mi się uchronić przed niebezpie-



czeństwem także Lionę i Tobyfego. Oczywiście niczego nie mogłem być pewny, ale starałem się, jak mogłem, by Lucky Szczwany Lis nie zrobił im krzywdy.

Dręczył mnie silny i nieustający niepokój. Dotarło do mnie, że niezależnie od tego, co działo się ze mną, Malachiaszem i Shmaryą, dla świata pozostawałem Tobym O'Dareem, a on w gruncie rzeczy nigdy nie istniał tak bardzo jak teraz. Czułem się nagi i bezbronny i nie podobało mi się to. Szczerze mówiąc, zaskoczyło mnie, jak bardzo byłem z tego niezadowolony.

Tamtego wieczoru poleciałem do Nowego Jorku. Następnego dnia wyczyściłem w podobny sposób garaż, który tam kupiłem. Minął prawie rok, odkąd zatrzymałem się w tym mieście, i wcale nie chciałem do niego wracać. Nowy Jork wywoływał zbyt wiele szokujących wspomnień, które teraz wydawały mi się szczególnie przykre. Wiedziałem jednak, że muszę zatrzeć wszelkie ślady. Porzuciłem samochody w miejscach, z których prawie na pewno zostaną skradzione, i w końcu zostawiłem garaż, tak samo jak poprzedni, otwarty dla każdego, kto do niego zawędruje.

W tym momencie pragnąłem opuścić Nowy Jork, ale istniała jeszcze jedna sprawa, którą rozpaczliwie pragnąłem załatwić. Zanim wcieliłem swój plan w życie, gruntownie go prze-myślałem, poświęcając temu cały wieczór i następny poranek. Cieszyłem się, że nie dostrzegam wokół siebie aniołów. Teraz już rozumiałem, dlaczego nie były widzialne. Zacząłem też nieco lepiej rozumieć reguły rządzące moim nowym życiem.

Wraz z nastaniem popołudnia opuściłem hotel i poszedłem szukać katolickiego kościoła.

Musiałem iść wiele godzin, nim w końcu znalazłem kościół, który wydał mi się odpowiedni. Przy jego wyborze kierowałem się wyłącznie intuicją.

Wiedziałem tylko, że jestem gdzieś w Midtown, kiedy nacisnąłem dzwonek probostwa i powiedziałem kobiecie, która otworzyła mi drzwi, że pragnę się wypowiedzieć. Spojrzała na moje dłonie. Było ciepło, a ja miałem na sobie rękawiczki.

- Czy może pani poprosić najstarszego księdza w tym domu? - zapytałem.

Nie byłem pewien, czy mnie usłyszała bądź zrozumiała. Wpuściła mnie do skromnie umeblowanego pomieszczenia, gdzie znajdowały się stół, kilka prostych drewnianych krzesel i niewielkie okno przysłonięte zakurzonymi firankami, przez które widać było fragment wylanego asfaltem podwórza. Na ścianie wisiał duży, stary krucyfiks. Usiadłem, zastygłem w bezruchu i pogrążyłem się w modlitwie.

Zdaje się, że czekałem pół godziny, nim przyszedł do mnie ksiądz w bardzo podeszłym wieku. Gdyby był młodszy, pewnie zostawiłbym datek i wyszedł bez słowa. Ten człowiek był jednak stary, jakby skurczony, z nienaturalnie dużą, kanciastą głową i okularami w drucianych oprawkach, które zdjął i odłożył na stół, po swojej prawej stronie.

Wyjął obowiązkową fioletową stułę, długi, cienki kawałek jedwabiu niezbędny księdzu przy spowiedzi, i założył go sobie na szyję. Jego siwe włosy były gęste i w nieładzie. Rozsiadł się w drewnianym krześle i przymknął oczy.

- Pobłogosław mnie ojczy, bo zgrzeszyłem - powiedziałem. - Minęło ponad dziesięć lat od mojej ostatniej spowiedzi i za bardzo oddaliłem się od Pana. Przez dziesięć lat po-

pełniłem więcej potwornych zbrodni, aniżeli potrafiłbym zliczyć, i mogę tylko oszacować liczbę swoich złych uczynków.

Wyraz twarzy księdza nie zmienił się.

- Odbierałem życie celowo i z premedytacją - kontynuowałem.  
- Wmawiałem sobie, że zabijam złych ludzi, lecz tak naprawdę pozbawiałem życia niewinne istoty, szczególnie na samym początku, i nie potrafię powiedzieć, ile ich było. Po tych pierwszych i najstraszniejszych zbrodniach zacząłem pracować dla agencji, która wykorzystywała mnie do zabijania dalszych osób, a ja bez pytania wykonywałem ich polecenia, uśmiercając średnio trzy osoby rocznie przez okres dziesięciu lat. Ta agencja twierdziła, że jesteśmy Porządnyimi Ludźmi. Domyślasz się chyba, ojcze, dlaczego nie mogę powiedzieć nic więcej na ich temat. Nie mogę zdradzić, kim byli ci ludzie ani dla kogo to robiłem. Mogę cię tylko zapewnić o swoim szczerym żalu z powodu śmierci każdej ofiary i o tym, że na kolanach złożyłem przysięgę, iż nie odbiorę życia nikomu więcej. Moje serce pełne jest skruchy. Wkroczyłem także na ścieżkę odkupienia, by przez resztę swoich dni zadośćuczynić za wszystko, co uczyniłem w ciągu tych dziesięciu lat. Mam duchowego przewodnika, który zna rozmiar moich win i wiedzie mnie drogą ku odkupieniu. Jestem przekonany, że Bóg mi wybaczył, ale przyszedłem po rozgrzeszenie do ciebie.

- Dlaczego? - zapytał głębokim barytonem. Nie poruszył się ani nie otworzył oczu.

- Ponieważ chciałbym znowu przyjmować komunię - odparłem. - Pragnę być częścią Kościoła, razem z tymi, którzy podobnie jak ja wierzą w Boga, i ponownie przystąpić do stołu Pańskiego.

Pozostał w tej samej pozycji co przedtem.

- Przewodnik duchowy? - zapytał. - Dlaczego on nie udzieli ci rozgrzeszenia? - Ostatnie słowo wypowiedział z wielką mocą, tak że przypominało pomruk.

- On nie jest rzymskokatolickim księdzem - odparłem. - To osoba o nieposzlakowanej opinii i sprawiedliwym osądzie, której wstawiennictwo zrodziło w moim sercu skruchę. Jednak jako katolik przyszedłem do ciebie. - Wyjaśniłem mu, że popełniłem też inne grzechy, grzechy pożądania, chciwości i ludzkiej zawiści. Wymieniłem wszystkie złe uczynki, jakie tylko sobie przypominałem. Oczywiście opuszczałem msze w niedziele i święta. Nie obchodziłem świąt takich jak Boże Narodzenie czy Wielkanoc. Żyłem z dala od Boga. Lista ciągnęła się bez końca. Wyznałem mu, że owocem mojej młodszej nieostrożności jest dziecko, z którym niedawno nawiązałem kontakt, i że niemal wszystko, co w przeszłości zarobiłem, przekażę jemu i jego matce. Zamierzałem zatrzymać tylko tyle pieniędzy, by się z nich utrzymać, ale nigdy już nikogo nie zabiję. - Błagam cię o rozgrzeszenie - zakończyłem.

Zapadła między nami cisza.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że jakaś niewinna osoba mogła zostać oskarżona o zbrodnie, które popełniłeś? - zapytał lekko drżącym głosem.

- O ile wiem, nic takiego się nie wydarzyło. Nie licząc moich nieudolnych poczynań na samym początku, wszystkie zabójstwa na zlecenie były potajemne. Jednak z tego, co mi wiadomo, nawet w sprawie tych wczesnych zabójstw nikogo nie oskarżono, a moja wiedza na ten temat jest dość rozległa. A zatem nie, nikt nie zapłacił za moje zbrodnie.

- Jeśli tak się stanie, będziesz musiał się przyznać - powiedział ksiądz. Wydał z siebie westchnienie, lecz nie otworzył oczu.

- Tak też zrobię.

- I nie będziesz więcej zabijał, nawet dla tych, którzy zwaą się Porządnyimi Ludźmi - wymamrotał.

- Tak jest. Nigdy więcej. Niezależnie od wszystkiego. Ksiądz siedział przez chwilę w milczeniu.

- Ten duchowy przewodnik... - zaczął.

- Proszę, nie nalegaj, bym ujawnił jego tożsamość, tak jak nie domagasz się nazwisk osób, dla których zabijałem. Zaufaj mi: wyznałem prawdę. Jestem tu wyłącznie z tego powodu.

Ksiądz zadumał się przez chwilę, po której ponownie dał się słyszeć jego niski głos.

- Wiesz, że kłamstwo podczas spowiedzi jest świętokradztwem.

- Niczego nie przemilczałem. Ani razu nie uciekłem się do kłamstwa. Dziękuję ci też za wyrozumiałość i niewyciąganie ze mnie dalszych szczegółów.

Nie odpowiedział mi. Położył tylko na stole wykręconą ze starości, pomarszczoną dłoń.

- Ojcie - zwróciłem się do niego - człowiekowi takiemu jak ja ciężko jest być odpowiedzialnym na tym świecie. Niemożliwe jest, bym zwierzył się komuś ze swojej tajemnicy. Nie mogę też zasypać przepaści pomiędzy mną a niewinnymi ludźmi, którzy nigdy nie dopuścili się równie potwornych uczynków jak moje. Poświęciłem się teraz Bogu. Będę pracował już tylko dla Niego. Ale żyję w tym świecie i chcę w nim chodzić do swojego kościoła razem z innymi ludźmi, słuchać z nimi mszy, trzymać ich za dłonie podczas wspólnej modlitwy, w Domu Pańskim. Pragnę

iść wraz z nimi do komunii świętej i ją otrzymać. Chcę być częścią Kościoła w świecie, w którym żyję. Ksiądz wziął głęboki, rżący oddech.

- Żałuj za swoje grzechy.

Ogarnęła mnie nagła panika. Była to jedyna część planu, której nie przećwiczyłem w głowie. Nie pamiętałem wszystkich słów tej modlitwy.

Odsunąłem od siebie wszystkie myśli, poza tą, że rozmawiam ze Stwórcą.

- Mój Boże, z całego serca żałuję, że Cię obraziłem, i gardzę wszystkimi swoimi grzechami, bo rozdzieliły mnie z Tobą, i chociaż boję się utraty Nieba i mąk piekielnych, żałuję za grzechy z powodu naszego rozdzielenia oraz strasznej krzywdy wyrządzonej duszom, których ziemską wędrówkę przerwałem. Wiem, że niezależnie od tego, co zrobię, nigdy nie zdołam cofnąć tych złych uczynków. Proszę, dobry Boże, docień moją skruchę i daj mi łaskę odczuwania jej dzień po dniu. Pozwól mi być swoim dzieckiem. Pozwól, bym poświęcił czas, jaki mi pozostał, służeniu Tobie.

Nie otwierając oczu, ksiądz uniósł dłoń i udzielił mi rozgrzeszenia.

- A pokuta, ojcze? - zapytałem.

- Rób to, co nakaze ci twój duchowy przewodnik - odparł. Otworzył oczy, zdjął stulę, złożył ją i schował z powrotem do kieszeni. Zbierał się do odejścia, ani razu nie spoglądając mi w oczy.

Wyjąłem z kieszeni kopertę wypchaną banknotami o wysokich nominałach, które starannie oczyściłem z odcisków palców. Podałem mu ją.

- Oto mój datek na kościół i każdy cel, który ojciec uzna za słuszny - powiedziałem.

- To nie jest konieczne, młody człowieku, wiesz o tym - odparł. Spojrzał na mnie tylko raz, wielkimi załzawionymi oczami, a później odwrócił wzrok.

- Wiem, ojcze. Chcę ofiarować ten datek. Ksiądz zabrał kopertę i opuścił pokój.

Wyszedłem z probostwa, poczułem na twarzy wiosenny wiatr, pieśczośliwy i kojący, a później ruszyłem w stronę hotelu. Światło było delikatne i łagodne, a ja czułem wszechogarniającą miłość do przypadkowo mijanych osób. Nawet kakofonia miejskich dźwięków działała na mnie uspokajająco. Ryk i stukot ruchu ulicznego przypominały oddech żyjącej istoty lub bicie jej serca.

Kiedy dotarłem do katedry Świętego Patryka, wszedłem do środka, usiadłem w ławce i czekałem na wieczorną mszę. Rozległa, zachwycająca atmosfera świątyni jeszcze nigdy nie wydawała mi się równie krzepiąca. Przychodziłem tu często, jeszcze zanim zaczęło się moje życie dla Pana Sprawiedliwego, i później też. Godzinami wpatrywałem się w odległy, wysoki ołtarz lub przechadzałem się bocznymi nawami kościoła, podziwiając wspaniałe dzieła sztuki i liczne ołtarze. To miejsce jawiło mi się jako kwintesencja katolickiego kościoła, ze swoimi strzelistymi wieżami i splendorem. Odczuwałem bolesną radość ze swej obecności tutaj i wszystkiego, co niedawno przeżyłem.

Na zewnątrz zmierzchało, gdy w kościele zebrał się spory tłum. Podeszedłem bliżej ołtarza. Chciałem dobrze słyszeć i widzieć mszę. Podczas konsekracji chleba i wina skłoniłem

głowę i zapłakałem. Nie obchodziło mnie, czy ktoś to widzi. Kiedy wstaliśmy, żeby się pomodlić, zdjąłem rękawiczki i wyciągnąłem dłonie do osób stojących obok.

Idąc do komunii, nie potrafiłem ukryć łez, ale to nie miało znaczenia. Nawet jeśli ktoś to zauważył, ja nikogo takiego nie widziałem. Byłem samotny jak zawsze, lecz szczęśliwy, że mogę anonimowo uczestniczyć w tym rytuale. Mimo to czułem się związany ze wszystkimi zgromadzonymi w kościele ludźmi, stanowiłem część tego miejsca i tej chwili. Czułem się z tego powodu wspaniale.

Poza tym, przystępując do komunii w katolickim kościele, można płakać.

Po wszystkim upadłem w ławce na kolana, ze zwieszoną głową, rozmyślając nad tym jak świat, ten ogromny rzeczywisty świat, który mnie otacza, może postrzegać to, co tutaj robię. Współczesny świat nienawidził rytuałów.

Czym były one dla mnie? Wszystkim, ponieważ stanowiły odzwierciedlenie moich najgłębszych uczuć i zaangażowania.

Nawiedziły mnie anioły. Usłuchałem ich rady przepelnionej miłością. Niewątpliwie był to cud. A oto kolejny, cud prawdziwej obecności naszego umiłowanego Pana w chlebie i winie. I właśnie ten cud liczył się teraz dla mnie.

Nie obchodziło mnie, co myśli świat. Nie interesowało mnie, co na ten temat mówią teologia i logika. Owszem, Bóg jest wszędzie, przenika każdą cząstkę wszechświata, i jest też tutaj. Bóg jest tu ze mną, we mnie. Ten obrządek zbliżył mnie do Boga i zbliżył Jego do mnie. Zaakceptowałem tę myśl.

„Proszę Cię, Boże, byś chronił Lionę i Tobyego przed Luckym Szczwanym Lisem i wszystkim, co uczynił. Pozwól



mi żyć w służbie Malachiasza, pozwól mi żyć dla Liony i mojego syna".

Wypowiedziałem wiele innych modlitw - modliłem się za swoją rodzinę, za każdą duszę, którą popchnąłem ku wieczności, modliłem się za Lodovica, za Pana Sprawiedliwego, bezimiennych i niezliczonych, których życie przerwały moje złe uczynki. A później zatopiłem się w kontemplacji ciszy, we wsłuchiowaniu się w Boży głos.

Msza skończyła się jakieś pół godziny temu. Wyszedłem z ławki, przyklękając jak za dawnych czasów, i ruszyłem główną nawą, przepelniony głębokim spokojem i szczęściem w najczystszej postaci.

Kiedy dotarłem na tyły kościoła, zauważyłem, że boczne drzwi po lewej stronie są otwarte, w przeciwieństwie do drzwi głównych, więc wyszedłem przez nie na ulicę.

Tuż za drzwiami stał zwrócony plecami do światła mężczyzna i coś w jego postaci uderzyło mnie na tyle, bym spojrzał wprost na niego.

Był to młody człowiek z Mission Inn. Miał na sobie tę samą sztruksową marynarkę i wełnianą kamizelkę, spod której wystawał rozpięty kołnierzyk koszuli. Przypatrywał mi się. Sprawiał wrażenie rozemocjonowanego, jakby chciał do mnie przemówić, ale tego nie zrobił.

Serce zadudniło mi w uszach. Co on tu u diabła robi? Minąłem go i ruszyłem ulicą, oddalając się od swojego hotelu. Byłem roztrzęsiony. Próbowałem przeanalizować wszystkie możliwe powody tego dziwnego spotkania, lecz prawdę mówiąc, nie było ich wiele. Albo był to zbieg okoliczności, albo ten człowiek mnie śledził. A skoro mnie śledził, mógł wi-

dzieć, jak udaję się do garaży w Los Angeles i Nowym Jorku! Nie mogłem znieść podobnej myśli.

Przez wszystkie te lata w roli Luckyego Szczwanego Lisa ani razu nie byłem świadomy, że ktoś mnie śledzi. Po raz kolejny przekląłem dzień, w którym zdradziłem Panu Sprawiedliwemu moje prawdziwe nazwisko, ale nie potrafiłem dopasować tego człowieka o zadziwiająco bezbronnym wyglądzie do żadnego scenariusza związanego ze Sprawiedliwym. W takim razie kim był ten człowiek?

Im dłużej szedłem Piątą Aleją, tym większą miałem pewność, że mężczyzna jest tuż za moimi plecami. Zbliżaliśmy się do Central Parku. Ruch uliczny w stronę centrum był potężny i głośny, ostry dźwięk samochodowych klaksonów grał mi na nerwach, a od spalin zaczęły mi łzawić oczy. Mimo to cieszyłem się, że jesteśmy w Nowym Jorku, pośród wczesno-wieczornego tłumu, wśród tak wielu osób.

Tylko jak u diabła miałem postąpić z tym facetem? Co mogłem zrobić? Nagle dotarło do mnie, że pod żadnym pozorem nie mogę uczynić tego, co zrobiłby Lucky Szczwany Lis. Nie wolno mi skrzywdzić tego człowieka. Niezależnie od tego, co wie, przemoc nie wchodziła w grę. Świadomość tego niespodziewanie mnie rozwścieczyła. Poczuję się jak w potrzasku.

Chciałem się obejrzeć i sprawdzić, czy zobaczę tego człowieka. Kiedy schodziłem z krawężnika, by przedostać się na drugą stronę ulicy, zerknąłem przez ramię.

Nagle chwyciły mnie czyjeś silne ręce i mocno pociągnęły mnie do tyłu. Uderzyłem kostką o krawężnik i zachwiałem się. Rozpędzona taksówka, prująca Piątą Aleją mimo czerwono-

nego światła, wśród dobiegających ze wszystkich stron gniewnych krzyków, minęła mnie o włos. Mogłem zginąć pod jej kołami.

Trząśłem się jak osika.

Oczywiście sądziłem, że na ratunek przyszedł mi Malachiasz lub Shmarya. Ale kiedy obejrzałem się, by zobaczyć twarz swojego wybawcy, ujrzałem młodego człowieka, stojącego ledwie kilka centymetrów ode mnie.

- Ten samochód mógł cię zabić - powiedział, wycofując się. Miał spokojny głos, który nie wydawał mi się ani trochę znajomy.

Taksówka zderzyła się z czymś lub kimś po przeciwnej stronie Piątej Alei. Hałas był potworny.

Ludzie usiłowali nas wyminąć, nie kryjąc swojego zniecierpliwienia tym, że blokujemy chodnik. Ale ja chciałem się przyjrzeć temu mężczyźnie, więc nie poruszyłem się, a on stał oddalony ode mnie o metr czy dwa, świdrując mnie spojrzeniem tak samo jak przed katedrą. Był naprawdę młody, miał pewnie niewiele więcej niż dwadzieścia lat. Jego wzrok wydał mi się jakby błagalny.

Odwróciłem się i podszedłem do najbliższego muru. Mężczyzna ruszył za mną. Niczego innego się nie spodziewałem. Kipiałem z gniewu. Byłem wściekły, że mnie śledził i uratował przed rozpędzoną taksówką. Zły, że nie czuł przede mną większego strachu, że ośmielił się podejść tak blisko, że zachowywał się wręcz nieustraszenie. Czułem się jak w białej gorączce.

- Od jak dawna mnie śledzisz? - zapytałem ostro. Starłem się nie zaciskać zębów z wściekłości.

Nie odpowiedział mi. Sam wydawał się mocno wzburzony. Widziałem to po jego twarzy, sposobie, w jaki poruszał ustami, nie wydając przy tym żadnych dźwięków, po roztańczonych źrenicach, kiedy mi się przyglądał.

- Czego ode mnie chcesz? - nie ustępowałem.

- Lucky Szczwany Lisie - zwrócił się do mnie niskim, poufałym głosem. - Chcę, żebyś ze mną porozmawiał. Chcę, żebyś mi powiedział, kto zlecił ci zabójstwo mojego ojca.

29 stycznia 2010

## OD AUTORKI

Cykl *Czas Aniołów* jest utworem literackim, jednak niektóre z opisanych w nim postaci i wydarzeń zostały zainspirowane życiorysami prawdziwych ludzi i faktami. Dołożyłam najwyższych starań, by ukazać tło historyczne każdej z powieści w pełni wiarygodnie.

Tragiczne okaleczenie żydowskiego chłopca we Florencji w 1493 roku zostało opisane ze szczegółami w dziele Richarda G. Trexlera *Public Life in Renaissance Florence*, opublikowanym przez Cornell University Press. W żadnym źródle nie znalazłam jednak wzmianki dotyczącej tożsamości tego młodego człowieka, jego krewnych ani jego ostatecznych losów. Musiałam użyć wyobraźni i stworzyć fikcyjną wersję wypadku na potrzeby tej powieści.

Kwiat o nazwie „purpurowa śmierć” w rzeczywistości nie istnieje. Z oczywistych względów nie chciałam umieszczać w książce szczegółów dotyczących prawdziwej trucizny.

Źródła, z których najczęściej korzystałam przy pisaniu tej powieści, to dwie książki Cecil Roth: opasłe dzieło zatytułowane *The History of the Jews of Italy* i krótsze, choć nie mniej pouczające, *The Jews of the Renaissance*, oba wydane przez Jewish Publication Society of America. Ogromną inspiracją była dla mnie praca Hermanna Vogelsteina *Jewish Community Series: ROME*, przetłumaczona przez Mosesa Hadasa i także opublikowana przez Jewish Publication Society of America. Pomogła mi też książka *Jewish Life in Renaissance Italy* autorstwa Roberta Bonfila, w tłumaczeniu Anthony'ego Oldcorn'a, wydana przez University of Chicago Press. *Występnici papieża renesansu* Gerarda Noela okazała się równie przydatna. Jestem wdzięczna Noelowi za informację, że papież Juliusz II codziennie jadał na obiad kawior.

Korzystałam też z wielu innych książek poświęconych Rzymowi, Włochom, Żydom w tym szczególnym okresie historycznym, lecz nie sposób ich tu wszystkich wymienić. Czytelnicy zainteresowani pogłębieniem wiedzy na ten temat mają do dyspozycji nieprzebraną liczbę źródeł.

Po raz kolejny chciałabym też podziękować Wikipedii, encyklopedii online.

Zbierając informacje na temat renesansowej muzyki na lutnię, potrzebne mi do napisania tej książki, spędziłam mnóstwo czasu na słuchaniu, przede wszystkim płyty zatytułowanej *The Renaissance Lute* Ronna McFarlane'a. Szczególnie polecam słuchaczom utwór siódmy, o prostym tytule *Pesemeze*, który na długo pozostał w mojej pamięci. Wyobrażam sobie, że właśnie tę melodię grał Toby podczas swoich ostatnich godzin w renesansowych Włoszech.

Po raz kolejny zwracam Waszą uwagę na istniejące w rzeczywistości, zachwycające swoją urodą miejsca: hotel Mission Inn w Riverside w stanie Kalifornia oraz misję San Juan Capistrano.

Pragnę też ponownie wyrazić moją ogromną wdzięczność wydawnictwu Jewish Publication Society of America za trud włożony w badanie żydowskiej historii.